

**Antoni Marczyński**  
**ROK 1947**





**Antoni Marczyński**

**ROK 1947**

POWIEŚĆ PRZYSZŁOŚCI

2014

## Spis treści

- 1 Telegram z Nowego Jorku
- 2 Kabaret *Na biegunie północnym*
- 3 Morderstwo na okręcie
- 4 Sześć tygodni później w New Yorku
- 5 Przyjęcie u Toma Raya
- 6 Porwanie w biały dzień, przy Piątej Alei
- 7 Ultimatum i wojna
- 8 Kotlina Milczenia
- 9 Niemiłe spotkanie w powietrzu
- 10 Powietrzna flota japońska
- 11 Katastrofa
- 12 Bitwa na pędzącym jachcie
- 13 Niezwykłe oświadczenia
- 14 Palec boży

Opracowano na podstawie edycji w odcinkach w *Dzienniku Bydgoskim*, Bydgoszcz 1926.

## ROZDZIAŁ I

### Telegram z Nowego Yorku

#### I

— Pokaż no ten telegram — krzyknął pan Onufry głosem tubalnym a radosnym.

Pulchna małżonka podreptała do drugiego pokoju i wróciła niebawem, tuląc zapisany blankiet depeszy do bujnych, a wzruszeniem wezbranych piersi

— Czytaj sam — rzekła.

*Poland... Cracow... Przytuliska... Miławieś...*

*Mister Onufry Białoszyński*

*Przyślij mi natychmiast Władka stop zrobię z niego człowieka stop nie będzie taką fujarą jak ty...*

— Durni! — przerwał oburzony Białoszyński i powtórzył: — Dureń skończony! Co sobie pomyśli telegrafistka w Przytuliskach?

— Czytaj Onufreńku dalej — prosiła małżonka.

Pan dziedzic z Miłejwsi wzruszył ramionami i głową rzucił wspaniale a zarazem wzgardliwie, jak gdyby chciał powiedzieć: wolno psu na Pana Boga czekać. Potem, poprawiwszy muśnięciem dłoni dobrze posrebrzoną czuprynę, zabrał się do dalszej lektury telegramu:

*...fujarą jak... (aha, to już czytałem...) Posyłam przez bank tysiąc dolarów na drogę i czekam chłopca w New Yorku za tydzień stop ściska was wszystkich serdecznie Tom*

Pan Onufry rozchmurzył się natychmiast i wielkimi krokami odmierzał długość jadalni. Tam i z powrotem. Myślał głośno. Nawet bardzo głośno, jak gdyby co najmniej stał w pobliżu stodoł:

— Hum. Tysiąc dolarów... Hum. Śliczny pieniądz. Równe pięć tysięcy

złoty. Zaczyna człowiek ten Tomasz. Tak, Zosiu. Bardzo liczną masz rodzinę, ale jeden z niej tylko naprawdę porządny człowiek wyszedł. Jeden, powtarzam! Jeden Tomasz i nikt więcej.

Groźnie nasrożony zatrzymał się przed siedzącą połowicą. Spojrzał na nią wzrokiem wyzywającym i nieznoszącym żadnego oporu zarazem. Zapomniał już o fujarze i o podkopanym autorytecie u telegrafistki w Przytuliskach. Śmiałyby teraz kto przeczyć, że Tom nie jest najzaciejszym człowiekiem w świecie. Ha! Pan Onufry zmiotłby go z powierzchni ziemi z siłą tajfunu. Oczywiście... wzrokiem by śmiałka unicestwił.

Ale potulna pani Zofia nie miała najmniejszej ochoty przechodzić do opozycji wobec małżonka dyktaturę domową dzierżącego. Tylko wtrąciła głosem nieśmiałym:

— Widzisz Onufreńku, jak mój brat pamięta o rodzinie. A tak zawsze na niego wygadywałeś...

Zatrzęsły się stare dworku mury, kiedy pan dziedzic huknął szczerze oburzony.

— Ja? Ja wygadywałem na Toma? Kobieto! Chyba zmysły postradałaś!

— Nawet przed chwilą powiedziałaś, że Tomasz jest dureń...

— Powiedziałem? Ha, jeżeli tak rzeczywiście powiedziałem (w co zresztą bardzo wątpię), to musiałem mieć jakąś przyczynę. Ale jedno nie wyklucza drugiego. Przeciwnie. Wprost przeciwnie. Dureń może być bardzo porządnym człowiekiem. I na odwrót. Wielu porządnym ludzi jest w gruncie rzeczy skończonymi durniami. Nie powiem, aby te pojęcia musiały koniecznie iść...

Lecz pani Zofia przerwała mu ciekawie się zapowiadający monolog o durniach.

Tak. Pani Zofia ośmieliła się przerwać swemu tyranowi. Sama zdumiała się nad swą zuchwałością, którą mógł usprawiedliwić tylko ten niezwykły telegram. Ale fakt faktem, że przerwawszy mężowi traktat o durniach, powiedziała swoim płaczącym, zalęknionym głosem:

— Dobrze, Onufreńku... Ty zawsze masz rację.

Straszliwe chmury na jowiszowym czole dziedzica Miłejwsi rozpięzły szczęśliwie.

— Masz rację, mężulku, ale jak myślisz, czy możemy naszego Dziunia wysłać tak daleko? Przecież to jeszcze dziecko.

— Dziecko? Che, che, che, che... — rechotał pan Onufry. —ładne mi dziecko. Dryblas dwadzieścia lat skończył, maturę zdał nareszcie, węs mu się sypie, a ona go dzieciakiem nazywa. Może ma się całe życie maminego fartuszka trzymać: Nic z tego! Władek pojedzie do wuja. Za tydzień tam musi być, skoro wuj chce. Ja to mówię, że musi!... — rzucił światu wyzwanie.

Tołstojowska rezygnacja odmalowała się w wyrazie twarzy pani Zofii. Więc

tylko wtrąciła pokornie:

— Onufreńku kochany. Za tydzień mu bielizny nie połatam.

— To źle. To bardzo źle. Bielizna powinna być połatana zawsze. Dowodzi to po raz setny, że twoje gospodarstwo szwankuje. Szwankuje, powiadam. Hum. Bielizna głupstwo. Są ważniejsze sprawy. Tak. Dużo ważniejsze. Tysiąc dolarów, hum. Dolarów tysiąc. Tyle pieniędzy nie można chłopcu dawać do rąk. Absolutnie nie. Może zgubić. Mogą go okraść. Tak, osiemset wystarczy.

— Na bilet nie starczy, Onufreńku.

Z politowaniem pokiwał głową nad naiwnością małżonki. Drwiąco wycedził:

— I po co ty w ogóle niewiasto czytujesz gazety? Przecież co miesiąc, co tydzień prawie, umieszczają linie okrętowe ogromne ogłoszenia. Poczekaj! Przyniosę gazetę, aby ci udowodnić...

Dziarskim, sprężystym krokiem. wybiegł pan Onufry z jadalni i po chwili powrócił, niosąc jakiś dziennik. Rozłożył go i zakrył się prawicą całą olbrzymią płachtą na wzór amerykański wydawanego *Słowianina*. Odszukał odnośny inserat i zaczął:

— O, proszę... Stoi czarne na białym:

*Polsko-rosyjskie Towarzystwo Żeglugi Morskiej*

*założone w r. 1929*

*Spółka akcyjna (itd., itd.)*

*Rozkład jazdy:*

*Linia: Rosja – Polska – Ameryka Południowa*

To nie dla nas — mruczał pan Onufry i szukał dalej:

— *Linia: Rosja – Polska – Maroko – Algieria – Tunezja – Trypolis*

To także nic... Aha. jest wreszcie. Słuchaj, Zosiu:

*Linia: Rosja – Polska – Kanada — Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.*

*Okręt: „Marszałek Haller”, 51.000 ton, odchodzi z Gdyni 28 lutego.*

No, to już późno. Dzisiaj mamy dwudziestego szóstego. Szukajmy dalej.

*Okręt: „Wielka Rosja”, 61.000 ton, odchodzi 2 marca...*

Aha, przepraszam. Ten idzie tylko do Kanady. Muszę znaleźć inny.

*Okręt: „Prezydent Wojciechowski”, 19.000 ton, 5 marca.*



Psiakrew. Ten znowu do Kanady. Teraz cała emigracja wędruje do tej Kanady... No, mam nareszcie:

*Okręt: „Bracia Słowianie”, 73.000 ton, z Gdyni odchodzi 7 marca.*

Psiakość. Dopiero za dziewięć dni. Co Tom powie?... Zaraz... Kiedyż ten statek będzie w New Yorku? Boże drogi. Dopiero 13 marca rano. Prawie całe sześć dni. Strasznie długo jadą. Angielskie parowce przebywają Atlantyk w niespełna cztery dni.

— Tak, Onufreńku. Lecz z Londynu, nie z Gdyni — odważyła się wtrącić zahukana małżonka.

Nasrożył się rodzic Władka. Oczywiście, że z Anglii jest grubo bliżej niż z Polski, ale było rzeczą nie do pomyślenia, by Zosia mogła mieć rację, a nie on. Więc z drwiącym uśmiechem odpowiedział:

— Chyba ze Southamptonu lub innego portu. Jeszcze nie słyszałem, aby takie kolosy mogły pływać po Tamizie. Z Londynu powiadasz? Cha, cha, cha, cha! Pyszna jesteś, Zosiu...

Nasyciwszy się zwycięstwem, prowadził monolog dalej:

— Trudno. Musi smarkacz jechać tymi *Braćmi Słowianami*. Nie ma rady. Zobaczmy teraz ceny biletów. Gdzież tu są, psiakość, te ceny? Aha... Mam. Słuchaj Zosiu: Gdynia – New York, pierwsza klasa, tysiąc pięćset złotych. Hum... Niech sobie fabrykanci i kupcy jeżdżą pierwszą. Nas nie stać na to. Druga klasa, tysiąc sto pięćdziesiąt złotych. To drogo... To bardzo drogo. Można by za to dokupić cztery... pięć krów przyzwoitych. Niech sobie łobuz jedzie trzecią. A złodzieje! Osiemset pięćdziesiąt złotych. I za co? Za co? Cóż ich tam kosztuje, że jeden chłopiec więcej pojedzie na takim olbrzymie.

— Ale wikt, Onufreńku.

— Ty się zawsze wyrwiesz. Czy jeżeli robisz przyjęcie i spodziewasz się czterdziestu, dajmy na to, osób, a przyjedzie jedna więcej, to sprawi ci to jaki kłopot? Nie. Żadnego. No, widzisz!... A tam jedzie ich kilka tysięcy. Nasz Władek, choć ma smyk wilczy apetyt i ojca fortunę przejadłby z kretesem, zaważyłby między tysiącami tyle, co mucha. Jednym słowem, wyzysk. Nędzny, napiętnowania godzin, wyzysk...

— Jednakże, Onufreńku. Trzecią klasą to strasznie męczące. Niechby już było drugą.

Żachnął się srodze pan dziedzic.

— Co? Drugą? Całe życie jeździł smarkacz do szkół trzecią, a że z biedą zdał tę maturę, to zaraz druga klasa. Ładnie chcesz dzieci wychowywać, moja droga. Nie zapominaj, że poza Władkiem mamy ich jeszcze czworo.

— Nie zapominam, Onufreńku, ale co innego godzinna jazda z Przytulisk do Krakowa, a co innego wielki wozaj morski, sześć dni ma się wlec biedactwo...

Pani Zofia zdołała tak długie zdanie wyrecytować jednym tchem, bez przeszkody ze strony męża.

— Hum. Babskie gadanie — burczał jeszcze pan Onufry, przyznając w duchu zupełną rację małżonce. Chciał w każdym razie zamanifestować swój odmienny pogląd na sprawę, gdy rozległo się zawzięte ujadanie psów podwórzowych. Poskoczył tedy skwapliwie ku oknu:

— Jan przyjechał... — obwieścił na całą jadalnię i wybiegł naprzeciw gościa. Telegram zdążył jednak przezornie schować do kieszeni.

Przyjaciele spotkali się na ganku przed dworkiem. Poniżej, u stóp schodów stało małe zgrabne auto barwy popielatej. Pan Onufry wołał na całe gardło:

— Witajże Jasiu kochany... Kopę lat. Tak cicho zajechałeś, że nie słyszałem zupełnie motoru. Tylko pieski dały znać szczekaniem.

Przybyły uśmiechnął się radośnie. I z dumą wskazał na auto:

— Nie moja zasługa, lecz samochodu. Powiadam ci, przyjacielu, że niezrównane są te nasze *sarmatki*.

— Polskie fordys... — bąknął gospodarz z lekką ironią na tych wszystkich, którzy nawet fordą nie mają.

— O, lepsze od fordów i tańsze. Dziwię ci się, że dotychczas sobie takiego wózka nie sprawiłeś.

Pan Onufry skrzywił się żałośnie:

— Za chuda moja parafia na taki luksus. Zwłaszcza przy tych ratach podatkowych...

— No, nie urągaj, mój drogi. Nie urągaj na podatki. Wspomnij dawne czasy. Jeszcze w takim roku 1926 mieliśmy więcej podatków niż włosów na głowie. Nie wiedziałeś, braciszku, nawet, kiedy i co masz płacić. A teraz? Od czasu wielkiej reformy pozostał tylko jeden... dochodowy. Tyle a tyle masz dobrodziejstwa dochodu... płacić taki a taki procent. Czyś jest kupcem, rzemieślnikiem, adwokatem czy proboszczem lub rolnikiem płacić, bo inaczej dziura. Mnie się to bardzo podoba.

Pan Onufry wziął gościa pod ramię i przeszli do pokojów, po drodze spierając się ze sobą, jak zazwyczaj. Dziedzic Milejwsi lubiał mieć zdanie przeciwne niż osoba z nim rozmawiająca, bo to mu dawało pole do popisywania się swą elokwencją w zajadłych polemikach. Zresztą zamiłowanie do dyskusji było i jest zawsze u wszystkich Słowian północnych jednakowe. Więc szybko nawiązał do spraw podatkowych:

— A jednak, Jasiu, dawniej lżej jakoś było, pomimo wszystko. Człek popił z urzędnikiem jednym i drugim. Pogadał z członkami komisji!... Potem rekurował, apelował aż przyszła egzekucja. Znów popił z egzekutorem... Jakoś się biedę, pchało. A teraz?... Za najmniejsza pomyłeczką w deklaracji zaraz kara w

trzydziestokrotnej wysokości ukróconego podatku i kryminał. Bez zamiany na grzywnę nawet. Okropne!...

— Tak, mój Onufry. Dawniej był bałagan. Rządy zmieniały się jak pory roku, jak mody kobiece, i Polska się chwiała. Dziś, chwalić Boga, ten sam gabinet mamy już szósty rok. Wszystko idzie ślicznie. A przez co? Przez równowagę budżetu, przez sumiennie płacone podatki. Pamiętasz pierwsze lata po wielkiej reformie? Pomnisz czasy dyktatury? Więzienia były przepełnione oszustami podatkowymi. A teraz? Nawet mały handełes żydowski płaci, co się należy, bo wie, że minęły czasy korupcji i żartów dziś nie ma z władzami.

— Hum... — chrząknął niewyraźnie gospodarz. Potem zatarł dłonie i zawołał wesoło:

— Napijemy się, kochany Jasiu! Napijemy się starki, która jeszcze dyktatora pamięta. Chociaż wyjątkowo ciepły mamy luty, ale zawsze to luty. Zmarzłeś pewnie na twym furkadle?

— Nie, kochasiu. Wcale nie zmarzłem. Sarmatki mają ogrzewacze w całym pudle wozu. Ale napiję się chętnie twojej wyśmienitej starczki.

— Przejdziemy do jadalni... — zaproponował gospodarz. W drzwiach ukazała się pani Zofia i z gościnnym gestem wyciągnęła dłoń w stronę pana Jana.

Przy wódce przeszła rozmowa na telegram z Ameryki...

— Zaraz ci go pokażę... — rzekł gospodarz, wybiegając z pokoju.

— Przecież włożyłeś go do kieszeni — przypomniała małżonka.

— Nie, Zosiu. Zostawiłem go w gabinecie — odparł tonem słodkim, lecz władczo groźnym. Zamilkła więc, chociaż wiedziała dobrze, że małżonek w gabinecie w ogóle tego ranka jeszcze nie był. Przywykła już dawno do tego, że skoro mąż śnieg nazwał czarnym, to należało w to wierzyć święcie. Przynajmniej nie wolno było na zewnątrz manifestować powątpiewania w te dogmaty.

Po chwili pan Onufry powrócił i wręczył blankiet przybyłemu sąsiadowi. Jan przeczytał półgłosem a potem rzekł:

— Coś tu jest przekreślone...

— Tak, zauważyłem także. Pewnie telegrafistka się pomyliła i przekreśliła...

— mówił skwapliwie gospodarz.

Ale pan Jan się oburzył:

— Nie! To jest lekceważenie! Powinna wypisać nowy blankiet. Zwrócę jutro uwagę kierownikowi poczty. Nawet jutro mam być w Przytuliskach...

— Ale dajże spokój! Dajże spokój! — przerwał przerażony pan Onufry, który był sprawcą tajemniczych gryzmołów na depeszy. Jego to cenzorski ołówek skreślił wzmiankę Toma o *fujarze*. Więc gorączkowo wstawiał się za Bogu ducha winną telegrafistką:

— Przrzeknij mi, kochany Jasiu, że nic o tym nie wspomnisz kierownikowi poczty. Mógłbyś zaszkodzić tej biednej dziewczynie...

Pan Jan pojął tę skwapliwość sąsiada na wskroś opacznie. Korzystając tedy z tego, że pani Zofia wyszła przyrządzić zakąskę, przysunął się do przyjaciela i rzekł, mrużąc oko filuternie:

— Znasz tę dziewczynkę? Co? He? Ładna, co? Przyznaj się, Onufry!

A tom wlaź jak Piłat w Credo — pomyślał gospodarz. Jednak zrobił minę wielce tajemniczą, mówiąc:

— Hum. Daruj. Jasiu, ale kiedy chodzi o kobiety, to nawet przed najserdeczniejszym przyjacielem... sza! Rozumiesz?

— Rozumiem, kochasiu. Nawet więcej rozumiem niż przypuszczasz.

Teraz gospodarz zaniepokoił się serio:

— Powiedz, co takiego. Jeżeli zgadłeś, to ci powiem prawdę.

— Oczywiście, że zgadłem... Che, che, che!... W treści tej depeszy było jedno zdanie przeznaczone od niej dla ciebie... Coś takiego zapewne jak: *kocham cię aniele* lub *przyjedź... czekam stęskniona*. Tyś to zdanie niecenzuralne ołówkiem zamazał i wmawiasz w żonę, że to telegrafistki kreślenia... Cha, cha! Ja tam, Onufreńku, przeniknę każdą tajemnicę — chwalił się gość.

Gospodarz machnął ręką z rezygnacją:

— Masz rację. Tam był wypisany pewien komplement dla mnie. Ale nie mówmy już o tym. Dobrze, Jasiu?

— Jak chcesz.

W tej chwili rozległ się tętent konia przed dworem. Obaj przyjaciele pośpieszyli ku oknu. Tuż w pobliżu auta pana Jana Leśniowskiego zsiadał ze zgrabnego kasztanka młodzieniec lat około dwudziestu.

Z odległej dosyć stajni, szedł z należytą flegmą parobek, by odebrać wierzchowca. Ale ubiegły go dziewczyny, w stodole snopki na prostą słomę cepami młójące. Popędziły na wyścigi w stronę młodego jeźdźca. Wszystkie naraz opadły kasztanka, który denerwował się nieco tak liczną asystą.

— Paniczu, ja odprowadzę Łyska... Paniczu, ja... — dopraszała się każda z nich, rzucając jasnymi oczyma w stronę urodziwego syna dziedzicowego.

Młodzieniec pogłaskał dwie najładniejsze po czerstwych, zdrowych buziakach, trzecią klepnął przyjaźnie, czwartą szczypnął aż kwiknęła i rzekł głośno:

— Żadna nie odprowadzi, tylko Wojtek. Idźcie na klepisko. Wasze szczęście, że ojca nie ma... Dałby wam.

Rozdał kilka pożegnanych klapsów, rzucił cugle powolnemu Wojtkowi i z impetem wpadł do dworku. Otworzył drzwi od jadalni, stanął jak wryty. Był pewien, że tylko gościa z matką zastanie. Że ojca nie ma w domu. Widział go przed godziną zaledwie w polach, gdzie stary rolnik troskliwie oglądał oziminy, co dopiero od śnieżnego kozucha uwolnione.

Przywitał się więc młodzieniec z panem Leśniowskim i stanął w przyzwoitej

od rodzica odległości. A pan Onufry nasrożył się dostojnie:

— Zauważyliśmy, że dziewczki folwarczne clę lubią. Hum. Nawet bardzo. No i ty się także... hum... o to nie gniewasz. Zauważyliśmy, powiadam...

Dziedzic Miłejwsi, przemawiając do swoich dzieci, używał stale *pluralis maiestatis*, co jego zdaniem powinno niebotycznie podwyższać rodzicielski autorytet. A buńczuczny zazwyczaj synalek bał się ojca niczym ognia. Wyjąkał tedy:

— Faktycznie, papciu, nie wiem, o co chodzi...

— Nie wiesz, faktycznie? Hum, ananasie. Skoro nie wiesz, to ci powiemy raz jeszcze... Widzieliśmy przez okno, jak się mizdrzyłeś do dziewcząt...

Wnioskujemy stąd, że nęcą cię babskie kiecki.

— Daj chłopcu spokój... Wdał się w ciebie, Onufry... — parsknął wesoły sąsiad tak głośno, że słyszała to nawet pani Zofia, wchodząca właśnie z kopiastym półmiskiem smakowitych przekąsek. Ze zdziwieniem zauważyła zaraz:

— Powiada pan, że Dziunio wdał się w ojca?... Ależ, on ma moje rysy i usposobienie... Wszyscy mówią, że to mój żywy portret... — pochlebila sobie.

— Oczywiście dobrodziejko... Oczywiście... Ja myślałem o tupecie życiowym. To tylko miałom na myśli... — wybrnął jako tako pan Leśniewski. Cmoknął przy tym kilkakrotnie pulchną łapkę pani Zofii, mrugając równocześnie w stronę zmieszanego gospodarza.

Pan Onufry skierował rozmowę czym prędzej na dzisiejszy telegram. Zasiedli we czworo dokoła dębowego stołu jadalni i intensywnie zakrapiając konwersację kieliszkami starki, omawiali wyczerpująco temat aktualny.

Kiedy obaj starsi panowie nagadali się do syta i kiedy omszała flacha dnem świecić zaczęła, zahukana matka Władka wtrąciła ze zwykłą nieśmiałością swoje trzy grosze:

— Onufry wyczytał, że bilet z Gdyni kosztuje aż tysiąc sto pięćdziesiąt złotych...

— Druga klasa, Zosiu... — rzucił ostro małżonek.

Tymczasem pan Leśniewski zrobił niespodziankę:

— Któżby tam drugą jechał... To dobre w podróży koleją, ale okrętem tylko pierwszą... Jak cię widzą, tak cię piszą... W Ameryce tylko pieniądz coś znaczy. Niechby tak kto chłopca zoczył, że jedzie drugą, to bywaj zdrów. Na nic reputacja... Zresztą *noblesse oblige*... Tak, moi drodzy... Nie zapominaj Onufreńku, że twój Władek jest szlachcom lepszym nawet niż ty...

— Jak to?... — rzucił się gospodarz, dotknięty srodze.

— Pomnij, co mówi Sienkiewicz... (zdaje mi się, że we *Wirach*): Im szlachta starsza, tym lepsza... Więc syn zawsze od ojca o jedno pokolenie lepszym jest szlagonem... Aha! Widzisz?!... Che, che, che, che!

— Hum... — nie potwierdził, nie zaprzeczył szlachcic, gorszy o jedno

pokolenie.

Leśniowski znów wrócił do kwestii wyboru klasy:

— Tylko pierwsza klasa... Pamiętajcie! Niech tam kosztuje nawet te paręset złotych więcej. Mogą kupczyki, handlarze jeździć pierwszą, a co dopiero ziemianin...

Pan Onufry zrobił z kolei żonie niespodziankę, mówiąc:

— A któż powiada, że Władek pojedzie drugą?!... Białoszyńscy za wszo jeździli okrętami pierwszą... Od dziada, pradziada...

— Co słyszę? Nie wiedziałem nic, że w twej rodzinie były często morskie wojaże... Proszę, proszę... — dziwił się sąsiad z bardzo miernym dowierzaniem.

Pan Onufry zrejterował czym prędzej na inne tematy.

Ba! Kiedy ten przekłęty telegram, jak na złość, wciąż na stół wyjeżdżał. Nawet sam gospodarz go raz wyciągnął:

— Siedzi mi dryblas na karku rok prawie, nie robi nic, tylko za dziew... — ugryzł się w język i skreślił szybko — tylko za końmi przepada. Zajeżdża mi szkapy na śmierć. To cała jego pomoc na folwarku... Tam wuj go nauczy pracować... Zresztą Tomasz nie ma żadnej rodziny, może mu się Władek udać i grube dolary... tego ten... jakby tu rzec... Co? Hę?... No, napijmy się na pomyślność jego kariery...

Wstał gospodarz i krokiem niezbyt pewnym przyniósł nową butelkę z kredensu. Ponalewał kieliszki. Chwilę myślał, chrząknął i zwrócił się do syna ze serdeczną przemową:

— Kochany Władku! Niezbadane boskie wyroki zrządziły, że na drugiej świata półkuli masz walkę o byt rozpocząć... Tam, za oceanem, masz odbyć szkołę życia, rzucić podwaliny pod swoją przyszłość...

...Pamiętaj, że jak sobie pościesz, tak się i wyśpisz... Idź zawsze drogą prawdy a Bóg i błogosławieństwo rodziców puklerzem ci będą, we wszelkich trudnych chwilach borykania się z losem...

...Bo twarde jest życie, jako sam poznasz rychło... Igraszką dziecinną zdadzą ci się twe dotychczasowo szkolne mozoły. Drobnostką twoja matura, życie rozkaże ci zdawać prawdziwy egzamin dojrzałości co dnia... co godzina...

...Jeden błąd drobny na pozór a zwichniesz karierę i przyszłość. Pamiętaj, drogi chłopcze, że żaden Białoszyński nie zhańbił nigdy rąk swoich nieczystymi sprawami. W tym leży czystość i blask szlacheckiego klejnotu...

...A pamiętaj także, że masz młodsze rodzeństwo, dla którego opiekunem będziesz, skoro zimna mogiła przedwcześnie nakryje rodzica twego... — Tu zmiękł dziwnie i jak gdyby zawilgotniał dźwięczny niby spiż głos pana Onufrego. Odsapnął ciężko i dokończył: — Pomnij także, że matkę masz kochającą, a teraz pójdz w nasze ojcowskie ramiona! Niechaj cię uściskamy, chłopcze kochany...

## II

Żałośnie, jak na rozstanie, rozplakał się dzień polskiej zimy. Kończącej się zimy. Żałośnie dzwoniły duże krople deszczu na szybach małego domku.

I kwiatki, co rosły w glinianych wazonikach skurczyły się trwożliwie od pobliskiego zamazanego okna.

Dżdżysty wieczór marcowy rzucił posiew smutku, nawet na ludzkie serca, więc wtuliła się w róg kanapy, niegdyś niebieskiej, zadumana smętnie panna Marysia. Więc niewesoło spoglądał na nią obok siedzący młodzieniec.

A ogień w piecu kaflowym huczał i jęczał...

Było coś bardzo bolesnego w tej pieca pogwarce.

Ludzie mówią, że to dusze czyścowe skarżą się na mękę okropną. Mówią ludzie, że dusze zawodzą, a potem chwalą znękanymi głosy źródło Sprawiedliwości, bo wolno im, niewiecznym cierpieniem zmasać ziemskie przewiny ogromne.

Poza huczeniem płomieni gwałtem do komina przez przeciąg pędzonych, poza szelestom dżdżu kropli za oknem wielka cisza panowała w niedużej izdebce czerwonego domku leśniczówki.

Aż przerwał milczenie młodzieniec:

— Ostatni raz, Maryś kochana, gwarzymy sobie tu razem. Jutro wieczorem wsiądę w Krakowie do pociągu. Rankiem w Gdyni już stanę!... Odjadę wielkim okrętem. Rozdzielą nas lądy i morza... Rozłączą nas na długo...

— Na zawsze... — szepnęła jak echo dziewczyna.

— Jak możesz tak mówić?! Jak możesz, kochanie?... — powiedział prędko ze szczerym wyrzutem.

— Tak, Władziu, i nie jestem taka dziecinna. Mam szesnaście lat skończone... — rzuciła, dumna z wieku poważnego, który dziecinność wyklucza.

— Ależ, Marysiu, posłuchaj, co mówię ci po raz drugi: Wuj mnie wzywa, więc jadę. Będę w Stanach Zjednoczonych rok... dwa... no trzy najwyżej. Potem przyjadę po ciebie. Przyjadę i zabiorę w świat moje kochanie najsłodsze... Tak, Marysieńko... Będziesz moją żoną...

Szesnastoletnia, niedziecinna dziewczynka przymknęła oczy, by całą uwagę skupić na słuchu. Wchłaniała w siebie słowa chłopca; brzmiały jej w uszach jak pieśń czarowna, nieziemska. Budziły w podlotku kobietę...

Wtedy poczuła muśnięcie jego ust na czole. Nieśmiało, chłopięce muśnięcie, krótkie, a tak przyjemne niebiańsko. Potem objął ją ręką wpół i przytulił do siebie. Tak siedzieli długo, bardzo długo w zupełnym milczeniu.

Nie wiadomo, ile upłynęło czasu; lecz skoro dziewczynka spojrzała przed siebie, mrok zapadał. Chwila rozstania zbliżała się krokami olbrzyma. Maleńka

zmarszczka sfałdowała gładkie czoło Marysi. Szybko oblokła dręczącą myśl w prostą słów szatę:

— A jeżeli wrócisz nawet, to twoi rodzice nigdy nie przystaną na to małżeństwo... Ja wiem, Władziu... Czytałam dużo podobnych historii... Zawsze się kończą smutnie... Nawet wiem, jak się takie małżeństwo nazywa. Tak, wiem... To byłby mezalians...

— Jaka ty, Marysiu, mimo wszystko, jesteś dziecinna. Mimo że się tego wypierasz... Przecież ja za rok będę pełnoletni i nie muszę się wtedy nikogo o pozwolenie pytać ani prosić... Zwłaszcza jeżeli zdobędę w Ameryce pieniądze. A zdobędę, bo chcę!... — dodał bardzo stanowczo.

Już to Władzio Białoszyński odziedziczył energię po papie Onufrym, jak to słusznie sąsiad Leśniowski przed tygodniem zauważył. Lecz niedowierzającej Marysi nawet te zapewnienia nie uspokoiły. Więc przekonywał ją długo i dobitnie. Przekonywał słowami gorącymi, pełnymi zapału, z werwą i optymizmem młodego maturzysty. A czasami, jakby dla poparcia swych wywodów, używał słodszych argumentów. Całował wtedy drobne rączki Marysi lub drżącymi wargami muskał jej czoło.

Nieubłagany czas podszedł w czapce niewidce do wielkiego zegara ściennego. Popchnął wskazówki złośliwie. Wydzwonił wieczorną godzinę.

Potem przepłynął poprzez ścianę domku na dwór. Zaciągnął niżej kurtynę mroków i pobiegł do innych chat pełnić swą żmudną, jednostajną pracę...

Ten czas, nigdy się nie cofający, niezmordowany... Stary jak świat, a szybki niby strzała. Ongiś w Helladzie pod boskim imieniem Chronosa czczony, czas.

Zerwali się młodzi z kanapki.

Raz jaszczce spojrzeli sobie w oczy głęboko, jak gdyby milczące wymieniając przysięgi. Później źrenice chłopca wielką wyraziły prośbę. Błagalną prośbę. Zrozumiała i wstydliwym opuszczeniem powiek przyzwoliła. Więc Władek otoczył ją ramieniem, przygarnął do siebie z całej mocy i przybliżył wargi swoje drżące do jej dziecięcych usteczek...

Było to tak, jak kiedy wietrzyk swawolny nagnie kwiat róży herbacianej ku pączkom młodszej, pąsowej, sąsiadki-siostrzycy. Jak kiedy lekkim powiewem złączy i splecie ich płatki woniejące...

Było to piękne, lecz krótkie.

Potem jeden uścisk dłoni. Długi serdeczny uścisk i Władek ku drzwiom poskoczył. Jeszcze z progu słowa rzucił ostatnie:

— Czekaj mnie, Maryś, ja wrócę do ciebie.

Przytrzasnął drzwi z impetem. Pospieszył do małej stajenki, gdzie czekał Łysek-kasztanek.

Marynia przybliżyła rozpaloną twarz do szyby. Czowała jeszcze na ustach rajski posmak pierwszego pocałunku. Czowała i drżała na wspomnienie... A w uszach



dźwięczał wciąż ten głos najmilejszy:

— Ja wrócę do ciebie... ja wrócę.

— Wrrróóoci, wrrróóoci... — zapewniał piec, hucząc silniej, bo wzmógł się wicher wśród lasu. Dziewczyna zrozumiała mowę płomieni i radość odbiła się w jej oczach.

— Dzin... Dzon... Nie. Dziń... Nie. Dzon... Nie... — chichotał deszcz na szybie i smutek padł na duszę Marysiną.

Mignął w mrokach za okienkiem czarny cień masy ogromnej.

To Łysek z jeźdźcem na grzbiecie.

Usiadła dziewczynka na stołku. Podbródek dłonią podparła.

— Czy wróci Władek?... Dotrzyma swojej przysięgi? Ogień mówił, że tak. Deszcz szydził, że nie. Któż odgadnąć może?

Aż doszedł do jej uszu odgłos tętentu konia. Krótki cwał. Raz dwa trzy, raz dwa trzy, raz dwa trzy... — bębniły podkowy w krótkim galopie po drodze leśnej, błotnistej. Tak, jakby mówiły:

— Pytasz ty, czy wróci?... Może tak, może nie.

I ścichł głos w oddali. Cień niepewności padł na serce Marysi.

### III

Potworny ryk syreny rozdarł powietrze na ćwierci, ściągnięto mostki łączące olbrzymi okręt z kamiennym mołem. Pomiędzy nieruchomą masą betonu a kadłubem kolosa morskiego, bokiem prawym do mola przylegającego, ukazała się długa, wąska szpara. Szpara brudnozielonej, tłustej wody urosła do metrowej szerokości i wnet rozmiary wąwozu przybrała.

Statek *Bracia Słowianie* ruszył wolno, majestatycznie.

W kilku miejscach portu leżały na dnie zarzucone kotwice stalowymi linami z okrętem połączone. Kiedy warknęły motory i zaczęły liny nawijać na walce, parowiec drgnął i posunął się bokiem w stronę zatopionych kotwic. Manewrując zręcznie, odciągnięto w ten sposób olbrzyma od mola. Potem zaopiekował się nim mały holownik i powłókł go w stronę bramy portowej. Robiło to wrażenie tak zabawne, że Władysław Działoszyński uśmiechnął się mimowolnie.

Małeńki karzełek-holownik sapał, furczał, dymił i ciągnął z wielkim wysiłkiem kolosa.

Potem wzrok młodzieńcu pobiegł ku wybrzeżu. Postacie ludzi, powiewających z mola chustkami, zmałyły niesłychanie. Władka nikt tu nie żegnał. W Krakowie rozstał się z rodziną... Więc odwrócił oczy w inną stronę.

Statek defilował wzdłuż dawnej plaży gdyńskiej. Dzisiaj począwszy od

skalistego cypla Orłowa, a skończywszy na nasadzie półwyspu Hel, rozciągało się miasto potężne, portowe, tak zwana Wielka Gdynia.

Jak okiem sięgnąć, widniały olbrzymie prostokątne budynki. To magazyny lub spichrze. Jak okiem objąć, tłoczyły się okręty wszystkich prawie państw świata.

Olbrzymie krany żelazne dźwigały całe tony polskiego zboża i mąki, która szła stąd w krainy dalekie. W oddali czerniały piramidy węgla śląskiego i złociły się sterty drewna na budulec. Bardziej na zachód wznosiły się ku niebu kolosalne walce: to zbiorniki spirytusu, nafty, benzyny czy olejów skalnych.

A w tyle, na wzgórzach, jak białe tło obrazu jaśniały równe rzędy gmachów trzydziestopiętrowych.

Wielka Gdynia — okno na morze... — okno Polski na świat daleki...

Tędy szły niesłychanie bogate plody naturalne Rzeczypospolitej, konkurując skutecznie na rynkach zagranicznych bajeczną taniością, dzięki niskiej kalkulacji kupców i dzięki najtańszemu robotnikowi. Tędy wypływały masy towaru, sprowadzając do kraju gotówkę, bogacąc obywateli i skarb państwa...

I dlatego, mimo że emisja banknotów dawno przekroczyła 1 miliard i 800 milionów złotych, kurs złotego w stosunku do dolara wahał się między 5,07 a 5,02, przy stałej, choć powolnej tendencji zwyżkowej. Nic dziwnego, skoro waluta polska miała 74% pokrycia w złocie.

Więc z dumą spozierał Władysław na Gdynię, chlubę ojczyzny. Na ten New York sarmacki...

Tymczasem okręt *Bracia Słowianie* wydobył się z brudnych odmętów portowych i pożegnawszy holownik, wypłynął własną siłą na zielone fale Bałtyku.

Pęd statku zwiększał się z każdą minutą.

Już nie tylko starą, niemieckie czasy pamiętającą latarnię morską widać było dokładnie, ale i inne budowle Helu.

Przedefilowały po lewej ręce wspaniałe luksusowe hotele i pensjonaty otoczone wieńcami ogrodów. Tu i ówdzie bielily się prostokąty tenisowych placów,

Ale ludzi widać nie było...

Marzec to jeszcze zima. Dopiero w maju zaroją się plaże gęstymi tłumami kuracjuszy. Dopiero gdy ciepły schyłek wiosny zwabi rzesze turystów z całej Polski, ożyją ruchem ogromnym te ogrody, place, hotele. Dopiero wtedy wypłynie na lekko sfalowane nurty morza ta olbrzymia flotylla żaglowców, motorówek, łódek, jachtów i parowców spacerowych.

Uwagę przykuła mijana właśnie statua gigantycznych rozmiarów. Znał ją dobrze. Niejeden raz szkolne wycieczki krajoznawcze przywoziły tutaj dzieci ziemi krakowskiej. Niejeden raz podjeżdżali do skalistej, sztucznej wyspy łodziami. Władek znał także historię tej statuy.

Było to w roku 1932.

Świetnie się rozwijające towarzystwo morskiej żeglugi *Polros* ufundowało ten pomnik wiekopomnego Polski z Rosją przymierza...

W odległości kilkudziesięciu metrów od cypla Helu wrzucono w morze tysiące głazów wielotonowych. Nawrzucono ich tyle, że utworzyły piramidę na jakie dwadzieścia metrów ponad stan wody sterczącą. Dziesiątki nurków pracowały nad zmontowaniem fundamentów tego kamiennego stożka.

A na szczycie umieszczono posąg...

Przedstawiał on Rosjanina i Polaka podających sobie prawice w braterskim uścisku przyjaźni. Figury były wielkości piętnastometrowej według zapewnień dzienników. U stóp tych muskularnych olbrzymów porozmieszczał rzeźbiarz pług, młot, mały okręt i miecz. Całość otoczył wieńcem kilku niewielkich armatek... Miało to oznaczać, że dwa pokrewne narody nie tylko w pracy są zbratane, ale że łączy ich także wieczyste przymierze militarne... że najeźdźca, który by się poważył przekroczyć słupy graniczne jednego z tych państw, ujrzy naprzeciw siebie zwartą masę dwustu pięćdziesięciu milionów Słowian. Nie skarłałych degeneratów ultracywilizacji, ale ćwierć miliona ludzi fizycznie zdrowych i silnych jak dęby, a zdolnych do wysiłku tytana...

Ten symbol braterstwa wiecznego, ten wspaniały pomnik wykonano z polecenia fundatorów w dwóch odlewach. Jeden wznosił się w pobliżu Kronsztadu, a drugi zdobił Hel, stanowiąc równocześnie groźne memento dla zaborczych sąsiadów z zachodu.

Więc дума wezbrała w piersiach młodego Polaka. Wyprostował się Władek, jak żołnierz, na bacność i zęgnął spojrzeniem piękny pomnik malejący coraz bardziej w oddali. A gdy rozplynął się wreszcie, równocześnie prawie z latarnią morską, kiedy znikł wreszcie z oczu wygięty jak bumerang łuk Helu i po lewej ręce zaczęły się niemieckie dziedziny. Władysław przekrzywił z fantazją czapkę na głowie i ruszył w głąb statku.

## ROZDZIAŁ II

### **Kabaret *Na biegunie północnym***

#### I

Z początku czuł się młody Polak ogromnie onieśmielony wśród tłumu pasażerów *Braci Słowian*. Dokoła niego szemrała istna wieża Babel języków świata. Gdyż oprócz niewielkiej grupy Polaków, Rosjan, Finów, Łotyszów czy Litwinów jechali pierwszą klasą przeważnie Anglicy, Amerykanie, Francuzi, Holendrzy, Szwedzi, Belgowie, a nawet Niemcy. Sami biznesmeni wracający z Rosji lub Polski po załatwieniu swych olbrzymich nieraz transakcji. Drugą i trzecią klasę zajmowali wyłącznie ubożsi emigranci słowiańscy lub agenci biedniejszych zagranicznych przedsiębiorstw.

Wprawdzie poza statkami *Polrosu* kursowały na tej przestrzeni także okręty innych linii (zwłaszcza angielskich), ale dzięki mądrej polityce rządu rosyjskiego i polskiego napotykały one na tyle rozmaitych nieoficjalnych szykan, że *Polros* miał w prawdzie nieustawowy, ale faktyczny w praktyce monopol. Jodynie tylko *White Star Line* oraz *Cunard Line* stanowiły dlań pewną, choć niegroźną konkurencję. Inne kompanie okrętowe dały za wygraną i gdzie indziej szukały zarobków.

I dlatego ludzie interesu wszystkich narodowości, udający się do bogatej Rosji czy też Polski, jechali przeważnie tą linią.

I dlatego Władek poczuł się początkowo dosyć nieswojo i po obiedzie czym prędzej poszedł do swej kabiny.

Sen miał dobry, głęboki. Nie słyszał nawet, jak po północy okręt dobił do Kopenhagi. Nie słyszał, jak nowa fala pasażerów zalała pokłady *Braci Słowian* i rozplynęła się po kajutach, kabinach czy salach.

A kiedy się wreszcie przebudził, okręt zataczał wielki łuk na lewo. Przez okno kabiny ujrzał chłopiec nizinne wybrzeże.

Przywołany kelner przyniósł mu sute śniadanie. Od niego leż dowiedział się Władek, że mijają właśnie, przylądek Skagen. Zdumiał się młodzian. Jak to? Więc te płaskie równiny to Półwysep Jutlandzki? Więc dziób statku pruje już wody

Skagerraku i niebawem zacznie orać fale Morza Niemieckiego?

— Maryś moja!... Ile mil dzieli nas w tej chwili — westchnął w duszy i jął się czym prędzej ubierać. Przedpołudnie poświęcił na zwiedzenie kolosa-okrętu. Zdawało mu się, że poblądzi w tym labiryncie korytarzy, hallów i oranżerii, werand, sal wspaniałych, galeryjek, pokoi zacisznych, kajut i kabin. Odkrył dwa kryte place tenisowe, odkrył *Pałac Zimowy* i dwa ogromne baseny z pływalnią.

Po południowym posiłku wypożyczył za drobną opłatą łyżwy i ślizgał się aż do wieczora. Potem przeszedł do biblioteki i przyległej czytelnicy. Tak się zagłębił w wertowaniu zagranicznych tygodników ilustrowanych, że nie zauważył zupełnie, kiedy okręt zawinął do ruchliwego Amsterdamu i kiedy z portu wyjechał.

Nagle na ścianach czytelnicy pojawiły się świetlne sygnały. W czterech językach zabłysły napisy:

### *Za pół godziny obiad*

Więc ruszył Władek na dół, do swej kabiny, by przebrać się w smoking.

W olbrzymiej luksusowej i ze smakiem urządzonej sali jadalnej panował gwar głosów setek rozmawiających gości. Białoszyński zajął swe dotychczasowe miejsce przy stoliku pod ścianą. Był to stół mniejszy, bo na tuzin osób obliczony. Dwa miejsca czekały jeszcze na właścicieli. Jedno po prawej stronie Władka; drugie na rogu przeciwnym. Mając nadto po lewej ręce nader mrukliwego starszego sąsiada, mógł Władek z całą swobodą poświęcić się obserwowaniu sali i jej gości, z czego był bardzo zadowolony.

Wtem u stóp marmurowych kolumn wejścia stanął jeszcze jeden spóźniony pasażer. Kobieta. Rozglądała się po sali, jakby szukając znajomych czy wolnego krzesła. Wyfraczony steward wskazał jej usłudnie stół środkowy, gdzie stało jeszcze kilka próżnych foteli.

— Chwała Dogu... — pomyślał Białoszyński, drżąc na myśl, że pasażerka mogła dostrzec wolne krzesło obok niego.

Dama przeszła lekkim, elastycznym krokiem pomiędzy rzędami stołów. Przystanąła na chwilę i wtedy zaobserwował Władek, że jest bardzo piękna. Tak piękna, że wszyscy panowie patrzyli na nią z wyraźnym zachwytem. Że wszystkie kobiety obrzuciły ją wzrokiem krytycznym, szukając na gwałt ujemnych stron jej urody.

I nagle, ku swemu szczeremu przerażeniu, spostrzegł Władek, że piękna pasażerka patrzy w jego stronę. Nie tylko patrzy, ale idzie nawet.

— Żeby choć na tamtym krześle usiadła. — zdołał jeszcze pomyśleć.

Niestety, usiadła tuż przy nim. Nie. Nie usiadła, lecz spoczęła lekko jak motyl zmęczony pościgiem chłopca. Siadła czy spoczęła, ale Władek stracił

zupełnie wilczy apetyt. Bał się teraz, że ze wzruszenia przewróci karafkę z winem lub ośmieszy się jaką inną niezręcznością. Więc z wyniosłą miną oddalił usługującego kelnera. Aby zagłuszyć donośną symfonię kiszek, dopominających się o korzystanie z tych przysmaków, które się przez stół przewijały bez końca, zaczął młodzieniec dyskretnie zerkać w stronę uroczej sąsiadki.

Najpierw dostrzegł jej lewą dłoń. Paluszki miała szczupłe, lecz długie. Paznokcie ciemnoróżowe, wypolerowane, lśniące i bardzo ostro zakończone, według wymagań ostatniej mody. Skóra dłoni była biała, a delikatna jak jedwab najdroższy. Jeden tylko pierścień z brylantem wielkości grochu zdobił tę rączkę, stworzoną tylko do pocałunków i pieszczot. Aż do łokcia ciała widać nie było zupełnie, gdyż zakrył je szczelnie rząd błyszczących bransolet.

Władek, ośmielony pierwszą próbą, ześlizgnął się wzrokiem aż na toczone ramię, jędrne i okrągłe. Aż na szyję i dekolt głęboki...

Nieznamoma miała na sobie suknię balową pochodzącą niewątpliwie z któregoś z paryskich magazynów. Więc bogato haftowana materia obciskała figurę do pasa dosyć silnie, że godne dłuta rzeźbiarza helleńskiego kształty kobiety, zaznaczyły się wcale wyraźnie. Dolna część toalety była luźna, jak gdyby z dwóch fartuszków zrobiona. Na wysokości kolan fartuszki te spajały po bokach dwie klamry w kształcie motyli błyszczących. Cała ta kosztowna suknia trzymała się na jednym cieniutkim złotym łańcuszku, który jak szelka biegł od pleców na piersi. Słaby, cieniutki łańcuszek. Ha! Gdyby pękł nagle, Władek by ujrzał i zemdłał... Tak sądził przynajmniej w tej chwili.

— To musi być jakaś gwiazda ekranu — zdecydował w duchu, nasyciwszy pierwszy głód oczu widokiem jej wspaniałej urody. Zdołał zauważyć na razie, że dama nosek ma grecki, usta małe, wiśniowe; oczy ciemnoszafirowe w czarnej oprawie i złote, w rudy kolor wpadające włosy. Zauważył, że główkę ma kształtną, figurę prześliczną a ruchy dystyngowane choć swobodne zupełnie.

— To musi być jakaś lady — awansował mniemaną gwiazdę, na arystokratkę angielską.

W tej chwili piękna sąsiadka zwróciła się do niego z prośbą o podanie karty win. Przemówiła na szczęście po angielsku. Więc z gracją młodego niedźwiedzia uczynił Władek zadość życzeniu sąsiadki i wręczając jej żądany spis, dotknął palcami jej dłoni aksamitnej. Przeszedł go ciepły dreszczyk – dreszczyk niewysłowienie przyjemny.

Jak się to stało właściwie, tego Władek nigdy później nie był sobie w stanie przypomnieć. Ale fakt faktem, stało się i rozpoczęli rozmowę. To znaczy, początkowo mówiła tylko ona. On ograniczył się tylko do krótkich: *yes* lub *oh, no...* A potem stajały lody i młody Białoszyński się rozkrochmalił, rozgadał, jakby był w Miłejwsi. Chwilami szczypał się dość intensywnie w okolicę kolana, aby sprawdzić, że to nie sen, lecz jawa. Aby się przekonać, że rzeczywiście Władysław,

syn Onufrego i Zofii z Bejów Białoszyńskiej jest tak śmiały, iż rozmawia swobodnie z nieziemsko piękną, nieznaną lady.

W pewnym momencie powiedziała ona:

— Pan doskonale włada angielskim językiem...

Wspomniał sobie wtedy, że przy maturze dostał z angielskiego tylko dostatecznie. Spojrzał więc dość nieufnie na sąsiadkę i pomyślał:

— Albo ona kpi, albo tamci się na mnie nie poznali...

Głośno zaś rzekł:

— U nas, w Polsce, uczymy się tego języka obowiązkowo, na równie z francuskim i rosyjskim. Dawniej, za czasów mego ojca, była zamiast tego łacina, greka i niemiecki, ale po reformie szkolnictwa zmieniono program przedmiotów

— I postąpiono zupełnie słusznie. Na co się dzisiaj komu przyda łacina lub greka. Ale niemiecki mogli byli zostawić. Co? Jak pan uważa?...

Władek pomyślał natychmiast:

— Że też zawsze Anglicy muszą się za Szwabami wstawiać... — Lecz wyobraził sobie, że nie wypada mieć innego zdania niż tak piękna kobieta, więc poszedł na kompromis! Zwłaszcza gdy wspomniał zadawnione urazy do gramatyki francuskiej. Szybko odparł:

— Zapewne. Ja, gdybym był ministrem oświaty, to nakazałbym uczyć obowiązkowo tylko angielskiego i rosyjskiego. Trzeci język zostawiłbym do wyboru uczniom.

— Ma pan zupełną rację... — odpowiedziała, a serce Władka zalała fala dumy i radości niesłychanej. Pochwała tych cudownie wykrojonych usteczek, stornowała za jednym zamachem wszelkie urągania ojcowskie na temat tego wałkonia, tumana czy dryblasa Władka.

Obiad miał się ku końcowi. Wyfraczeni kelnerzy rozdawali wszystkim damom bukietki kwiatów rozmaitych i przed każdym biesiadnikiem kładli artystycznie wykonany program rozrywek dzisiejszego wieczora.

Poza przestarzałym kinem, które od dwudziestej czwartej godziny wieczór do piątej rano wyświetlało bez przerwy różne dramaty salonowo-erotyczne, kryminalno-detektywistyczne i egzotyczno-sensacyjne, poza niemodnymi produkcjami aparatów radiowych były znacznie lepsze punkty programu.

Więc przede wszystkim kinorad.

Kinorad *Braci Słowian* dawał dzisiejszego wieczoru *Madame Butterfly* z La Scali mediolańskiej a potem, około północy, *Pana dyktatora* z Opery Komicznej w Moskwie...

Kinorad nie był niczym innym jak tylko połączeniem kina z radiem. Odpowiednio skonstruowany aparat nadawczy rozsyła na cały glob ziemski nie tylko dźwięki ale i fale świetlne, tak że widz każdego kinoradu nie tylko słyszał

doskonale głosy solistów, orkiestrę czy chóry, ale równocześnie oglądał na ekranie najdokładniej przebieg całego spektaklu... Poza tym dzięki odpowiednim soczewkom nie było tego uczucia płaskości obrazu dawnego kinematografu. Przeciwnie, wszelkie kontury uwydatniały się z zadziwiającą wyrazistością, z zachowaniem doskonałej proporcji głębokości.

Dawne kino rzucało przed oczy obrazy, kinorad zaś rzeźby, a poza tym oddawał naturalne kolory odtworzonej sceny. Również ulepszona była strona foniczna. Metaliczne, twarde, syczące dźwięki radia zatęczały o staroświecki gramofon. Kinorad mamił słuch ułudą, że głosy śpiewaków czy osób mówiących pochodzą z samego ekranu.

Dzięki temu krytyk siedzący w kinoradzie pędzącego ekspresu Kolei Syberyjskiej mógł pisać recenzję premiery wystawianej równocześnie w Metropolitan House w New Yorku...

W Polsce również pozakładano kinorady w większych miastach, ale bilety wstępu były za drogie jak na studencka kieszeń. Toteż Władek ucieszył się bardzo, że bezpłatnie zobaczy na statku takie przedstawienie.

Niestety, w tejże chwili piękna sąsiadka skrzywiła swe ślicznie wykrojone usteczka w lekko wzgardliwym uśmiechu. Rzekła kapryśnym tonem:

— Ach znowu *Butterfly*? To nie dla nas. Pójdziemy raczej na dancing.

Białoszyński zbladł i nerwowym lecz dyskretnym ruchem sprawdził, czy portfel ma w kieszeni. Jak każdy początkujący globtroter bez większej gotówki, przestudiował dokładnie wszystkie mnogie paragrafy wydrukowane na odwrocie olbrzymiego biletu okrętowego. Prawie na pamięć znał te dogmaty:

*W cenie biletu mieści się podróż kabiną pierwszej klasy, całkowity wikt i bezpłatny wstęp do wszystkich miejsc rozrywkowych okrętu itd., itd. Wina, cygara, papierosy oraz potrawy i napoje spożyte w kabarecie dancingu płaci się osobno... itd., itd.*

Więc melancholijnie uśmiechnięty przystał na propozycję pięknej lady. Tylko w myśli powtórzył z rezygnacją stare ojcowskie przysłowie:

— Umarł w butach...

W jadalni pierwszej klasy rozpoczął się ruch. Świetlne sygnały na wysoko umieszczonych tablicach zapowiadały bliskie rozpoczęcie przedstawień i koncertów oraz zmianę programów w kinie. Więc podnosiły się tu i ówdzie grupki osób i podążały w różnych kierunkach.

— Pójdziemy także... — rzekła piękna pani do Władka. W przechodzie podała kelnerowi numer swojej kabiny. Wyfraczony sługus dyskretnie zanotował go w notesie i obciążył konto pasażerki za wypite wino.

Postępując z tyłu, podziwiał Władek zgrabne nóżki swej przygodnej



znajomej. Zachwycił się pończoszkami ze złotej siatki ozdobionymi w ręcznie malowane kwiaty i żałośnie tulił do piersi, na poważne niebezpieczeństwo narażony portfelik.

Przeszli labirynt korytarzy wysłanych szczelnie dywanami. Przebywszy szerokie marmurowe schody, znaleźli się w niewielkim hallu. W przeciwnym końcu tej salki wyrosła przed nimi złocista, ogromna portiera, spoza której dobiegały przytłumiono dźwięki orkiestry. Boczne ściany hallu składały się z szeregów nisz lustrzanych. Tu damy poprawiały sobie fryzury i toalety przed wejściem na salę dancingu. Piękna nieznajoma Władkowa podeszła także do jednego zwierciadła. Więc Władek został w pośrodku potrącany przez tłumy spieszące na zabawę. Lecz niektórzy panowie stali w pobliżu niego. Tak jak i on oczekiwali na swoje partnerki...

Jeden z tych gentlemanów wpadł Białoszyńskiemu w oko. Był to na pewno Japończyk. Mimo silnego przypudrowania twarzy przebijała jego cytrynowa skóra. Mimo wielkich czarnych okularów widać było małe, silnie skośne oczy.

Zdawało się Władkowi, że Japończyk przygląda mu się nawzajem. Choć czynił to z nieporównaną, dyskrecją, ale bystremu oku chłopca ujść to nie mogło. W tej samej chwili piękna nieznajoma wróciła. Odezwała się swym miłym mezzosopranowym głosem:

— Czy zna pan już program dzisiejszy?

— Nie, proszę pani. Nie zdążyłem zapytać...

— Ja się dowiedziałam. Pojedziemy na biegun północny. Ale chodźmy...

Poza złocistą portierą wrzało. Z jednego boku leżały stopy kostiumów białych niedźwiedzi, fok i morsów. Po przeciwnej stronie widniała brama oświetlonego jasno tunelu. W środku, stało kilka zaprzęgów psich. Po cztery wspaniało wilczury lub rasowe charty ciągnęły jedno saneczki, niezbyt wysokie.

Woźnice w strojach Eskimosów zapraszali we wszystkich językach świata do miłej przejażdżki na biegun...

Z uśmiechem na ustach pociągnęła nieznajoma Władka w stronę zaprzęgów. Swawolnie jak dzieci zajęli miejsce na ławeczce saneczek. Eskimos zaciął psy, które szarpnęły z impetem. Teraz dopiero zauważył Władek, że sanki mają w płozach ukryte rolki i dzięki temu mogą lekko sunąć po gładkiej jak lustro posadzce. Wpadli pędem do niskiej pieczary. Był to tunel zrobiony z masy papierowej, łudząco lód naśladowującej. Wśród stalaktytów i sopli obwisłych błyszcząły ukryte lampeczki.

Tunel miał dwa zakręty. Jeden w lewo, drugi w prawo. Dzięki temu goście siadający do saneczek nie mogli widzieć czarodziejskiego wnętrza dancingu.

Nagle z ust Władka wyrwał się mimo woli okrzyk podziwu.

Bo oto pieczara tunelu rozszerzyła się nagle i rozpędzony zaprzęg wpadł na salę olbrzymią. Wjechali w krainę lodów i śniegów wieczystych. Psy biegły dalej.

Środek ogromnej przestrzeni zajmowała posadzka dla tańczących. Posadzka nie dębowa, lecz szklana. Pod grubą taflą, zielonkawą, ruszały się niesamowicie jakieś polipy, rozgwiazdy, rekiny i morsy. Dekorację tę wykonano tak doskonale, że Władek sądził w pierwszej chwili, iż jedzie po lodzie przezroczystym. Wirujące już pary usunęły się z drogi nadjeżdżającym saneczkom.

Dokoła areny kolistej dla tańczących wznosiły się postrzępione góry lodowe w trzech terasach.

Więc najbliżej i najniżej wznosiła się terasa namiotów. Był to wieniec budek płóciennych osłaniających każda z trzech boków jeden stół i jego biesiadników. Tylko frontowa ścianka od strony środka sali była niezakryta, lecz podwinięte skrzydła draperii wskazywały, że namiot w razie weselszej zabawy może być szczelniej zamknięty.

Powyżej obiegała w krąg salę terasa chat Eskimosów, zupełnie podobnie wyekwipowanych. A hen w górze, blisko pułapu i najdalej od środka, znajdowało się trzecie piętro tego amfiteatru. Terasa jaskiń lodowych.

Każda pieczara miała oświetlenie innego koloru. Lecz nadaremnie szukał Władek wzrokiem choćby jednej żarówki. Wszystkie światła ukryło wśród zwałów śnieżnych, na dnie przepaści, pod mostkami, między stalaktytami i w blokach przezroczystego lodu.

Bombardowany papierowymi piłkami, kule śnieżne naśladowującymi, objechał zaprzęg tańczące pary i zatrzymał się przed środkowymi schodkami.

Dwóch kelnerów w kostiumach burych niedźwiedzi podskoczyło ku nowo przybyłej parze, zapytując, na której terasie życzą sobie mieć stolik. Piękna lady wnet zadysponowała;

— Jest grota wolna?

— Tak jest, pani. Jeszcze kilka jest niezajętych. Zielona, fiołkowa, srebrna, pomarańczowa, szafirowa... — recytował kelner.

— Niech będzie pomarańczowa. Prowadź nas, niedźwiadku!...

Dopiero z grotu mógł Białoszyński ocenić całe piękno niezwyklej dekoracji sali. Bolały oczy od skrzęcej białości śnieżnego całunu rozpostartego wszędzie. Jak brylanty olbrzymiej wielkości błyszczały porozmieszczane tu i ówdzie kryształki misternie szlifowane. Rzucone na nie światło zamaskowanych lampek odbijało się snopami iskier wszystkich barw tęczy.

Teraz ujrzał Władek orkiestrę. Muzykanci za Eskimosów poprzebierani grali w największej grocie, po drugiej stronie sali. Tuż obok „słońca wschodzącego”. Słońce wyobrażał papierowy, nader korpulentny jegomość w przekrzywionym cylindrze na głowie. Ubrany był poza tym we frak, nazbyt z przodu wycięty, i czarne spodnie, niepodciągnięte należycie do góry. Skutkiem tego defektu w garderobie brzuch figury był nagi i tam właśnie mieścił się duży reflektor wysyłający barwne a niedyskretne promienie do rozbawionych namiotów, chat czy

jaskiń. Zasadniczo oświetlał platformę dla tańczących w pośrodku sali, ale od czasu do czasu kierowano go przelotnie na terasy, gdzie siedzieli goście. Wówczas strumień światła chłodził, jak zimna woda, zbyt czułe parki, wywołując powszechną wesołość na sali.

Tymczasem kelner w stroju niedźwiedzim przypomniał się grzecznie:

— Co państwo rozkażą? Może mam się zgłosić później?

— Szampana dawaj, misiu. Na razie szampana... — zaśmiała się pani.

Władek przetykał właśnie w duszy to *na razie szampana* – co dopiero będzie później – kiedy kelner podsunął mu spis win i spytał:

— Sir, jaką markę pan rozkaże?

Białoszyński zgłupiał w pierwszej chwili na takie dictum, ale spryt życiowy podsunął mu szybką radę. Zwrócił się do towarzyszki:

— Jaką pani woli?...

Wymieniła swą ulubioną markę i niedźwiedź odszedł, a Władek odetchnął z ulgą przeogromną.

— Najgorsze przeszło... — pomyślał.

— Jeszcze nie... — przypomniał się cienki portfelik.

— Prawda, psiakrew... — przyznał mu rację melancholijnie. Ale piękna pani rozchmurzyła wnet jego troski, z pomocą szampana. Kazała się nazywać po prostu: miss Teacher... tak, miss Teacher. Wypytywała go szczegółowo o rodzinę, zawód, o cel podróży. Zdumiała się, gdy usłyszała, że jego wuj nazywa się Tomasz Rej... Tak... Tom Ray, jak go nazywano w Ameryce, był znana osobistością New Yorku.

Po tej informacji ostatniej grzeczny uśmiech pięknej jak marzenie miss Teacher stał się podwójnie słodki i ujmujący. Ale tę zmianę korzystną przypisywał Władek sobie wyłącznie i rósł jak na drożdżach we własnej opinii.

— Tańczy pan?... — zapytała w pewnej chwili.

Muzyka grała właśnie six-stepa, który był niczym innym jak spokojniejszą odmianą polskiego oberka. Białoszyński zdołał już nabrać pewności siebie. Odparł powstając:

— Yes, miss Teacher. Bardzo panią proszę.

Szybko zbiegli po krętych schodach odgryzając się śnieżnym piłkom atakujących biesiadników terasy, chałup i namiotów. Nastrój na sali wzrastał z każdą minutą. Niektóre panie poprzebierały się w stroje fok lub morsów i płetwami klepały znajomych czy niezajomych. Gentlemani w kostiumach polarnych niedźwiedzi robili wesołe zamieszanie. Teraz zrozumiał Władek, że Kelnerzy mają dlatego strój niedźwiedzi burch, aby się odróżnić od gości.

Lecz czas był tany rozpocząć. Silnie objął prawą ręką kibić swej towarzyszki i puścił się w takt skoczego six-stepa.

— Ona nie tańczy, lecz płynie... — zauważył już po pierwszych krokach.

Białoszyński, jak wszyscy północni Słowianie przepadał za tańcem i tańczył

bardzo dobrze. Więc, znalazłszy taką partnerkę, płynął jak we śnie po szklanej posadzce i improwizował skomplikowane figury. Usteczka miss Teacher rozchyliły się nieco i ukazały dwa rzędy perełek zębów. Jej prawa dłoń ścisnęła kilka razy lewą rękę dansera. Wówczas jakieś nadziemskie prądy przeszły po nim, budząc nieokreślone a rozkoszne uczucia. Oddał uścisk może zbyt silnie i dotknął prawym policzkiem jej lewej skroni. Zresztą tańczenie *cheek to cheek* było znów modne w tym roku.

— Psiakrew, nie wytrzymam i pocałuję... — skonkretyzował w duchu śmiały zamiar, jaki nim owładnął. A oczy, szafirowe, jakby senne trochę oczy miss Teacher, patrzyły tak marząco, tak słodko. A ząbki błyszcząły tak ponętnie...

Na szczęście dla Władka danserka chciała odpocząć i wrócili do groty. Usiedli teraz obok siebie. Białoszyński czuł głośne tętno serca, ilekroć jego ręka dotknęła nagiego ramienia sąsiadki. Mienił się na twarzy tak silnie, że nie mogło to ujść jej oku. I gdy wypili jeszcze dwie szklaneczki musującego płynu, rzekła z uśmiechem:

— Oglądnijmy wnętrze groty...

Cofnęli się razem w głąb. Co prawda pieczara, której wylot zajmował stół, nie była głębsza jak cztery metry. Dzięki jednak pewnemu obniżeniu podłogi osoby tam stojące były zupełnie niewidoczne dla biesiadników innych grot, nie mówiąc już o dolnych terasach sali. Może umyślnie tak jaskinie te urządzono? Może dla par zakochanych była przeznaczona mała kanapka?...

Miss Teacher oparła poufale swą wypielęgnowaną starannie rączkę na ramieniu chłopca. Spytała troskliwie a wesoło zarazem:

— Co panu jest?... Taki pan zmieniony...

— Zginąłem... — pomyślał zrozpaczony młodzieniec.

— Co panu jest?... — powtórzyła pytanie ciszej, melodyjniej.

Wówczas rogata dusza ozwała się we Władku. Wpił w szafirowe źrenice dziewczyny oszalałe spojrzenie swych spragnionych oczu i odparł beczelnie:

— Co mi jest? Powiem. Jest pani tak śliczna, tak ponętna, że boję się, bym... — urwał.

— By co?... — dopytywała się z niewinną miną.

— Bym pani nie chwycił i nie pocałował juk szaleniec. — Przymknął oczy i myślał: — Teraz da mi w papę, że się rozlegnie na sali...

Wtem uczył, że ramię kobiety opasało mu szyję. Otworzył zdumione powieki i dojrzał tuż przed sobą jej rozchylone, kuszące usteczka. Poruszyły się wolno, mówiąc słodkie, znaczące słowa;

— Nie boję się... Nic się nie boję...

Wówczas Władek porwał ją krzepko w objęcia i zdusił wargami łakomymi te usta prześliczne, pachnące. Rozgniół je aż do zębów perełek. Odurzył go zapach silnych perfum, upoiła woń ciała młodego. Zaszumiało w głowie wypite wino.

Wieki, zda się, trwał pocałunek.  
Nagle odepchnęła go silnie. Bardzo silnie. Zdumiał się trochę, lecz w tej chwili zrozumiał.  
Cień jakiś padł na podłogę.  
Odwrócił głowę młodzieniec. U wejścia jaskini, tuż obok ich stolika, stał niewysoki biały niedźwiedź i kłaniał się miss Teacher. Prosił ją w tan...  
Skinęła głową.... odeszła.  
Władek został sam.

## II

Kiedy miss Teacher zaczęła wirować ze swym nowym danserem, rozpoczęli od razu interesująca rozmowę. On rzekł:

— Tym razem źle trafiłaś, Ri. Zrewidowałem jego manatki. Nic ciekawego. Zupełnie nic. To jakiś biedny student. Dziwię się, że pierwszą klasą jedzie. Rzeczy i bielizna nędzna.

Zdziwiła się trochę:

— Jak się dowiedziałeś numeru kabiny? — spytała.

— Bardzo po prostu. Widziałem, że z nim siedziałaś w jadalni. Spamiętałem wasze miejsca. Spytałem kelnera o numery kabin. Oczywiście musiałem dać napiwek.

— No i nic?

— Nic. Szkoda czasu na całusy ze smarkaczem... — rzucił ostro.

Przychyliła główkę zalotnie i spytała;

— Hakari-San zazdrosny? Fe, brzydalu!... Znowu się okazuje, że ja mam węch lepszy, chociaż nie robiłam rewizji. Wiesz, kto jest wujem tego chłopca?...

— No? — zaciekawił się.

— Tom Ray. Tak, przyjacielu. Ten miliarder jest wujaszkiem mego dzisiejszego wielbiciela. No co, mam zły gust?...

Maska ruszyła ramionami:

— Zły jak zły. Wprawdzie na przyjęciach u Raya bywa cały high life New Yorku, ale tam się nie dostaniesz. Tam przestrzegają bardzo ściśle doboru towarzystwa. Wstęp tylko za imiennymi kartami, a trzeba mieć duże stosunki, żeby być między zaproszonymi... — drażnił jej ambicję.

Odparła:

— Sądzisz... Cha, cha, cha... Ten chłopczyk mi sam przyniesie zaproszenie. Będzie bardzo szczęśliwy, skoro je przyjąć raczę. Tak Hakari...

— Rób, jak chcesz, byleś nie rozprzestrzeniała energii na drobnostki. Pamiętaj, jakiej sprawie służymy...

— Pamiętam, nudziarzu. Zawsze pamiętam, ale czy mi nie wolno trochę poflirtować z ładnym, a naiwnym chłopcem?... — zapytała przekornie.

Przycisnął ją silnie i rzucił głosem szorstkim, bardzo szorstkim nawet:

— Nie drażnij mnie, Ri! Wiesz, że muszę ci pozwalać na wiele i czynię to tylko ze względu na świętą naszą sprawę. Poza tym należysz do mnie. Wyłącznie do mnie. Nie myślę tolerować takich twoich miłostek, z których nam nic nie przyjdzie. Zrozumiałaś?...

W milczeniu przebyli kilkanaście pas tanga urugwajskiego. Potem kobieta odezwała się głosem cichym, lecz zdradzającym wzburzenie:

— Przedziwną masz logikę, Hakari. Skoro chodzi o twoje cele, które świętymi nazywasz, skoro chodzi o zdobycie potrzebnych wiadomości, rzucasz mnie w ramiona każdego mężczyzny. Wiesz dobrze, że niejeden z nich jest wręcz wstrętny dla mnie... Ciebie to nie obchodzi oczywiście. I nie dręczy cię całkiem myśl, że muszę się im oddawać, że jestem ich kochanką. Tak, Hakari. Ale kiedy dla zabawy pocałuję się z chłopcem, który mi się trochę podoba, wówczas robisz mi scenę zazdrości...

Mężczyzna odparł tym samym ostrym tonem co przedtem:

— Nie rozumiemy się nawzajem, wobec tego zmienmy temat. Mam tu dla ciebie pewną robotę. Możemy wyjść, to ci opowiem, o co chodzi.

— Wykluczone, Hakari. Nie mogę z tego siostrzeńca Raya robić głupca. Jeżeli chcesz, to jutro się tamtym zajmę...

Mężczyzna zastanowił się przez chwilę, zanim odpowiedział:

— Ostatecznie dobrze. Niech będzie jutro. Ale teraz dyskretnie znikniemy na kwadrans. Chcę ci go pokazać. Jest w kasynie gry. Dobrze, Ri?

— To co innego. Tylko tak musimy wyjść, żeby nas ten naiwny dzieciak widział. Wzbudzi to w nim zazdrość i przyspieszy proces rozkochania się we mnie... — rzekła żartobliwie.

Po chwili wsiedli na jakieś wyjeżdżające saneczki i wpadli w tunel błyszczący.

### III

Rzeczywiście Władek obserwował ich bacznie i już od dłuższej chwili gasił pożary zazdrości szampanem. Zwłaszcza gdy stwierdził, że flaszka szampana kosztuje tylko 30 złotych. Nawet nie zauważył, jak i kiedy się to stało, że obok stolika stały trzy próżno butelki. Rozgrzeszał się z tego marnotrawstwa, rozmawiając głośno ze sobą:

— Nie żałuj sobie, Władziu. Raz się przynajmniej urznieś czymś porządnym, a nie tą starką papy. Pij Władziu, bo w Stanach prohibicja...

Potem dość mętnym wzrokiem spozierał na salę i szukał miss Teacher. Właśnie spostrzegł, że wyjeżdżała wraz z białym niedźwiadkiem sankami; właśnie chciał się zerwać, by pobiec w jej ślady, gdy do groty nowa wpadła osoba. Ubrana była w jedwabny strój foki. Łeb zwierzęcia zrobiony z tektury i pysk z wąsami, jak czapka zasłaniały głowę, tylko na oczy dwa otwory zostawiając. Foka bez ceremonii wylądowała na kolanach Władkowych i rzekła doskonałą angielszczyzną:

— Podobasz mi się, śliczny chłopcze.

Był to miły, sopranowy głosik kobiecy.

Średnio wstawiony *śliczny chłopiec* uczuł się mile pogłaskany po sercu.

— Już drugiej zawróciłem w głowie... — pomyślał z dużą dozą zarozumiałości i odwzajemnił się komplementem:

— I ty, maseczko, jesteś urocza...

Foka wybuchła kaskadą srebrzystego śmiechu.

— Z tymi wąsami jestem urocza? — pytała rozweselona.

Władek zmieszał się porządnie. Zaczął się tłumaczyć, że z miłego głosu wnioskuje o niepospolitej urodzie nieznajomej. Prosił ją natarczywie, by zdjęła tekturową przyłbicę. Przyrzekła się zgodzić na tę prośbę, ale dopiero kiedy ją odprowadzi do jej groty. Władek się zafrasował:

— Kiedy ja nie jestem sam. Czekam na kobietę...

— Ale ona wyszła teraz z niedźwiedziem. Skoro wróci, puszcę cię zaraz.

No, idziemy.

Chwyciła Władka w przegubie tak silnie, że się zdumiał. Ogarnęła go nagła obawa.

Pewnie brzydka i stara — myślał.

Lecz opór nie zdałby się na nic. Jedwabna foka miała siłę niedźwiedzia polarnego i wlokła za sobą młodzieńca, którego nogi zaczęły misterne esy floresy stawiać na karkołomnej drodze.

Przebywali mostki wysoko zawieszane, pod którymi stały stoliki pełne rozbawionych gości. Mimowolnie płoszyli gruchające pary. Zaglądali chwilami dość niedyskretnie w głąb jaskiń mijanych po drodze.

Wreszcie stanęli na miejscu. Grota nowej nieznajomej mieściła się dokładnie naprzeciw pomarańczowej siedziby miss Teacher. Nawet Władek, pomimo różowego humoru, zauważył to od razu. Ale foka nie traciła czasu. Natychmiast pociągnęła go w głąb pieczary na zieloną kanapkę. Tam usadowiła się mu znowu na kolanach.

— O, źle! — pomyślni Białoszyński zaskoczony szybkością swych mimowolnych sukcesów u płci pięknej.

Tymczasem lokatorka jego kolan rozpoczęła huraganowy ogień komplementów. Zakończyła głośnym wykrzyknikiem:

— Szalenie mi się podobasz!...

— Hm... — mruknął rozbrojony zupełnie, robiąc przyjemny wyraz twarzy. Potem rozglądął się nieco w sytuacji. Grota była bliźniaczo podobna do pierwszej, tylko oświetlenie miała ciemnozielone. A nimfa zielonej pieczary nie zamierzała widocznie przerwać swoich oświadczeń:

— Jestem o ciebie zazdrosna. Bardzo zazdrosna. Pogryzę cię. Zabiję bez litości, skoro będziesz tamtą całował. Musisz się ze mną napić teraz.

I kiedy pobiegła w stronę stolika, Władek rozpoczął monolog bezsłowny:

— A psiakrew, widziała! Tak! Tylko stąd, tylko z przeciwka można zajrzeć w głąb pomarańczowej groty. Zakochała się we mnie i jest zazdrosna. Ha, co robić. Widocznie mam szczęście do kobiet.

Tu musnął się dłonią w tym miejscu, gdzie powinien wyrósć kiedyś ciemny wąsik.

W tej chwili coś pstryknęło na stoliku, lecz gwar sali zagłuszył zaraz ten krótki szmer. Foka powróciła do kanapki, niosąc dwie szklaneczki jakiegoś słodkawego wina. Po wypiciu Białoszyńskiego się myśli przedziwnie splątały. Oczy widziały wszystka podwójnie, potrójnie, poczwórną. Już nie jedna, ale cztery foki siedziały mu na kolanach. Przetarł oczy ze zdumienia:

— Przecież nie jestem pijany — wyrwał się głośno i skutkiem mechaniczności po angielsku. Foka potwierdziła skwapliwie:

— Oczywiście, że nie. Ty masz bardzo dobrą głowę.

Władek z wdzięczności spojrział na nią i objął ją ramieniem. Znowu zaczął prosić, by na chwilę choćby zdjęła brzydka maskę. Po pewnym wahaniu przystała.

— Podobam ci się? — spytała uśmiechnięta ponętnie.

Białoszyński po tylu szklankach wina decydował się szybko. Pomyślał:

— Ładna bestia. Nie tak czarująco piękna jak tamta, ale też ładna. Owszem, owszem.

— No co, nie podobam ci się? Czemu nie odpowiadasz?

— Ależ przeciwnie! Jesteś naprawdę urocza — zapewniał z głębokim przekonaniem, a potem z wielką powagą porównywał głośno obie kobiety.

— Miss Teacher jest w innym rodzaju, a ty w innym.

— Kto to jest miss Teacher? — spytała.

— To ta, z którą się całowałem. Cha, cha, cha, cha. Doskonale całuje. Ty byś tak nie potrafiła z pewnością... — usiłował podrażnić jej ambicję. Lecz nie odniosło to skutku. Odparła:

— Kto wie, czy nie potrafię. Ale powiedz mi, skąd znasz miss Teacher?

Władkowi język chodził teraz jak dobrze naoliwiony motor. Odpowiedział ze wszystkimi szczegółami poznanie przy stole jadalni, natrącił o wuju w New Yorku, co zdawało się słuchaczkę trochę zainteresować. Potem niepytany nawet przeszedł na inne tematy. Mówił z niezwykłą swadą o swej rodzinie, o studiach,



słowem plótl, co mu ślina na język przyniosła. I kiedy po dobrym kwadransie ona wiedziała wszystko, on dowiedział się tylko tyle, że nowa znajoma nazywa się miss Mabel Brown.

Nagle miss Brown, kręcąca się od chwili koło wylotu groty, rzekła:

— Wracają już. Idź teraz do swojej groty. A nie przewróć się po drodze... — dodała, widząc jego nader chwiejny stan równowagi. Władek uczył się dotknięty:

— Wcale nie jestem pijany, rozumiesz?

Jakby dla potwierdzenia tych słów zatoczył się mocno i oparł z całej siły na stoliku. Podtrzymała go i doprowadziła do barierki obiegającej trzecią terasę.

Pożegnała go słowy:

— Idź wzdłuż tej balustrady, a trafisz do swej groty. Trzymaj się dobrze, mój śliczny. Pa... Zobaczmy się jeszcze...

— Gdzie pan był? — spytała miss Teacher, gdy koło stolika pomarańczowej jaskini zjawił się Władek i ciężko oparł się o ściankę.

— Jaa? — odparł przeciągle zapytany. Spojrzała na jego twarz czerwoną i na błędne, błyszczące oczy. Roześmiała się wesoło:

— Nie służy panu szampan. Teraz rozumiem i rozgrzeszam pana, że musiałam tak długo czekać tutaj samotnie. Białoszyński chciał się oburzyć, chciał kategorycznie zaznaczyć, że wcale nie jest pijany, gdy ruch wielki zrobił się przy wejściu sali. Jedno saneczki za drugimi wpadały, wioząc nowych gości. Znowu zawracały i znowu przyjeżdżały napełniono parami uczestników zabawy. Miss Teacher rzekła:

— Opera się skończyła widocznie i tu przyszli. Teraz się rozpoczną produkcje kabaretowe...

— Aha — przytaknął sennie młodzieniec.

Po jakiejś chwili podniosła się w pobliżu orkiestry mała kurtyna. Oczom widzów ukazała się płaska, a szeroka, śnieżna kopuła, kręcąca się z przeraźliwym skrzypieniem dokoła wystającej wysoko, pokrzywionej osi. Potem wystąpił aktor, który oznajmił, że to jest biegun północny i oś ziemską. Rozpoczął dowcipny monolog przeplatany satyrycznymi aluzjami do wszystkich wybitnych osobistości ery współczesnej. Od czasu do czasu oliwił oś winem, przez co skrzypienie na chwilę przycichało. Potem wygrzebywał spod śniegu kręcącego się odcinka kuli staro bilety, które mieli tam pozostawić przeliczni odkrywcy bieguna, od Amundsena, Byrda i Pearego począwszy.

Dalej, jako drugi punkt programu, wystąpiła grupa baletnic w strojach fok. Dowcipna pantomima przedstawiała toaletę fok zadziwiająco do damskiej podobną. Po zrzućeniu lśniących szat jedwabnych, ludzako selskiny imitujących, ukazały się przeźrocyste trykoty szczelnie obciskające wiotkie kształty tancerek.

Kiedy opuściły estradę, przez tunel wjazdowy wpadła na środek sali para maleńkich reniferów, zaprzęgniętych do złoconych sanek. Wsiadła z nich

bajecznie piękna kobieta. Przywitała ją burza oklasków;

Była to znana paryska diwa kabaretowa. Znakomita diwa jechała na szereg gościnnych występów do Nowego Świata. Zarządowi dancingu-kabaretu *Braci Słowian* udało się za honorarium skłonić ją do odbycia podróży tym okrętem i do dania kilku występów.

Gdy ucichły oklaski, sławna śpiewaczka i świetna tancerka w jednej osobie wzniosła rękę w górę. W jej dłoni zabłysła jasno niebieskawa gwiazda.

Na ten znak zgasły reflektory słońca i wszystkie lampki wśród lodów. Natomiast na powale lazuruwej, która miała przedstawiać niebieską półkulę; zabłysły krocie maleńkich punkcików. Najsilniej spomiędzy nich jaśniało kilka gwiazd w symetrycznych od siebie odstępach. To Wielki Wóz północny.

Lecz cała uwaga widzów skupiała się na smukłej sylwetce diwy, trzymającej niebieskawą gwiazdę ponad głową. I gdy zaczęła śpiewać swój pierwszy punkt programu, ułożony specjalnie dla tego kabaretu, cisza bezwzględna rozdzwoniła się w rozbawionej przed chwilą sali. Popłynęły słowa piosenki:

*Jam gwiazda polarna znad śniegów bieguna.*

Artystka stała w pośrodku kolistej podłogi, na której przedtem tańczono. Ukryte pod szklaną taflą niebieskawe światła niepokoiły czekające obok reny, do sanek wprzęgnięte.

Nagle cała kolista platforma zaczęła się wolno kręcić dokoła swej osi. Robiło to wrażenie niezwykle. Nawet miss Teacher podobał się bardzo ten pomysł i zwróciła się do towarzysza z jakimś pytaniem. Ale Władek Białoszyński spał snem sprawiedliwego głęboko wtulony w swój fotel. Więc kobieta obruszyła się trochę i podczas najbliższego antraktu przeniosła się do stolika swego przyjaciela, Japończyka Hakariego Otusawy.

Władek znów został sam.

## ROZDZIAŁ III

### Morderstwo na okręcie

#### I

Władek zbudził się późno, z wielkim bólem głowy. Z dużym trudem przypomniał sobie niezwykle dzieje wczorajszego wieczoru. Tylko jeden szczegół wymknął się bezpowrotnie spod władzy jego pamięci. Tym szczegółem było pytanie, jak, kiedy i z czyją pomocą znalazł się prawie zupełnie rozebrany w swoim łóżku.

— No, tom się urznął wczoraj. Kociokwik mam teraz — brzmiał pierwszy jego oficjalny komunikat.

Lecz drugi był już znacznie praktyczniejszy:

— ...Ale kto płacił rachunek? — Ze strachem sięgnął po portfel.

Przejrzał zawartość. Nie brakowało ani dolara... ani złotego...

— Może ona to wyrównała — ucieszył się i zawstydził zarazem.

Zagadkę rozwiązał kelner, który przyniósł śniadanie. Z uprzejmym uśmiechem zapytał:

— Czy wczorajszy rachunek z dancingu ureguluje pan teraz, czy łącznie przy końcu podróży...

— Teraz — odparł a w myśli dodał. — Znam was ptaszki. Później zapomniałbym, com wypił, i doliczylibyście mi drugie tyle. Ho, ho. Władek nie głupi.

Po wyjściu kelnera wstał i zaczął się ubierać. Podszedł do walizki po bieliznę. Z wielkimi zdziwieniem zauważył, że wszystko jest nie na swoim miejscu. Miał doskonałą pamięć lokalną i wiedział, gdzie co położył. Tak. Nawet pudełko z papierosami było odwrócone inaczej. Chwilę zastanawiał się nad przyczynami tego „trzęsienia ziemi” w kufunku, wreszcie rzucił pod adresem służącego, który go w nocy do kabiny odprowadził:

— Bydło. Nie ukradł nic wprawdzie, ale pomieszał wszystko. Czego on tu szukał, do licha! No. Teraz będę kluczyk nosił przy sobie.

Trzeci dzień podróży przeszedł Władkowi spokojnie. Nigdzie nie spotkał ani miss Teacher, ani miss Brown. Nawet przy lunchu nie były w sali jadalnej. Zapewne jadły u siebie w kabinach lub odrabiały nieprzespaną noc.

Brzegi Anglii znikły już dawno. Żałował Władek ogromnie, że zapomniał wczoraj w nocy obserwować wspaniałą most łączący Calais z Dover. To monumentalne dzieło techniki, dzięki któremu Wielka Brytania przestała być właściwie wyspą (w ścisłym tego słowa znaczeniu), ukończono jeszcze w roku 1938. Białoszyński cieszył się, że naocznie zobaczy ten cud świata, że będzie podziwiał najwyższe przęsło żelaznego mostu, pod którym z łatwością przemykały największe okręty transatlantyckie. Niestety przy zabawie wesołej i przy boku uroczej sąsiadki, zapomniał o tym zupełnie, jak zapomniał o zobaczeniu olbrzymiego portu w Southamptonie, do którego zawinęli po północy.

Trzeci dzień podróży dobiegał końca i niepokój wkradł się w serce Władka. Aż wieczór... do obiadu przyszła . Ona przyszła. Ona, to znaczy miss Teacher... Tak, stanowczo obrażona. Nawet bardzo. Była sztywna jak prawdziwa lady angielska pełnej krwi. Przez cały czas obiadu zamienili zaledwie kilka obojętnych frazesów. Przy czarnej kawie zdobył się Władek na odwagę. Prawie błagalnie wyszeptał:

— Proszę panią o chwilę rozmowy... gdzieś na osobności. Muszę wyjaśnić... przeprosić... błagać o przebaczenie — jąkał się bezradnie jak nieprzygotowany student podczas matematyki.

— Dobrze — odrzekła krótko i zimno. — Dobrze, tylko na dancing Już z panem nie pójdę.

Białoszyński odczuł policzek. Zaczerwienił się jak żak i odparł bardzo pokornie:

— You are right, miss Teacher. Zachowałem się wczoraj skandalicznie jak... — znów utknął i myślał z rozpaczą: — Nawet zdania skończyć nie potrafię. Dobrze papa mawiał, że ze mnie bałwan. Boże, jak ja się ośmieszyłem w jej oczach.

Znaleźli po obiedzie ciche ustronie w jednej z altan dużej oranżerii okrętu.

Miss Teacher zapaliła papierosa i czekała na spowiedź chłopca. A Władkowi szło jak z kamienia. Jąkał się, przeproszał, tłumaczył, wyjaśniał, powtarzał w kółko te same słowa, aż urwał. Jego delikatne ucho pochwyciło jakiś szmer cichuteńki, jak gdyby ktoś ocierał się o liście palmowe otaczające swymi wachlarzami altanę. Szelest ustał nagle. Władek się uspokoił. Musiało mu się przywidzieć. W oranżerii byli na pewno sami. Tłumy pasażerów pospieszyły do kasyna gry, do kinoradu, do variétés, do smoking-roomów czy na dancing.

Miss Teacher przerwała Władkowi jego sztubackie przeprosiny. Powiedziała głosem bardzo łagodnym i smutnym bezdennie zarazem:

— Już dobrze. Wybaczam panu. Zresztą przywykłam do postępowania

mężczyzn. Wolno im mnie obrażać, bo któż się ujmie za sierotą? Tu podniosła jedwabną chusteczkę ku oczętom szafirowym. Każde jej słowo darło serce chłopca na strzępy. Słowa uwięzły mu w gardle. Więc uklęknął przed piękną towarzyszką i w milczeniu całował jej ręce. Nie broniła mu tego. Jedną swą białą dłoń położyła na jego czarnej czuprynie i pieszczotliwym ruchem gładziła w tył zaczesane włosy.

Włodek stopniał jak wosk. W tej chwili gotów był spełnić każde życzenie tej czarującej istoty.

Coś trzasnęło lekko wśród gęstwy krzewów cieplarni. Był to szelest krótki, suchy, podobny do tego, jaki wydaje zapalniczka benzynowa lub aparat fotograficzny. Znowu młodzieniec oglądnał się podejrzliwie, nie zmieniając pozycji klęczącej.

— Słyszała pani? — zapytał szeptem.

— Co takiego? — odpowiedziała równie cicho.

— Mam wrażenie, że ktoś nas śledzi. Niech się pani nie rusza teraz. Ja wstanę i skoczę nagle w tamtą stronę.

Przytrzymała go za rękę. Przyszło jej na myśl, że to zapewne Hakari. Nie mogła dopuścić do zdemaskowania przyjaciela. Więc podniosła się z ławeczki i powiedziała dość głośno:

— Pójdziemy do kinoradu. Teraz będzie zapewne drugi akt *Dziewczyny z Irkucka*. Zna pan tę operę?

— Nie. Tej rzeczy właśnie nie słyszałem, choć czytałem dużo przychylnych recenzji — łąał Włodek na poczekaniu, aby nadsztukować swą ignorancję.

— To się składa dobrze. Bardzo oryginalna rzecz. Dają ją dzisiaj w Metropolitan House. Posłuchamy.

Wyszli razem.

W kinoradzie był właśnie antrakt. Włodek rozglądał się ciekawie i bystrym okiem spostrzegł wśród tłumów widzów Japończyka. Stał on przy wejściu, między dolnymi rzędami foteli. Lewą dłoń trzymał przy policzku i dwoma palcami ruszał nerwowo. Wyglądało to bardzo komicznie.

— Widzi pani tego egzotycznego pasażera? — spytał Białoszyński, zauważywszy, że oczy miss Teacher patrzą w tę samą stronę. Zdawało mu się, że piękna właścicielka szafirowych źrenic drgnęła silnie, jak gdyby ze snu zbudzona.

— Kogo? — rzuciła pospiesznie.

— Tego Japończyka w czarnych okularach — określił dokładniej.

— Aha, Japończyka. Tak. Bardzo zabawny typ. Ale spójrz pan na tamtą damę... — odwróciła jego uwagę w inną stronę...

W tym momencie rozpoczął się akt drugi *Dziewczyny z Irkucka*. Włodek słuchał z uwagą wielką, lecz nie przeszkadzało mu to zauważyć, że miss Teacher nie zachwyca się bynajmniej piękną operą. Co chwila dotykała swą wypielęgnowaną rączką czoła i wzdychała lekko.

— Boli panią głowa? — zatroskał się szczerze.

— Tak. Dostałam silnej migreny...

— Może wyjdziemy? — zaproponował z ukrytym żalem.

— Ach, nie. Już mnie dawno boli, lecz nie mówiłam nic. Nie chciałam panu psuć zabawy. Może przejdzie jakoś...

— Ależ, miss Teacher! Jak pani nawet może tak mówić! Odprowadzę panią do jej kabiny. Dobrze?

Zgodziła się z wielką wdzięcznością, której nie omieszkała zaznaczyć. Cicho wysunęli się na jasno oświetlony korytarz. Wracając do dolnych pięt, obserwował Białoszyński swą towarzyszkę spod oka. Rzeczywiście wyglądała źle. Ogarnęło go wielkie współczucie. Biedaczka. Męczyła się tyle czasu i nie powiedziała nic, byleby mu tylko nie zepsuć zabawy... Potem z wielką troskliwością dopytywał się jej, czy nie ma przynieść jakiej pigułki lub proszku.

— Dziękuję panu bardzo. Mam wszystko w kabinie. Najlepiej mi zrobi, jeżeli się prześpię. A i panu radzę się do łóżka położyć i wypocząć po wczorajszej birbantce. Tak, stanowczo radzę... Jestem z pewnością starsza od pana, więc musi mnie pan słuchać.

— Dobrze, posłucham... — przyrzekł Włodek, choć inne miał w istocie zamiary.

Pożegnali się w korytarzu kabin pierwszej klasy. Mieszkali w przeciwnych biegunowo kierunkach.

Skoro sylwetka miss Teacher zmaląła w końcu długiego ganku. Włodek śpiesznie powrócił na górę. Rozgrzeszał się po drodze w myśli:

— U wuja się wyśpię za wszystkie dni podróży. Teraz trzeba wykorzystać czas jak najlepiej. Zwłaszcza że wstępy gratis...

Wrócił do kinoradu. Przekonał się, że nie stracił więcej nad ćwierć aktu. Po skończonym przedstawieniu postanowił zwiedzić salony gry. W kasynie jeszcze nie był ani razu. Zapytał jakiegoś spotkanego stewarda o drogę i poszedł we wskazanym kierunku.

Przepych kasyna zaimponował mu silnie, ściany sal były wykładane marmurem, każda innym. Więc pokój, gdzie grano w baka, miał marmur bładoróżowy w złote żyłki pocięty. Salon pokera znowuż, ciemnowiśniowy w delikatne seledynowe smugi. Potem szły inne komnaty, każda do innej gry hazardowej.

Lecz najwspanialej prezentowały się salony ruletki. Było ich trzy: biała, purpurowa i złota. Wszędzie snuły się tłumy graczy i widzów.

Zwłaszcza wielki stół w złotym salonie cieszył się największą frekwencją. Gracze obsadzili wszystkie miejsca, aż do ostatniego, a dokoła oblegał ich poczwórny pierścień patrzących, którzy także niekiedy rzucali barwne sztony na zielone sukno.

Misa rulety miała przeszło półtorametrową średnicę u górnego brzegu. To był środek. Od niego biegły jak krzyż długie hebanowe stoły okryte suknem zielonym z numerami. Każdy stół obsługiwało dwóch krupierów i jeden kontroler siedzący na bardzo wysokim krześle. Wzdłuż stołów biegły gęsto rozstawione krzesła, zajęte co do jednego.

Piramidy różnokolorowych sztonów piętrzyły się przed niektórymi graczami, ale tych było bardzo niewiele. Większość spoglądała melancholijnie na garstki znaczków topniejące na kształt śniegu, który spadł w wiosenne południe.

Ci zdążyli się już splukać dokładnie... — pomyślał Włodek i zaczął obserwować grę twarzy niefortunnych ofiar hazardu.

Nagle wszystkie głowy pochyliły się nad misą rulety. Kula wpadła w wybrane okienko, w przedziałkę przez los wybraną.

— Pięć jest czerwone, nieparzyste... — ogłosił krupier dogmat nieomylny.

Pracowite grabki ściągały setki i tysiące z szachownic dolnych numerów. Z czterech zielonych pobojowisk, tyłu zawiedzionych nadziei. Potem pousuwały kupki sztonów złożone na *Czarne*, *Parzyste* i *Część dolną* oraz kwoty stawiane na dwie zewnętrzne kolumny. Później zaczęła się wypłata wygranych. Grabki przysuwały zwycięzcom obliczone skrupulatnie sztony.

— Znowu wygrał!... — rzekł ktoś z tłumu.

— No, ten ma szczęście i do gry i do kobiet... — zazdrościł inny.

— a rzeczywiście... I siedząc przy tak klasycznie pięknej kobiecie, jeszcze wygrywa. Popatrz, jak się czulą do siebie...

Włodek posunął się w tamtą stronę i osłupiał dosłownie.

Obok szczęśliwego gracza siedziała miss Teacher. Urocza Angielka flirtowała na zabój ze swym sąsiadem. Oczy jej się śmiały szczerą wesołością. Znikł wszelki ślad rzekomej migreny. Widać było, że się bawi świetnie, że żartuje swobodnie. Czasem przechylała lekko swą rasową główkę tym charakterystycznym a pełnym wdzięku ruchem.

Włodekowi zrobiło się naraz ogromnie smutno na duszy:

— Rozumiem teraz. Udała ból głowy, aby się mnie pozbyć. Podła, zakłamana istota... — myślał. Ale jego dobre serce znalazło inne rozwiązanie zagadki:

— A może to tylko biedna ofiara straszliwego nałogu gry? Biedactwo moje śliczne! Jak mogłem, choćby przez chwilę, ją tak potępiać?!...

Potem znów przyszała fala wątpliwości.

— Przecież ona prawie nic nie stawia. Więcej flirtuje z tym wygolonym Yankee, niżli gra. Więc nie ruleta ją tutaj przywiodła?...

Biedził się nad rozwiązaniem zagadki czas dłuższy, gdy nagle zabrzmiał koło niego miły znajomy głos:

— How do you do?...

Odwrócił głowę. Obok niego stała miss Brown.

— A, to pani?... — zadziwił się przyjemnie; że znalazł przyjazną duszę, w chwili tak przykrego zawodu.

— Ja, we własnej osobie. Lecz chodźmy się przejść. I tak pan nie gra.

— Z największą przyjemnością — odparł zupełnie szczerze.

Poszli do czytelnicy, pustej całkiem o tej porze. Usiedli w kącie ogromnej komnaty i zaczęli gwarzyć ze sobą, jak para starych znajomych. Władek zauważył, że miss Brown jest wcale ponętą kobietą, choć w innym zupełnie typie niż niewierna Mary. Zwłaszcza w tej wieczorowej toalecie wyglądała bardzo dobrze. Znacznie lepiej niż w niesamowitym kostiumie wczorajszej foki.

Tak przeszła dobra godzina.

Później ona zaproponowała mały spacer na pokładzie, przed pójściem na spoczynek. Przedtem mieli zejść na dół do kabin po okrycia.

Kiedy przechodzili przez jeden z korytarzy, zobaczyli biegnącego porucznika okrętu. Był widocznie zmieszany i śpieszył się bardzo.

Miss Brown przeprosiła swego towarzysza i zastąpiła drogę zdenerwowanemu oficerowi. Władek słyszał urywek rozmowy:

— Śpieszę po doktora.

— Ja także jestem lekarzem.

— Tak? To doskonale. Bardzo panią poproszę — zakończył cicho porucznik.

Nawrócili na miejscu i śpiesznie zaczęli się oddalać. Zaciekawiony Władek dosłyszał jeszcze jedno oderwane słowo, które go zelektryzowało: *Morderstwo*.

Bez namysłu ruszył w ślady tamtych dwojga. Minęli kilka ganków, dwa halle i zeszli aż do korytarza pierwszej klasy. Potem znów piętro wyżej.

— Tu są apartamenty kabin luksusowych — poznał Władek, który orientował się już nieźle w rozkładzie okrętu.

Przy piątym drzwiach po lewej ręce stała grupka osób żywo gestykulujących. Przybyły wmieszał się pomiędzy nich. Tymczasem porucznik okrętowy i miss Brown weszli do wnętrza kabiny. W chwili gdy odmykali drzwi, ujrzał Władek leżące na dywanie ciało mężczyzny trzymającego rewolwer w dłoni.

Ale w tejże samej chwili wyszedł z tej kabiny kapitan okrętu. Uprzejmie, lecz stanowczo zwrócił się do rosnącego wciąż tłumu w korytarzu:

— Państwo zechcą się rozejść. Ja bardzo proszę. Utrudniacie nam tylko akcję całą. Ktoś ranił lekko tego pasażera. Prawdopodobnie on się sam skaleczył. Zaraz się wszystko wyjaśni, skoro tylko lekarz przywróci mu przytomność.

— Więc żyje?... — zapytał jakiś spóźniony widz.

— Żyje!... — odparł kapitan bardzo stanowczo i swą okazałą postacią



spychał gapiów aż do schodów korytarza kabin luksusowych. Władek stanął opodal, by poczekać na powrót miss Teacher. Zaniepokoił go zrozumiałe ten wypadek na eleganckim parowcu.

## II

Tymczasem koło leżącego ciała toczyła się ożywiona rozmowa pozostałej garstki. W ostatniej chwili przybyły lekarz okrętowy skonstatował:

— Zgon nastąpił przed półgodziną...

— Kto pierwszy zauważył wypadek? — zapytał urzędowo kapitan.

— Ja... — odparł błądy steward. — Ja, panie kapitanie. Szedłem korytarzem, mając dziś dyżur. Nagle ujrzałem te drzwi odchyłone, mimo że w kabinie było ciemno. Chciałem wejść i potknąłem się o coś. Przerażony zapaliłem światło i ujrzałem to ciało w kałuży krwi. Zaraz pobiegłem zameldować panu porucznikowi...

— Kto to jest? — zwrócił się kapitan do porucznika, wskazując na leżącą ofiarę mordercy.

— Oto jego portfel. To jest mister William Ainley, sekretarz ambasadora Livingstona...

— Czy to jego kabina?

— Nie. To apartament ambasadora.

— Czy mister Livingston uwiadomiony?

— Jeszcze nie.

— Poruczniku, proszę, go za raz odszukać i sprowadzić.

— Ambasadora widziałam przy rulecie w złotym salonie... — wmieszała się do rozmowy dwóch mężczyzn miss Brown. Porucznik, wychodząc, posłał jej wdzięczne spojrzenie. Dzięki tej informacji nie potrzebował tracić czasu na długie poszukiwania po całym statku. Ale odezwanie się kobiety zwróciło na nią uwagę komendanta. Zapytał:

— A pani w jakim charakterze tu została?

— Jestem doktorem medycyny.

— Aha. No, ale my tu mamy lekarza okrętowego...

— Widzę to; lecz ja przybyłam pierwsza i mogę się jeszcze przydać...

Kapitan zrobił nader kwaśną minę. Więc młoda lekarka pociągnęła po w głąb dużej kabiny i pokazała mu jakiś papier. Bury wilk morski zmiękł od razu. Nawet ucieszył się widocznie, bo powiedział:

— Ach, to doskonale. Bardzo panią przepraszam, ale skąd mogłem przypuścić... Oczywiście, niech pani zostanie...

Miss Brown położyła znacząco palec na ustach i chwilę porozmawiali

szeptem.

Potem kapitan podziękował lekarzowi okrętowemu i zalecając bezwzględną dyskrecję, wyprawił wszystkich za drzwi. Pozostał tylko z miss Brown. Niebawem nadszedł porucznik wraz z mister Livingstonem.

Ambasador pochylił się nad trupem swego sekretarza i długą chwilę trwało ciężkie, smutne milczenie. Lecz kapitan nie miał czasu na tkliwości:

— Ekszelencjo, proszę zbadać, czy złoczyńca nie ukradł panu czego.

Livingston rozglądął się po kabinie a potem podniósł oczy na stojących.

— Jesteśmy tu we czworo. Pan kapitan i porucznik są osobami urzędowymi, że tak powiem. Nie wiem jednak, kim jest ta pani?... — odezwał się.

Miss Brown podeszła do niego i pokazała mu ten sam dokument, którym przed kilkoma minutami legitymowała się wobec kapitana. Zapytała:

— Czy ekszelencji to wystarczy?

— Najzupełniej. Jestem bardzo zadowolony, że pani tu jest także.

— Możemy zatem przystąpić do rzeczy... — przynaglił zniecierpliwiony wilk morski.

Ambasador podeszedł do szafy i cofnął się zdumiony:

— Otwarta!... — wykrzyknął głośno. Gorączkowo rozepchnął oba skrzydła drzwi szafy. We wnętrzu ukazało się kilka zawieszonych ubrań, a na dole dwie eleganckie, płaskie walizy skórzane. Livingstone jęknął, widząc, że obie są otwarte. Trzęsącymi się rękoma chwycił spodnią walizkę i podniósł odemknięte wieczko. Zmienionym głosem mówił:

— O, tu, widzicie... jest podwójne dno. Złodziej odgadł kryjówkę. Zabrał... zabrał wszystko. Boże, moje dokumenty... znikły. Tak. Cała teczka znikła... Innych rzeczy nie ruszył. Po to przyszedł...

Ciężko bezwładnie, opadł mi pobliski fotel.

— Spodziewałam się tego... — mruknęła miss Brown.

Lecz ambasador zerwał się nagle, jak podrzucony sprężyną. Huknął na cały głos:

— To skandal, kapitanie! Na pańskim statku popełniono ohydne morderstwo i kradzież. To skandal!...

Stary wilk morski pobladł bardzo, a potem krew mu nadbiegła do twarzy. Szorstko odparł:

— Skandal, nie skandal. Na wszystkich statkach zdarzają się takie rzeczy. Fakty mogę zacytować. Ale sir powinien wiedzieć, że ważnych dokumentów nie trzyma się w takim kufereczku. Od tego jest stalowy sejf okrętu i moja kasa żelazna. Za depozyty tam złożone odpowiadamy. Za takie kradzieże nie. W ten sposób każdy mógłby powiedzieć, że mu skarby skradziono...

Chwilę mierzyli się wzrokiem wyzywającym i gniewnym. Lecz miss Brown była rozsądniejsza:

— Gentlemen! Proszę o spokój! Spór wasz nie zmieni postaci rzeczy. Tylko mi ślady zادةpecie. Nie przeszkadzajcie mi teraz przez chwilę.

Umilkli obaj. Tymczasem kobieta zabrała się do pracy. Uklękła koło szafy i z lupą przy oku badała bardzo starannie każdy centymetr podłogi. Później obejrzała zamek szafy i wieczka waliz. Powróciła do leżącego trupa, oglądała ranę, znów wyprostowała się i przeszła do środka pokoju. Wyciągnęła rękę, jak gdyby mierząc z rewolweru do osoby stojącej przy drzwiach.

Potem podeszła do ściany kabiny. Dotykała jej palcami jednej dłoni, a drugą trzymała latarkę elektryczną. Wreszcie obwieściła:

— Jest...

— Co?... Kto?... Co?... — posypały się pytania gorączkowo.

— Kulka... — odparła spokojnie.

— Ech! — machnął ręką Livingston.

Miss Brown uśmiechnęła się leciutko, słysząc jego wykrzyknik, w którym dźwięczała nuta zniechęcenia. Z flegmą wydłubała kulkę ze ściany i pokazała ją obecnym. Rzekła:

— Przebieg zdarzenia tak mniej więcej wyglądał: Przestępca otworzył drzwi kabiny nie wytrychem, lecz kluczem podrobionym. Widocznie przygotował się starannie do swej wyprawy i miał czas. Szafę otworzył natomiast wytrychem. Zameczki waliz są oderwane siłą. Podważano je dłutkiem lub pilnikiem szpiczasto zakończonym. Że odkrył schowek w podwójnym dnie kuferka, to nic nadzwyczajnego. Podwójne dna w walizkach są bardzo starym pomysłem. Taki schowek łatwo poznać po grubości i odmiennym dźwięku. Tu stał, przy szafie, kiedy go zaskoczył sekretarz. Być może, że domyślił się biedak już na korytarzu, iż w pokoju są złodzieje. Na to wskazuje ten rewolwer kurczowo w dłoni zaciśnięty. Niestety, spóźnił się ze swym strzałem. Złoczyńca go wyprzedził. O, stąd strzelił do niego...

— Ale huk?... — przerwał kapitan.

— Huku nie było żadnego. On strzelał z pistoletu pneumatycznego. Kula trafiła ofiarę w oko, poszła w bok, przebiła skroń i ugrzęzła w ścianie. Trafiony runął na twarz i zatarasował przejście. Gdyby złoczyńca był przytomniejszy, byłby trupa wciągnął za ręce w głąb pokoju. Potem mógłby drzwi zamknąć tym samym kluczem i do tej chwili nikt by z nas o zbrodni nie wiedział. Ale spłoszony zbrodniarz sądził, że ofiara zaalarmowała innych ludzi. Na przykład służbę... dzwonkiem. Więc uciekał czym prędzej, zwłaszcza, że papiery miał w rękach.

— Hm... Słusznie... Czy nie mogłaby nam pani czegoś powiedzieć o tym łotrze. Daktyloskopia lub... hm... jak się to nazywa... — podsunął kapitan,

— Niestety, bardzo niewiele. Prawie nic, bo odciski nic nie pomogą. Cały czas pracował w rękawiczkach specjalnych. Ale mam pewną poszlakę...

— Jaką! jaką... — naglili wszyscy

— Przestępca musi być bardzo małego wzrostu. Odcisk jego trzewika ma zaledwie dwadzieścia jeden centymetrów długości. Panowie wszyscy macie stopy normalne. Jakie trzydzieści centymetrów.

— Więc może to była kobieta... — ruszył conceptem porucznik.

— Nie zdaje mi się. Tu, na ubraniu zawieszonym w szafie, znalazłam krótki, czarny włos. Mister Livingston i jego sekretarz mają blond włosy. Zresztą przez szkło powiększające spostrzegłam, że włos ten na jednym końcu był odcięty maszynką. Kobiety się strzyże nożyczkami, a karczki goli się brzytwą. Tak... Złoczyńca, schylając się po walizki, otarł głowę o zawieszone ubranie i zostawił włoszek wyrwany z cebulką. Musiał go więc silnie zaczepić o guzik lub materiał.

Kapitanowi przyszedł pewien pomysł do głowy:

— Sikoro pani ma dokładną odbitkę jego stopy, to można by sprawcę odszukać. Wystarczy przeglądnąć wszystkie trzewiki, jakie pasażerowie wystawiają służbie do czyszczenia...

— Spróbować można — pochwaliła miss Brown.

— Ale dziś za późno. Mym pasażerom, którzy już z wieczora spać poszli, służba obuwie poczyściła zapewne dawno. Nasze badania zwrócą zaraz uwagę służących. Możemy łatwo zbrodniarza spłoszyć. Od razu wrzuci kompromitujące trzewiki w morze. Lepiej odłożyć to na drugą noc i na raz przeglądnąć wszystkie pary trzewików — doradzał porucznik.

Przyznano mu rację.

Ambasador zażądał tylko innych apartamentów i postanowił się udać do stacji telefonu iskrowego, aby się rozmówić natychmiast z Washingtonem.

Potem obaj oficerowie wyszli. Miss Brown pozostała chwilkę i rzekła:

— Chciałabym jutro pomówić z ekscelencją. O której godzinie może mnie pan przyjąć?

— Jak pani woli, przed lunchem, czy po?

— Lepiej po...

— Dobrze zatem. Czekaam na panią o godzinie szesnastej.

— Dziękuję i do widzenia.

— Do widzenia, miss Brown.

### III

Mimo najszczerzych chęci kapitana nazajutrz cały okręt wiedział o zbrodni popełnionej w nocy. Nawet do drugiej i trzeciej klasy dotarły mętne, a mocno przesadzone pogłoski.

Przy lunchu spotkał się Białoszyński z miss Teacher. Była ogromnie poruszona strasznym wydarzeniem. Mówiła szybko:

— To straszne. Nawet wśród takiego towarzystwa jak w pierwszej klasie nie jest się bezpiecznym. Wszędzie są źli ludzie... wszędzie. Biedny ten sekretarz... Biedna ofiara.

— Widziałem go zaraz po morderstwie... — przechwalał się Władek.

— Jak to? Przecież poszedł pan spać, a to się stało znacznie później.

Podobno po północy... — chciała go złapać na kłamstwie.

Lecz Władek wiedział, do czego zmierzał. Patrząc jej prosto w oczy, rzekł powoli:

— Nie byłem śpiący. Wróciłem na górę.

— Ach, tak!... — powiedziała jakoś niepewnie.

— A tak. Byłem w czytelnicy, w kasynie, obserwowałem graczy w ruletkę...

— mówił z wyraźnym naciskiem.

Miss Teacher zmieszana się bardzo. Straciła nagle apetyt. Milczała bezradnie. Władek upajał się swą rolą.

— Widziałem panią także. Tak, miss Teacher. W złotej sali pani siedziała. Było mi bardzo przykro, że mi pani kazała iść spać jak dzieciakowi, a sama grać poszła... Yes... Ale przebaczyłem

pani. Przebaczyłem i usprawiedliwiam panią zupełnie. Ruleta ciągnie nieprzepartie. To straszny nałóg. Straszny... Lecz pani szkoda. Pani jest piękna, ale młoda i niedoświadczona. Ja to z pani wykorzystam. Nie pozwolę pani grać. Nie!... Z początku będzie panią jeszcze ciągnęło, ale później odzwyczai się pani. To jasne.

Miss Teacher z trudem opanowywała nieprzepartą chęć śmiechu. Ten dzieciak jej mówił o młodości i niedoświadczeniu. Jej... Rzeczywiście farsa doskonała. Lecz nie dała po sobie poznać. Zwróciła na niego swe cudne, szafirowe oczęta. Malowała się w nich skrucha, pokora. Cicho odpowiedziała:

— Pan ma słuszość. Postąpiłam bardzo źle, ale właśnie tym dałam dowód mej wielkiej sympatii dla pana. Skoro mnie ruleta opętała, to nie chciałabym, by przeze mnie miał się gubić także człowiek tak dobry jak pan...

Ha! Gdyby to nie było w jadalni, wśród tłumów pasażerów. Gdyby teraz znaleźli się nagle sam na sam w oranżerii lub w grocie dancingu, byłby jej Władek upadł do nóg jak długi. Byłby całował jej stopy. Niestety. Musiał poprzestać tylko na patetycznym wykrzykniku:

— Ja pani nie dam grać! Ja panią ocalę, miss Teacher!...

Lunch kończył się właśnie.

#### IV

— Czy ekscelencja ma jakie własne podejrzenia lub spostrzeżenia?

— Nie, miss Brown. Absolutnie żadnych.

— Czy pozwoli pan kilka pytań, może niedyskretnych?  
— Chętnie. Wiem, że drobnostka może nieraz wiele wyjaśnić.  
— Doskonale. Czy ekscelencja pierwszy wieczór także spędził w kasynie?  
— Owszem. Grałem w baka. Nie szła mi karta. Wczoraj spróbowałem rulety i szczęście mi dopisało nadzwyczajnie...

— Czy ekscelencja, grał aż do chwili, kiedy go porucznik odwołał?  
— Prawie aż do chwili. To jest, mieliśmy właśnie przejść do kabaretu... Na dancing...

— *Mieliśmy...* Sir, to znaczy kto? Ekscelencja użył liczby mnogiej.  
— To ja i pewna młoda dama, którą przy rulecie poznałem.  
— Taka rudawa blondyna w szafirowo srebrnej sukni. Prawda?  
— Już pani wie?... — zdumiał się ambasador.  
— Widziałam — odparła krótko.  
— Ach, tak...  
— Czy pójście do kabaretu było pańskim projektem, czy propozycja od niej wyszła? Sir, jest to bardzo ważne pytanie... — zaznaczyła.

Mister Livingston roześmiał się mimo woli. Odparł:

— Wie pani, to pytanie jest nader trudne. Bo ja wiem, kto zaproponował? Pewnie ja. To zrozumiałe. Skoro się pozna piękną młodą kobietę, jadącą do dego samotnie, to rzecz jasna... trzeba ją zabawiać. Ale co to ma do rzeczy? Sądzi pani, że mógłby istnieć jakiś związek przyczynowy pomiędzy tymi dwoma faktami? Ja wątpię bardzo...

— Ja nie.  
— Naprawdę? Więc pani sądzi, że...  
— Nie sądzę, ale przypuszczam, że kobieta ta mogła mieć za zadanie zabawiać pana jak najdłużej, dopóki wspólnicy nie skradną tych dokumentów. Sekretarza nie wzięto pod uwagę, inaczej starano by się go także zająć w jakiś sposób.

Ambasador zastanowił się chwilę. Potem rzekł po cichu, jakby do siebie:

— Hm... Hipoteza pani nie jest pozbawiona cech możliwości, ale uważam ją za mało prawdopodobną. Przecież nie zmusiłaby mnie do pozostania przy rulecie, gdybym nagle chciał powrócić do swej kabiny.

— Zupełnie słusznie, ale mogła wtedy przez kogoś trzeciego, czy sama nawet, ubiec pana i przestrzec towarzyszy zajętych w pańskim mieszkaniu.

— Hm, hm... — chrząkał nie całkiem jeszcze przekonany ambasador. Potem zapytał nagle:

— Co mi pani radzi zrobić?  
— Niech ekscelencja dzisiaj także idzie do kasyna, jak gdyby nigdy nic. Niech pan nie unika tej damy. Owszem, należy być tak samo uprzejmym jak

wczoraj, aby się czego nie domyśliła... Zobaczymy... Jeżeli to jest jakaś panna na wydaniu, kokota lub żadna przygód mężatka, natenczas będzie się starała utrwalić zawiązaną z panem znajomość. Jeżeli jest zaś członkinią tej bandy morderców, to albo się całkiem nie zjawi, albo będzie dla pana zupełnie obojętna. Cel przecież osiągnęła. Dokumenty są w jej rękach. Chyba że...

— Chyba?... — powtórzył jak echo.

— Chyba że jest tak sprytna i wyrafinowana, że będzie swą rolę grała aż do przybycia do New Yorku.

— A widzi pani. Jednakże spróbuję. Nie zaszkodzi, a pomoc może.

— Poza tym, Sir, o ile do jutra wieczora nie rozpoznamy sprawcy, będzie pan musiał użyć innych środków...

— Mianowicie?...

— Trzeba będzie wysłać szyfr z instrukcjami. Wszystkich pasażerów trzeba będzie do nitki zrewidować. Ja wiem, że na okręcie tego robić nie można. Byłyby protesty, skargi, zażalenia. Ale władze celne mają prawo i obowiązek przetrząsnąć każdy pakunek, każdą kieszeń przybysza z Europy. Mamy przecie ustawę z roku 1929 w sprawie tępienia handlu narkotykami. Daje ona aż nazbyt szerokie uprawnienia. Więc między urzędników celnych można wsadzić agentów i nikt nawet nie zauważy podstępny. Ostatecznie, gdyby ekscelencja chciał, to ja mogę szyfr sporządzić...

— You are quite right, miss Brown... — pochwalił ambasador, a w duchu dodał: — Jesteś sprytną dziewczyną, ale ja już rano taki szyfr wysłałem.

Po chwili zapytał jeszcze;

— A cóż z tą miarą na trzewiki?

— To dopiero dzisiejszej nocy. Lecz good day, mister Livingston. Mam dużo do roboty i się spieszę... Good day, Sir...

Odpowiedział na pożegnanie i gdy wyszła, zagłębił się w rozmyślaniach.

## V

Hakari przerwał jej szybko:

— Wykluczone! Musisz być dzisiaj przy rulecie i pilnować Livingstona. On nie jest taki głupi. Pamiętaj, że wczoraj siedziałaś przy nim, że byłaś dla niego uprzejma, obiecująca... Gdybyś nie przyszła, poweźmie podejrzenia...

— Ale co zrobię z tym Polakiem? Mówiłam ci już, że chce gwałtem mnie leczyć z tej gorączki gry, w którą rzekomo popadłam...

Japończyk machnął ręką gniewnie:

— Masz się z kim liczyć! Pozbądź się smarkacza lub zerwij z nim.

— Nie. Zrywać z nim nie chcę. Przyda mi się w New Yorku. Pozbyć się go

też nie pozbędę. Wczoraj już było jedno fiasko. Trzeba, coś innego wymyślić.

— Prosta rada. Uśpij go.

— Racja. Masz pomadki?

— Mam. Tylko, żebyś go nie struła. Znadto już afiszowaliście się razem.

To młody, nierozwinięty organizm. Wystarczą mu dwie pomadki i papieros...

— Tylko gdzie go uśpić?...

— Gdzie? Najlepiej w jego kabinie. Tam go nikt nie znajdzie.

— Dobrze, ale pod jakim pozorem ja tam mogę z nim pójść?

Japończyk skrzywił twarz w złośliwym uśmiechu. Powiedział nie bez ironii:

— Przecież on ci się pewnie oświadcza. Jest mężczyzną, jak każdy. Pewnie ma złudzenie, że oczarował cię swą urodą czy wymową i zgodziłaś się zwiedzić jego sypialnię. Zrób mu tę przyjemność. Po dawce narkozy będzie miał sny tak przyjemne, że weźmie marę senną za rzeczywistość. Łatwo mu wszystko nazajutrz wmówić zdołasz... Tak... Będzie ci ręce całował z wdzięczności za boski dar, którego nie dostał. Che, che, che...

— Ty masz pomysły!...

— Prawda? Niezłe... No, do roboty moja Ri. Szkoda tracić czas.

— Dobrze, idę już...

Lecz w progu zatrzymała się jeszcze. Powiedziała lęklwym głosem:

— Wiesz, Hakari, takie mam wrażenie, że ktoś mnie śledzi, Zwłaszcza teraz, gdy wiem, że to nie ty byłeś w oranżerii wczorajszego wieczora. Wciąż czuję czyjś wzrok na sobie. Brrr! To strach...

Japończyk podszedł do niej. Swoją cytrynową, chudą rękę położył na jej złotorudawych włosach i gładził kształtną główkę:

— Spokojnie, Ri. Spokojnie... Ja czuwam. Twój wspaniały instynkt cię nie zawodzi. Ktoś nam obojgu łązi po piętach, lecz ja go unieszkodliwię. Bądź dobrej myśli, moja dzielna Ri... — mówił.

— Masz jakie poszlaki?

— Na razie nie. Węszę dopiero.

— Tamto... dobrze schowane.

— Doskonale.

— Więc idę. Postaram się uśpić tego dużego dzieciaka...

Ale Hakari przytrzymał ją za rękę. Wpił się wzrokiem w jej szafirowe źrenice i akcentując silnie każdą sylabę, powiedział:

— Ri, pamiętaj! Tylko sny. Rzeczywistość nie dla takiego smarkacza.

Jego skośne, złe oczy przewiercały ją do głębi, jakby chciały przeniknąć tajemnicę jej serca a zarazem narzucić jej poczynaniom swą wolę potężną.

— Nie wolno ci szafować ciałem bezużytecznie... — dokończył.

Ri skinęła głową w milczeniu i wyszła.



Lecz kiedy wróciła do swej kabiny, by się przebrać do obiadu, tłumiony żal wybuchł z jej ust skargą głośnie:

— Przekłeta niewola!... Wciąż to ostrzeżenie *nie wolno ci szafować ciałem bezużytecznie*... Tak, nie wolno... Ale jeżeli zajdzie prawdopodobieństwo zdobycia paru świstków idiotycznych, kilku głupich Informacji, to możesz się oddawać do woli pierwszej lepszej kanalii. Nie możesz, lecz musisz... Musisz. Za to ci płacą, za to masz suknie, brylanty, mieszkanie. Psia dola!... Psi los opłakany!...

Usiadła przed dużym owalnym lustrem. Chwilę wpatrywała się w odbicie swej uroczej naprawdę postaci i prowadziła swój monolog dalej półgłosem:

— Głupia jestem... głupia przeraźliwie... Z moją urodą, w moim wieku, mogę znaleźć miliardera na męża czy przyjaciela. Także będę opływała we wszystko... tym bardziej nawet... Także mnie się pozbędzie, gdy będę stara i brzydka. Tak... Koniec zawsze jednaki, ale życie inne, zupełnie inne. Kochanka czy żona ma swobodę w wyborze przyjaciół... To jedna różnica. A co ważniejsze, nad tamtymi nie wisi nieustannie zmora obawy przed sądem i więzieniem... Amerykańskimi więzieniem!

...Ej, Hakari!... Hakari! Ty cytryno skośnooka! Żebyś ja ci kiedy nie zapłaciła boleśnie za twą tyranię!... Nie przeciągaj struny... bo...

Nie dokończyła swej groźby. Energia ją opuściła.

Czy pierwszy to raz dusza jej buntowała się przeciw tej upokarzającej roli, jaką jej Japończyk narzucił? Nie pierwszy raz i nie dziesiąty. Czasem nawet gniew ponosił ją tak silnie, że ośmielała się powiedzieć Otusawie prawdę w oczy. Lecz straszne spojrzenie tych skośnych, kocich ślepiów mroziło jej krew w żyłach, łamało jej wolę, jak but idącego żołnierza łamie suche patyki. Po każdej takiej rozmowie wychodziła zmiażdżona psychicznie, zrezygnowana, pokorna i bardzo posłuszna. Słabe, bezwolne narzędzie...

## VI

Kiedy po skończonym obiedzie wychodzili ze sali jadalnej, miss Teacher rzekła do Władka:

— Pójdziemy gdzieś, gdzie jest spokojnie. Widok ludzi rozpala we mnie nieprzepartą chęć gry. Ma pan być moim dobrym duchem...

— O, tak... tak. Będę nim z pewnością... — mówił uszczęśliwiony. — Lecz dokąd pójdziemy, miss Teacher?

— Najpierw chcę wpaść do swej kabiny. Zapomniałam tam czegoś...

Minęli schody i znaleźli się w korytarzu sypialń pierwszej klasy. Nagle miss Teacher zrobiła propozycję nieoczekiwaną:

— Chciałabym zobaczyć pańską kabinę. Ciekawam, czy tak samo urządzona

jak moja... No, niechże pan prowadzi!... — dodała niecierpliwie, widząc, że towarzysz zamienił się w słup ze zdumienia.

Poszli w milczeniu. Władkowi ręka drżała we febrze, gdy odmykał drzwi od swego mieszkania. Jak w transie przekręcił taster elektrycznej lampy i zatrzasnął drzwi od korytarza. Był li to sen, czy jawa?... A miss Teacher zaczęła paplać nienaturalnie szybko:

— Całkiem tak samo, jak u mnie. Wszystkie apartamenty pierwszej klasy są urządzone na jedną modłę, jak z tego widzę. Jesteśmy w saloniku. Tam, w głębi, poza kotarą jest wejście do sypialni... Prawda?... Tak. Okno sypialni wychodzi na morze, a drzwi saloniku na korytarz. Zobaczymy dalej...

Białoszyński struchlał. Przypomnił sobie, że ubierając się do obiadu, zostawił rzeczy i bieliznę porzucaną w nieładzie. Lecz było za późno. Ekscentryczna Angielka już przekroczyła próg jego sypialni i zapaliła światło. Ze śmiechem wołała:

— Prawdziwie kawalerski porządek!

Władek, zmieszany bardzo, zaczął sprzątać czym prędzej leżące wszędzie części garderoby i wrzucał je do szafy. Miss Teacher usiadła w głębokim fotelu i obserwowała zażenowanie towarzysza. Potem przypomniała sobie swą dzisiejszą misję i mała chmurka przebiegła po jej gładkim czole. Zauważyła też, że szumi jej dziwnie w głowie.

— Za dużo wypiałam przy obiedzie... — pomyślała.

Tymczasem gościnnie gospodarz bawił ją... kłopotliwym milczeniem. Cisza stała się obojgu nieznośna. Kobieta wpatrzyła się w oczy chłopca i wyczytała w nich niemą a potężną prośbę. Nie prośbę, lecz pokorne, błagalne skomlenie. Wtedy przyszedł jej na myśl Hakari i ogień urazy do Japończyka buchnął płomieniem chęci zemsty. Byle choć raz uciec spod władzy tych skośnych oczu. Byle wyłamać się spod jarzma tej woli narzuconej a potężnej. Cieszyła ją myśl takiego odwetu.

Rozchyliła usteczka w uśmiechu kuszącym i rzekła:

- Ciągnie mnie do kasyna. Ruleta mnie woła... Broń Mary... broń... Klęknij tu przede mną i nie pozwól iść grać...

Białoszyński przypadł do jej kolan. Obsypał ciepłym deszczem pocałunków jej ręce i nogi. Obląkanymi ustami szeptał jakieś zaklęcia miłosne, przysięgi jakoweś i prośby.

Wstała nagle, lecz Władek jakby oszalał. Przycisnął ją tak mocno do siebie, że torsem wyczuł jej piersi. Wchłaniał w siebie upojną woń ciała młodej kobiety i zapach drażniących perfum. Przypadał spragnionymi wargami do jej ramion, szyi i twarzy.

Zaczęła się bronić miękko, lekko, słabo. Bardzo słabo. Chcąc się wydobyć ze stalowego uścisku chłopca, cofała się krok za krokiem. Nagle coś podcięło jej nogi. Straciła równowagę i padła na wznak na łóżko.

— Cóż ja robię? Cóż ja robię?... Jestem nieprzytomna... — wyszeptała cichym głosem.

Potem, jakby na dowód, że nie wie, co robi, że jest zupełnie nieprzytomna, dodało półgłosem:

— Zamknij drzwi od korytarza na klucz...

Zerwał się Władek i wybiegi. W mig zlecenie wykonał. A kiedy pędem powrócił do sypialni, miss Teacher zdejmowała suknię...

## VII

Miss Teacher schowała do torebki niedopałek opiumowego papierosa, potem podeszła do zwierciadła. Poprawiła swą wypielęgnowaną starannie rączką pomięte nieco włosy.

Władek spał tak twardo, że nie raziło go zupełnie światło zapalanej lampy, ani go nie obudziły swobodne poruszenia kończącej toaletę kochanki. Na odchodnym obrzuciła go miss Teacher tkliwym wzrokiem zaspokojonej pieszczotą kobiety i pogroziła mu palcem:

— Wycalowałeś mnie tak mocno, łobuzie jakiś, że pełno mam teraz sińców. Znać mimo pudru... Co prawda, to mam bardzo wrażliwą skórę... — rozgrzeszyła go przy końcu.

Potem zgasiła lampę i wyszła.

A Władek spał. Płynął na lotnych skrzydłach w krainie niebiańskiej ułudy. Przeżywał w marzeniach dalszy ciąg zaznanej rozkoszy bezmiernej. Senne tęczowe widziadła pozwoliły mu wciąż jeszcze pieścić i całować ciało cudnej jak bajka kobiety.

Senne miraże pościeliły mu pod głowę pęki kwiecica róż wonnych pąsowych i kołysały go rajską melodią tonów czystych, słowicznych.

Przepiękne senne miraże...

## ROZDZIAŁ IV

### Sześć tygodni później w New Yorku

#### I

Chwila bezwzględnej ciszy panowała w gabinecie dyrektora policji nowojorskiej. Sam dyrektor, siedząc w skórzanym fotelu, pochylił się nad biurkiem i uważnie porównywał leżące przed nim odbliski. Kilka kroków od biurka stało w pozycji pełnej szacunku trzech podwładnych urzędników. Dwóch mężczyzn i młoda, bardzo przystojna kobieta.

Wreszcie siedzący podniósł oczy do najstarszego z czekających:

— Ma pan słuszość, mister Richardson. To była ta sama ręka, co wówczas. Daktyloskopia na nic. Oba razy robił w rękawiczkach, ale odległość między paltami, ich szerokość oraz rozpiętość dłoni potwierdzają pańską hipotezę...

Detektyw, do którego te słowa były zwrócone, pozwolił sobie dodać jeszcze jedno spostrzeżenie:

— Niech pan dyrektor zwróci uwagę na odcisk wskazującego palca prawej ręki. To najlepszy dowód...

— Owszem, zauważyłem. Rękawiczkę musiano zszywać i pozostał znak.

— Lub też palec złoczyńcy jest zdeformowany. Jakaś blizna zapewne.

— Możliwe... bardzo możliwe... — mówił dyrektor, pochyliwszy się znowu nad odbliskami. Potem zwrócił się do kobiety: — Cóż pani o tym sądzi, miss Brown?

— Mnie uderza przede wszystkim jednakowość przedmiotu kradzieży. Tak na okręcie *Bracia Słowianie* jak i w ekspresie powietrznym ze San Francisco zabrano dyplomatom dokumenty państwowe. Najgorsze jednak jest to, że mimo ścisłej rewizji niczego nie znaleziono w obu wypadkach...

— Jak pani tłumaczy tę zagadkę? Przecież przy pierwszej rewizji była pani także obecna...

— Yes, sir, byłam. Ale tam mógł złodziej przemycić te dokumenty z pomocą jakiegoś przekupionego majtka czy służącego. *Bracia Słowianie* stali w porcie całe

pięć dni. Bardzo prawdopodobne, że taki mimowolny pomocnik nawet nie przypuszczał, iż nie chodzi o alkohol, który władze celne konfiskują bezwzględnie. Każdy przybysz z Europy uważa sobie za punkt honoru przywieźć rodzinie trochę whisky... Tak. Myśmy rewidowali tylko pasażerów a przypuszczalny pomocnik mordercy sekretarza Ainleya miał pięć dni czasu...

— No, a jak zniknęły ze samolotu?

— Mógł je wyrzucić w pewnej okolicy lub sum wyskoczyć z pomocą spadochronu. Przecież to był ekspres nocny, więc nikt by nie zauważył.

— Hm. Czy pani ma wciąż na oku tych pięciu pasażerów o małej stopie.

— Tak. Z tych pięciu, których trzewik odpowiadał wielkości odcisku na dywanie kabiny mister Livingstona, odpadło jednak dwóch...

— Mianowicie — zapytał znów dyrektor.

— Mianowicie Belg zginał przedwczoraj na Ósmej ulicy pod kołami jakiegoś auta. Francuz ma lat siedemnaście. Pojechał zaraz do Pittsburgha na politechnikę i przez te sześć tygodni zajmuje się tylko nauką. Zresztą jest to krewny konsula francuskiego w Washingtonie, a więc bardzo spokojna i lojalna rodzina. Nie zdołałam tam nic podejrzanego zwietrzyć.

— Pozostało trzech... — naglił szef.

— Tak, trzech. Rosjanin lat osiemnaście, Fin lat dwadzieścia dwa i Japończyk lat trzydzieści jeden.

— Hm, Japończyk... — mruknął dyrektor, żywiący widoczną idiosynkrazję do żółtej rasy. Ale spostrzegł natychmiast, że swym mimowolnym wykrzyknikiem może zdolną detektywkę zbić z jej własnego tropu. Więc poprawił się zaraz: — Hm, Japończyk. Rosjanin i Fin. Cóż się pani dowiedziała o tych ludziach?

— Najniewinniej wygląda mi Fin. Jest to lekkoatleta zaproszony przez tutejsze związki sportowe. Całe dni spędza na stadionie i trenuje. Rosjanin pojechał odwiedzić siostrę, która jest artystką filmową w Hollywood. Dotychczas tam siedzi. Miałam relację, że poświęci się także ekranowi dzięki protekcji siostry.

— Odkryli w nim fotogeniczność — uśmiechnął się lekko dyrektor.

— Zapewne. Japończyk zaś jest członkiem ambasady japońskiej w Washingtonie. Jego też śledzę osobiście i mam garść szczegółów.

— Tum cię czekał — pomyślał dyrektor uradowany, że podejrzenia detektywki idą w tym samym kierunku, co jego własne. Głośno zaś powiedział: — Czy któryś z tej piątki jechał krytycznej nocy ekspresem powietrznym ze San Francisco? Przeglądała pani listę pasażerów?

— Owszem, panie dyrektorze, ale niestety żaden. Oprócz załogi leciało tym samolotem sześćdziesiąt siedem osób, lecz wśród tych nazwisk nie ma żadnego nie tylko z tej podejrzananej piątki, ale nawet z pasażerów *Braci Słowian*. Badałam dokładnie.

— A jednak ślady te same. Widocznie sprawca zmienił nazwisko, co

pochlebnie świadczy o jego przezorności. Trzeba będzie z innej strony zacząć. Niech mi pani teraz opowie wszystko, co się pani zdołała o tym Japończyku dowiedzieć.

— Nazywa się Hakari Otusawa. Na pozór prowadzi się bez zarzutu. Znajomości wśród tutejszych obywateli ma bardzo mało. W tym zastępuje go jego kochanka mieszkająca tu, w New Yorku, Lexington Avenue 135. Towarzyszy mu ona często w podróżach. Spotkałam ich po raz pierwszy na pokładzie *Braci Słowian*. Jechali osobno i udawali, że się nie znają zupełnie. Ani razu ich nie przychwyciłam rozmawiających. Krytycznej nocy, gdy zginął mister Ainley, ona zabawiała przy rulecie ambasadora Livingstona. Od tej chwili powzięłam silne podejrzenia, ale dalsze zachowanie się jej było bez zarzutu. Nawet po kradzieży dokumentów flirtowała z mister L., a nawet doszło między nimi do zupełnego zbliżenia. Ta kobieta przyjmuje w swym wspaniałym mieszkaniu panów z najlepszego towarzystwa. Oto ich lista...

Dyrektor wziął do ręki podany sobie świstek i zaczął czytać po cichu. Nie dał po sobie poznać ogromnego zdumienia, ale w końcu zdradził się mimowolnym zapytaniem:

— Musi być bardzo ładna?

— Indeed. Jest klasycznie piękna. Ma paszport na nazwisko Mary Teacher z Yarmouth i jest poddaną wielkobrytyjską. Zdołałam ustalić, że w rzeczywistości jest Niemką. Po niemiecku mówi dialektem saksońskim. Bliższe szczegóły będę miała w najbliższych dniach. Ma także młodego kochanka. Polaka. Poznała go także na pokładzie *Braci Słowian*.

— Co to za jeden?

— Siostrzeniec Toma Raya.

— Tak?... Hm. Czy to jej ofiara, czy współnik?

— Raczej ofiara. Zakochana po uszy ofiara.

— To może zostać także współnikiem. Otusawa wie o tym?

— Nie umiem na to odpowiedzieć. Możliwe że nie, bo wynajęli sobie małe gniazdko w Brooklynie i tam się schodzą z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Ale odwiedza ją czasem także przy Lexington Avenue. Są to wizyty oficjalne, w czasie gdy ona przyjmuje większe grona osób.

— Ma pani fotografię tej damy?

— Kilkanaście nawet. Proszę, oto są.

Dyrektor zaczął przeglądać powiększone odbitki zdjęć. Kilka z nich przedstawiało miss Teacher samą, w najrozmaitszych pozycjach. Na innych występowała razem z siostrzeńcem Toma Raya, a na jednym siedziała w aucie obok Japończyka. Szef policji spytał, wskazując na jedną z fotografii:

— To gdzie zdjęte?

— W oranżerii *Braci Słowian*. Ten klęczący przed nią młodzieniec, to

właśnie ów zakochany chłopiec.

— To widać, że zakochany — potwierdził dyrektor z lekkim, łaskawym uśmiechem. Potem oglądał zdjęcia przedstawiające Władka siedzącego na kanapce w jakiejś grocie. Miss Brown rzekła:

— Tu go sfotografowałam na dancingu okrętu. Był zupełnie pijany. Udało mi się go popchnąć na stół tak, że pozostawił mi świetne odbicie palców. Proszę, oto jest. Jej odbicie palców także uzyskałam dzięki podstępowi.

Dyrektor zabrał głos:

— Mister Richardson i mister Dwarf, proszę sobie wziąć po jednej odbitce z każdej, które tu posiadam. Przydzielałam wam do pomocy miss Brown. Trudno, żeby jedna śledziła trzy osoby. Rozdzielcie robotę między siebie. Odciski palców tej pary trzeba zgłosić w oddziale daktyloskopijnym.

— Już zgłosiłam — rzekła krótko detektywka.

Dyrektor nie mógł dłużej ukryć zadowolenia. Powiedział z naciskiem:

— Pani pracuje dobrze, miss Brown.

Kobieta zarumieniła się i skłoniła lekko głowę. Było to coś niezwykłego, jeżeli ten wymagający szef raczył kogoś z podwładnych pochwalić. Ośmielona tym mówiła:

— Panie dyrektorze, zdaje mi się, że tej nocy będzie coś do roboty.

— No?...

— Otusawa przyjechał rano i zajechał wprost do swej przyjaciółki.

Wieczorem jest wielkie przyjęcie w pałacu Toma Raya. Będzie tam cały high life nowojorski. Miss Teacher jest także między zaproszonymi. Zapewne dzięki protekcji siostrzeńca Raya, bo stary miliarder jest bardzo wybredny w wyborze gości.

— Well. Postaram się zaraz o kartę wstępu dla pani, a panowie będziecie śledzić z zewnątrz. Mister Dwarf, proszę nie spuszczać z oczu Japończyka. On tu bez przyczyny nie przybył... Tak. A jutro poproszę do raportu.

Zrozumieli, że audiencja skończona i wszyscy troje opuścili gabinet dyrektora, udając się na krótką naradę nad dalszą akcją.

## II

Władysław Białoszyński rzucił szoferowi adres: Lexington Avenue 135. Samochód ruszył z miejsca i wnet utonął w rzece aut ruchliwej ulicy metropolii świata.

Mimo sześciotygodniowego pobytu w Ameryce, mimo że oswoił się z żywo pulsującym tętnem miasta piętnastomilionowego, zawsze jeszcze podziwiał Władek ten gwar uliczny i ruch niesłychany, który oszałamiał, ogłuszał, podobnie

jak potężna Niagara oszałamia nieoswojonego turystę.

Bo New York w roku 1947 nie był tym samym miastem, co dwadzieścia lub piętnaście lat temu. Dla rosnącego z roku na rok ruchu dotychczasowe obszerne ulice okazały się za wąskie. Trudno było burzyć tysiące gmachów dla rozszerzenia ulic. Więc dźwignięto je w górę. Ulice biegły w dwóch, a nawet trzech, płaszczyznach ponad sobą.

Wzdłuż pierwszego piętra wszystkich bez wyjątku budynków zawieszono na kształt olbrzymich galerii rzędy balkonów na sześć metrów szerokich, a podparto je słupami żelazobetonowymi. Dało to korzyść podwójną;

Po pierwsze, odciążyło dotychczasowe trotuary zabite tłumem pieszych, a nawet pozwoliło na pewne ich zwężenie na rzecz ruchu automobilowego. Po drugie, całe pierwsze piętro gmachów uzyskało od frontu szereg wspaniałych sklepów. Ich olbrzymie okna wystawowe mogły przyciągać nabywców, którzy teraz tuż koło nich przechodzili, podczas gdy przedtem, idąc dołem, zupełnie wystaw widzieć nie mogli, a chcąc się dostać na piętro, musieli błądzić po sieniach kamienic. Nie cały pas sześciometrowy jednakże przeznaczono dla pieszych, lecz tylko około cztery i pół metra. Na zewnętrznym skrawku tych galerii biegła linia tramwajowa. Tak samo wyglądała druga strona ulicy.

Za to cały dół, oprócz pasów chodników osłoniętych od słońca i słoty wspomnianymi balkonami, cały dół przeznaczono wyłącznie dla ruchu automobilowego. Tam więc sunęło pięć rzek samochodów w jedną i pięć w drugą stronę.

Na każdym skrzyżowaniu ulic zbudowano małą kamienną wysepkę. Tam u stóp wysokiej latarni i zarazem sygnału świetlnego dla regulowania ruchu nocnego stał rosły, barczysty policeman.

Chodniki parteru i pierwszego piętra połączono szeregiem mostów, przez co odpadło ustawiczne wstrzymywanie potoków aut dla zrobienia przejścia pieszym przechodniom z jednej strony ulicy na drugą. Skutkiem tych mądrych zmian liczba przejechań zmalała do jednej trzeciej dawnej strasznej ilości. A przecież ludność New Yorku wzrosła o sto procent w porównaniu do liczby sprzed lat dwudziestu. Te zmiany znalazły takie uznanie u właścicieli gmachów, kamienic i drapaczy chmur, że własnym sumptem założyli chodniki-galerie wzdłuż okien drugiego i trzeciego piętra, zyskując przez to nowe rzędy eleganckich i rentujących się doskonale sklepów.

Tak wyglądał dół ulicy. A góra?...

Na wysokości dwudziestego, czterdziestego i sześćdziesiątego piętra pędziły pociągi elektryczne łączące dalsze peryferie miasta z jego sercem. Wybito w drapaczach tunele, przecięto ulice mostami i kilkuwagonikowe ekspresy gnały przez karkołomne wyżyny z zawrotną szybkością. Nowa ustawa budowlana nakazywała przy budowie przyszłych drapaczy pozostawiać na każdym co



dwudziestym piętrze pas dziesięciometrowy dla torów nowych kolejek nadziemnych.

Jednakże ze względów estetycznych pas ten wywłaszczano na tyłach kolosalnych kamienic. Fronty pozostały jednolite, tak że tylko na krzyżowaniach ulic widać było zgrabne mostki żelazne, po których co kilka minut przepędził pociąg błyszczący i znikał poza murem dalszych rzędów drapaczy.

A ponad tym wszystkim wystrzelały ku niebu szczyty kamienic-kolosów. Najwyższy z nich, tak zwany TSLAEC (Three-Stars-Line-Air-Express-Company), liczył 103 piętra. Na jego rozległym, płaskim dachu mieściło się lotnisko Linii Trzech Gwiazd. W dzień ogromne flagi, a nocną porą świetlne sygnały wskazywały miejsce lądowania. Znacznie mniejszą część przestrzeni zajmował na tym dachu port wzlotów. Bo od czasu ulepszenia helikoptera znikła potrzeba zakładania rozległych lotnisk. Olbrzymi samolot potrzebował tylko tyle miejsca, ile, stojąc na ziemi, przestrzeni zajmował. Jak skowronek wzlatywał prostopadłe do góry, a dopiero kiedy się znalazł na odpowiedniej wysokości, puszczał w ruch śruby.

Więc na szczycie TSLAEC stały rzędy dziennych ekspresów mogące zabrać na pokład do 150 pasażerów oprócz załogi. Więc czekały na swą turę nocne ekspresy-sleepingi, mające dwadzieścia kabin po cztery łóżka każda.

Oprócz wspomnianego towarzystwa żeglugi powietrznej istniało także kilka mniejszych kompanii konkurencyjnych, które lotniska swe w podobny sposób urządziły.

Na innych dachach ustawiono soczewki gigantycznych rozmiarów. To były kondensatory promieni słonecznych. Od wieków niepokojący umysły wynalazców problem wyzyskania tytanicznej energii cieplnej słońca został nareszcie rozwiązany i życiodajne złote promienie zaprzęgnięto do pracy codziennej, mozolnej.

Lecz szczyty gmachów mieszczących biura lub mieszkania prywatne wyzyskano w inny sposób. Pozakładano tam wspaniałe ogrody wiszące, upstrzono szachownicami placów tenisowych. Tu płały, igrały, bawiły się dzieci pracowitych ludzi-mrówek. A w porze lunchu i po godzinie osiemnastej zaludniały się tłumami starszych osób szukających odpoczynku na świeżym powietrzu. Podczas ostrej zimy urządzano tu ślizgawki i uprawiano namiętnie hokej i inne gry lodowe.

To był New York dostrzegalny, widoczny dla oka widza. A pod ziemią, jak za dawnych czasów, pędziły starym trybem zapchane kolejki podziemne. Tłoczyły się zbite tłumy czekających pasażerów na rozmaitych Subway Local Stations czy też Subway Express Stations.

Lecz auto Białoszyńskiego zbliżało się do celu. Z Dziesiątej ulicy, zwanej także Amsterdam Avenue, skręciło w lewo, przecięło ulicę Dziewiątą, Ósmą,

przeleciało koło budynku poczty i obok leżącego dworca Pennsylvania Station, znowu przecięło Siódmą Avenue i wpadło na ruchliwe skrzyżowanie skośnie biegnącego Broadwayu i Szóstej ulicy.

Potem zwolniło tempa wchłonięte przez zapchany Broadway, tak samo jak wody górskiego strumyka płyną wolniej, gdy znajdą się w szerokim korycie wielkiej nizinnej rzeki. A podobnie jak ta rzeka płynie coraz ospalej, im jest bliżej swego ujścia, tak samochód Władka włókł się pierwszym biegiem, skoro nadchodziło zlewisko z serca metropolii. Skrzyżowanie Broadwayu z Piątą ulicą. Później jeszcze Madison Square, jeszcze w poprzek drogi biegnąca Czwarta ulica i wreszcie Lexington Avenue. Szofer skręcił na lewo i zatrzymał się po prawej stronie, gdzie widniał numer 135.

### III

Zadzwoił Władek do mieszkania miss Teacher. Otworzyła mu służąca, Chinka. Zapytał:

— Pani jest w domu?

— Nie, mister White. Pani wyjechać, nie wrócić niedługo.

— To szkoda. Wiesz Yae, ja poczekam na panią.

— Dobrze, mister White.

Wprowadziła gościa do jednego z trzech eleganckich salonów. Przez otwarło drzwi widać było dalsze wspaniałe apartamenty mieszkania pięknej kobiety.

Chinka, wychodząc, zapytała jeszcze:

— Yae móc wyjść?

Uśmiechnął się Władek. Lubił bardzo tę małą, cichą pokojówkę. Wiedział, że posiada w niej oddanego sprzymierzeńca. Ujął ją sobie grzecznym obejściem. Inni goście miss Teacher, jak prawdziwi Amerykanie, gardzili Chińczykami na równi z upośledzonymi w przywilejach i prawach Negrami. Toteż filigranowa pokojówka szybko odczuła różnicę między tamtymi wszystkimi a tym młodym Polakiem. Więc kiedy teraz skinął na nią, by jeszcze pozostała, podreptała żwawo na środek pokoju i stanęła w oczekującej pozie:

— Pan kazać, Yae zostać...

Białoszyński namyślał się chwilę. Nie chciał się kompromitować wobec służącej, ale z drugiej strony szalona zazdrość o piękną a ekscentryczną kochankę wtoczyła mu gwałtem na usta pytanie:

— Słuchaj, Yae. Czy pani wyjechała sama czy z kimś?

Błyski sprytu załśniły w nieco skośnych oczach pokojówki. Trzymając palec na ustach, podeszła całkiem blisko do pytającego i wyszeptwała:

— Nie sama. Nie. Rano przyjechać mister Otusawa. Ale pan nie zdradzić

Yae?

— Nie bój się, maleńka, jakżebym mógł to zrobić! Przeciwnie, jestem ci wdzięczny za tę wiadomość.

Pogładził ją lekko po twarzy. Cytrynowe, a gładziutkie buziaki dziewczyny splonęły rumieńcom szczęścia. Jej oczy szeptały modlitwę wdzięczności za tę rajską, choć skromną pieśczętę. O, gdyby chciał ją jeszcze pogładzić po głowie! O, gdyby zechciał cokolwiek.

Ale Władek zamyślił się tępo. Jego źrenice nie widziały w tej chwili nic. Żadnych nie odbierały wrażeń.

Więc Yae posmutniała. Pokornie jak niewolnica u cicho jak duch wysunęło się z pokoju do hallu.

Białoszyński zapalił papierosa i snuł przedziwo rozmyślań:

— Znowu ten Japończyk. Tuż trzeci raz łapię ją na konszachtach z tą żółtą małpą. Co oni mogą mieć za interesy? Mary ma zbyt dobry gust, aby mnie mogła zdradzać z takim kameleonem... — pochlebił sobie, a potem przebiegł wspomnienia przyjazdu do wielkiej metropolii.

Sądził, że parafiańskim zwyczajem wuj będzie go wyczekiwał w porcie z otwartymi rękoma. Nie wiedział o tym, że ludzie pracy nie mają czasu na sterczenie po dworcach, stacyjkach czy portach. To dobre dla starych panien i prowincjonalnych plotkarek.

Białoszyński wziął taksy i zajechał do pałacu wuja. Przytłoczył go w pierwszej chwili ogrom miasta mijanego, olśniły dzielnice will, zdumiał przepych rezydencji wujowskiej za miastem leżącej, lecz przykro go dotknęła nieobecność gospodarza. Stary miliarder pracował w swym banku przy Madison Square. Dopiero około trzynastej godziny przyjechał na lunch. Uściskał siostrzeńca serdecznie i zostawił mu na odpoczynek... pół dnia.

A nazajutrz zaczęła się praca. Ponieważ nazwisko *Białoszyński* stanowiło ekwilibrystyczne salto-mortale dla sztywnych języków anglosaskich, więc przezwano go: *mister White*. Pod tym pseudonimem musiał jako zwykły clerk siedzieć w banku nad stosami korespondencji lub, co gorsza, nad nudnymi jak lukrecja księgami buchalterii.

Tomasz Rej zangielszczony na Toma Raya, występował wobec siostrzeńca w dwóch rolach. Do godziny osiemnastej był dyrektorem i właścicielem banku, w którym młody clerk pierwsze stawiał kroki. Był srogim, wymagającym szefem, tytułującym Siostrzeńca przez *pan* i nie dopuszczającym do cienia najmniejszej poufałości.

O godzinie osiemnastej dokonywała się codzienna metamorfoza. Znikał szef, a na widownię wkraczał dobrotliwy, wyrozumiały wujaszek. Wtedy mówił Władkowi na *ty*, częstował go doskonałymi cygarami, brał go do opery czy kabaretów. A jeżeli starszy pan miał jakieś wieczorne posiedzenie lub jechał do

klubu, natenczas Władek miał do dyspozycji którekolwiek z jego licznych aut, miał do dyspozycji nie tylko swe czteropokojowe mieszkanie na drugim piętrze lewego skrzydła pałacu, ale całą rezydencję... z martwym i żywym inwentarzem, jakby to określił papa Onufry... Więc zapraszał wtedy małe kółko nielicznych jeszcze znajomych, a w tej liczbie miss Teacher. Zauważył Władek, że pod względem wizyt damskich jest wuj nader liberalnie i tolerancyjnie usposobiony. Ba, nawet był z tego zadowolony. Lubiał, gdy o tym mówiono. Wówczas przechwalał się z udaną skromnością:

— Ha, figlarz jakiś! Ledwo przyjechał, a już ma tak piękną kobietę. Po mnie temperament odziedziczył. Po mnie, powiadam...

Tak z wujem stosunki ułożyły się pod każdym względem idealnie. Z wdzięczności polubił nawet Władek pracę bankową. Zaczął studiować tasiemcowe ceduły giełd światowych. Czytywał poważne i ciężkie artykuły ekonomiczne. Tylko najgorzej było z gotówką... Doświadczony miliarder nie chciał przyzwyczajać siostrzeńca do marnotrawstwa.

— Wszystko, co chcesz, masz u mnie w domu. To jest od wuja. A od swego szefa dostaniesz za pracę w banku siedemdziesiąt dolarów tygodniowo. To jest dużo. Bardzo dużo. Ja w mych początkach zarabiałem tygodniowo dwadzieścia cztery dolary i musiałem z tego wszystko pokryć. Tak, my dear... Nie miałem wujaszka Toma... — powiedział siostrzeńcowi na samym wstępie. Potem go pocieszył:

— Sprawuj się dobrze w biurze, to ci może szef za miesiąc pensję podniesie. Za jakie pięć lat będziesz zarabiał około czterech tysięcy dolarów miesięcznie, o ile nie zrobimy plajty. No, ale o to nie ma strachu. Tom Ray ma dobre fundamenty...

Białoszyński zaaklimatyzował się łatwo w atmosferze małych dziwactw wujowskich. Czułby się doskonale, gdyby nie jedna troska...

Tą było rosnące uczucie zazdrości o Mary.

Wspomnił sobie młodzieniec pierwszą wizytę w domu przy Lexington Avenue. Przysłał Mary kosz kwiatów, na który poszła tygodniowa pensja. Uroczą znajoma z podróży była zachwycona tym prawdziwie na amerykańską skalę zakrojonym ładunkiem kwiecica i powitała go serdecznie, wesoło. Wówczas Władek, pomny zdarzeń owej niezapomnianej nocy na okręcie, z miejsca wyrecytował formalne oświadczenia i prośbę o rękę.

Wybuchła śmiechem perlistym, a potem, widząc jego rozczarowanie i urazę, zaczęła mu tłumaczyć, że nonsensem, przestarzałym, niedorzecznym nonsensem jest wiązać sobie życie nawzajem jakimiś ślubami. Że małżeństwo jest instytucją, która powoli wychodzi z użycia, przynajmniej wśród tutejszego high-life'u. Usiadła Władekowi na kolanach i mówiła:

— Będę twoją przyjaciółką, jak długo zechcesz...

I była mu kochanką najtkliwszą, najpiękniejszą i najrozkoszniejszą. Tylko

przy słowie *wierność* można by było wyrazisty pytajnik postawić...

Nie miał Władek na to oczywiście żadnych dowodów, ale jakiś instynkt go ostrzegał, że tak jest niestety. Kilka razy nie przyjęła go zupełnie, a sprzymierzona Yae powiedziała mu później, że miss Teacher gościła wtedy tego lub owego pana. Dwa razy czekał pod domem kochanki bardzo długo. Potem ujrzał ją wychodzącą chyłkiem w towarzystwie jakiegoś Japończyka, który miał kapelusz głęboko na oczy nasunięty. Wtedy zrobił jej pamiętną scenę zazdrości, która omal nie doprowadziła do zerwania.

Tuk. Wierność czarującej kochanki była nader problematyczną kwestią i zachmurzała czoło Władka, a serce mu uciskała kamieniem.

Zadźwięczał dzwonek...

Z przedpokoju doleciał go mezzosopranowy, słodki głos Mary. Tylko jej głos. Wróciła sama, weszła do saloniku i podała chłopcu obie dłonie. Potem pociągnęła go na kanapkę, przytuliła się do niego i obsypała mu twarz gorącymi pocałunkami. Ucieszyło go tak serdeczne przywitanie, ujęło i mile polechtało. Objął ją i odwzajemnił się pieszczotą całusów. Nagle odsunęła się trochę i dość obojętnie rzekła:

— Byłabym zapomniała. Mam do ciebie maleńką prośbę...

— Jaką, kochanie? Zrobię, co każesz.

— Nic nie rozkażę, tylko grzecznie poproszę.. Słuchaj, Vlad. Potrzebuję karty wstępu na dzisiejsze u was przyjęcie...

— Przecież przywiozłem ci już dawno. Zgubiłaś?

— Nie zgubiłam, ale ja potrzebuję zaproszenia dla innej osoby...

Ostygł od razu. Z ironią wycedził:

— Więc dlatego byłaś dla mnie taka serdeczna? No, a dla kogo ci to potrzebne?...

Kobieta przywarła do niego ruchem rozpieszczonej kotki:

— Dla kogo... dla kogo... Ty zazdrośniku nieznośny... — przedrzeźniała.

— No powiedz, Mary. Dla kogo?... — nalegał.

— Dla mego kuzyna... — odparła.

Nie wierzył w tego „kuzyna”, lecz spytał niby obojętnie:

— Ach, tak. Jak się nazywa ten gentleman? Karty są imienne...

— Tak samo, jak ja. Eryk Teacher. Jest to syn mego stryja. Przedstawię ci go na przyjęciu. Prosił mnie bardzo i byłam tak nieostrożna, że przyrzekłam prawie na pewno... Nie myślałam, że mi będziesz takie robił trudności...

— Niesłusznie ją podejrzewałam... — pomyślał Władek. Głośno zaś dodał:

— Widzisz, to nie jest takie łatwe. Wuj sam układa listę gości i jest ogromnie pedantyczny. Będzie mi robił trudności, że teraz dopiero twego kuzyna zgłaszam. Chyba by...

— Chyba... — podchwyciła skwapliwie.

— Ha!... Można by to obejść... Dam ci moją kartę. Mnie niepotrzebna zupełnie. Wpuszczą mnie bez wszystkiego, bo przecież tam mieszkam...

— Mój Wład kochany! Wiedziałam, że mi tego nie odmówisz... — sfrunęła jak motyl z jego kolan, wachlując się otrzymaną kartą wstępu. Wołała: — Wypędzam cię, Wład. Muszę zacząć toaletę, aby godnie wystąpić...

Białoszyński zdumiał się niesłychanie:

— Co? Już się chcesz zaczynać ubierać? Kobieto, co ty mówisz?!

— Naturalnie, że już. To nie jest takie proste. Najpierw kąpiel gorąca, potem godzinka drzemki. Dalej zimny tusz, masaż, fryzjer, manicurzystka. Później twarz. Rozczesać brwi, rzęsy, podmalować usta, popudrować ramiona. Tak kochanie. A gdzie właściwa toaleta? A gdzie dobór biżuterii odpowiedniej do danej sukni? A studiowanie wyglądu w lustrze? — wymieniała żartobliwie, wpadając w doskonały humor.

Władek machnął ręką z rezygnacją:

— Masz rację. Jestem zupełnie przekonany... — i zaczął się żegnać.

Trzymając ją wpół objętą, zapytał jeszcze:

— Ale potem od wuja ja cię odwiozę do domu. Dziś moja noc, Mary...

Odwróciła głowę niechętnie. Zdawało mu się, że przygryzła wargę.

— Co? Nie odpowiadasz? Może masz jaką schadzką?...

Nie chciała go sobie zrażać. Odpowiedziała pośpiesznie:

— Jesteś dzieciak niepoprawny. Nie myślę o żadnych schadzkach. Być może, że ty mnie odwiedzisz, być może, że nikt. Wszystko zależy od nastroju...

Podziękował jej długim pocałunkiem. Chmura z jego czoła pierzchła równie szybko, jak nadpłynęła. Rzucił na odchodne wesoło:

— Postaram się, byś miała humor szampański. Do widzenia, Mary...

## ROZDZIAŁ V

### Przyjęcie u Toma Raya

#### I

Noc była ciepła, wiosenna.

Olbrzymi park rozbrzmiewał gwarem wesołej zabawy. Z zaproszonych pięciuset osób stawili się prawie wszyscy. Byłoby nonsensem nie przyjść.

Dziwiły się uśpione drzewa licznym pochodniom płonącym na kamiennych, rzeźbionych pylonach. Dziwiły się rakietom wystrzelającym z różnych stron parku. Dziwiły się bardzo i za każdym powiewem wietrzyku kołysały lekko zawieszonymi na gałęziach lampionami.

W gąszczach zieleni rozpięto tu i ówdzie namioty wysłane perskimi dywanami. Tu szukały samotności gruchające pary. Namioty stały w skupieniach po dwadzieścia kilka, a w pobliżu każdej takiej wyspy białych budek, przygrywała jedna orkiestra. Każda inna.

Dźwięki dyskretne a rozmarzające płynęły wśród krzewów szumiących. Dźwięki słodkie a namiętne błąkały się wśród szpalerów strzyżonych roślin i wabiły, wabiły... Dźwięki ciche, a mocarne sunęły po kwiecistych trawnikach, po klombach róż, spotykały na ścieżkach rozbawione pary i nęciły, nęciły... Słodkie, czarowne tony...

Rozległe sale pałacu świeciły tysiącem lamp i... pustkami. Wszyscy przeszli do parku, tym bardziej, że i tam tańczyć można było.

W pośrodku parku, na sztucznym wzgórku, stała wielka altana w kształcie grzyba. Tu siedziało grono gości starszych wiekiem lub poważniejszych stanowiskiem społecznym. Rozmawiano grupami dokoła stolików rozrzuconych ze wszystkich stron trzonu olbrzymiego grzyba.

Tom Ray, siwy lecz czerstwy mężczyzna, brał udział w dyskusji politycznej, jaka się przy jego stole właśnie wywiązała. Mówił:

— Jeżeli ta ustawa wyjdzie w tej formie, jak pan powiada, to mamy wojno z Japonią. Zakładam się o dwadzieścia tysięcy dolarów przeciw dziesięciu tysiącom,

że mamy wojnę. Tak, mister Hale...

Chudy, kościsty gentleman, do którego gospodarz to zdanie skierował, zaprzeczył energicznym ruchem głowy:

— Nonsens, mister Ray! Nonsens, powtarzam. Tak samo Polska, Włochy, Niemcy czy Chiny mogłyby się uczuć dotknięte tym billem...

Pan Tomasz uśmiechnął się kącikami ust, słysząc, jak gość na pierwszym miejscu wymienił Polskę. — To ze względu na moją narodowość. Chcecie mi zrobić przyjemność. Trzeba się będzie zrewanżować... — pomyślał i odparł:

— Yes, mister Hale. Zjednoczone Stany są tak potężne, że mogą się śmiać, choćby wszystkie te państwa stanęły po stronie Japonii. Ale nie staną; nawet Chiny nie staną. Well. Niemniej wojna będzie i podtrzymuję mój zamiar zakładu.

— All right. Przyjmuję. O dziesięć tysięcy dolarów.

— Zrobione. Dziesięć przeciw dwudziestu...

— O, nie, gospodarzu! Równe szanse, równe stawki. I tak pan przegra...

— Jeżeli bill wyjdzie taki, jak pan mówił, to wygram.

Zakład stanął. Inni goście ożywili się i wnet zawarto zakładów na łączną kwotę trzystu dziesięciu dolarów.

Tymczasem trzecia osoba zabrała głos w dyskusji. Był to senator O'Connor, pochodzący ze starej irlandzkiej rodziny, osiadłej w Stanach w czasie wojny o niepodległość. Mówił bardzo powoli i z przystankami, po których następowało nieodzownie sakramentalne *yes*:

— Obaj panowie rację macie i obaj jej nie macie... Yes. Nie ulega wątpliwości, że ostrze billu zwrócone jest przeciw Japończykom... Yes. Namnożyło się tych drabów u nas niesłychanie... Yes. Według ostatniej statystyki mieszka ich w Stanach z górą szesnaście milionów... Yes. Straszna liczba. Słyszysz, Maud?... Szesnaście milionów!...

Pytanie to zwrócone było do młodej małżonki siedzącej dość daleko od politykującego senatora. Lecz pani Maud ani nie słuchała, ani nie słyszała. Od godziny zajęła się intensywnie flirtem z pięknym siostrzeńcem gospodarza, który siedział jak na szpilkach.

Władek widział się już z Miss Teacher i sądził, że będzie mógł jej cały wieczór i noc poświęcić. Niestety obowiązki wicegospodarza kazały mu bawić piękne ladies, jedną, drugą, trzecią ekscentryczną miss lub kapryśną mistress, a nawet nudne matrony. Potom nastąpiła bezwzględna okupacja ze strony pani senatorowej i o ucieczce nie było mowy. Zwłaszcza że wuj mu szeptem zlecił zabawianie małżonki wpływowego męża stanu, jakim był bez wątpienia O'Connor.

Więc siedział zrezygnowany, odpowiadając jak najśłodziej na gęsty deszcz pytań i prawiąc komplementy. Nie uszło jego oka, że pani Maud jest bardzo ładną, interesującą i wartą zachodu kobietą. Zapewne w innych okolicznościach nie omieszkałby skorzystać z dowodów sympatii, jakimi go darzyła od chwili. Ale nie



teraz. Nie teraz, gdy serce jego i zmysły wołały o tamtą...

I kiedy tak siedzieli w mrokach altany, kiedy pani Maud wcisnęła Władka w sam róg kanapy i ukradkiem ścisnęła mu rękę, doszedł ich głos senatora:

— Szesnaście milionów!... Słyszysz, Maud?...

— Słyszę, Paddy. To ładna kwota. Można by za to mieć elegancki jacht i do końca życia podróżować po świecie...

Pani Maud miała, oprócz zamiłowania do flirtu, jeszcze jedną słabość. Były nią podróże. Ponieważ jednak dochody męża nie pozwalały na częste wojaże, więc korzystała skwapliwie z zaproszeń bogatszych przyjaciółek lub... przyjaciół. Urządzało się to w ten sposób, że majątny wielbiciel zapraszał na swój jacht także kilka osób dla formy. Mąż był spokojny, opinia publiczna przymykała pobłażliwie jedno oko, kochanek czuł się uszczęśliwiony, a pani Maud?... Pani Maud miała podróż rozkoszną i „flirt” z kochankiem. Słowem, wszyscy byli zadowoleni... Niebawem miała także wyjechać w taką podróż do Japonii, jako gość młodego markiza de Garroni.

Nic tedy dziwnego, że pani senatorowa, myśląc tylko o podróżach, zrozumiała, iż o dolarach mowa i obmyśliła od razu najwłaściwszy sposób ich wydania.

Dopiero ogólny śmiech sprowadził ją z obłoków na ziemię. A kiedy jej mąż wyjaśnił nieporozumienie, oświadczyła z rozkosznie nadąsaną miną:

— Cóż mnie to obchodzi, ilu tu jest Japończyków?...

— Ale nas obchodzi, droga Maud... Yes. Nas to bardzo obchodzi i dlatego ustawa, która wyjdzie, jest słuszna i sprawiedliwa... Yes.

Gospodarz był zdania odmiennego:

— Za ostra. Za ostra, senatorze. Wystarczyłoby wzbronąć jak najsurowiej nowej imigracji. Lecz wyrzucać tych, którzy tu siedzą od lat pięciu począwszy, to musi wywołać reakcję. Zobacz pan... Przecież wielu z nich ma już swoje zagospodarowane posiadłości lub prosperujące przedsiębiorstwa. Naraz muszą się wynosić. Z konieczności muszą swe mienie sprzedać. A ten, co musi sprzedać, sprzedaje za pół, za ćwierć ceny... Daje darmo nawet...

— Well. Bill zostawia im czas na zlikwidowanie interesów... Yes.

— Mało... Trzy miesiące, to strasznie mało. To mniej niż mało...

— Dla businessmana, wystarczy aż nadto... Yes.

— Owszem, ale dla jednego businessmana. Lecz tych, którzy będą musieli Stany opuścić, jest prawie dziesięć milionów, z czego połowa przypada na Japończyków. Dziesięć milionów ludzi rzuci na rynek swe mienie, mając nóż na gardle. Wywoła to zniżkę ogólną, stagnację, bessę... Zobaczycie... — krakał złowieszczo gospodarz.

Zapanowała chwila długiego milczenia, które przerwał dopiero mister Hale:

— Być może, że bill nie będzie tak ostro zredagowany, jak przypuszczamy.

Szkoda, że mister Fogg uciekł od nas przed półgodziną. Kto jak kto, ale pierwszy sekretarz prezydenta powiedziałaby nam, co w Białym Domu dzisiaj zdecydowano...

Gospodarz z uśmiechem dorzucił:

— Może właśnie dlatego uciekł, by uniknąć pytań niedyskretnych...

Senator O'Connor chrząknął silnie, co było nieomylną, oznaką, że zanoszą się na dłuższą przemowę. Dotknięty słowami mister Hale'a chciał podnieść, że on jako senator wie tyle samo lub więcej niż sekretarz prezydenta Stanów. Ale przeszkodziła mu małżonka. Zerwała się z miejsca i wyrecytowała jednym tchem:

— Mister Fogg uciekł od nas, bo woli się bawić niż politykować. Polityki ma dość przez dzień cały, tak jak i ja. Widziałam go przed chwilą w tamtej alei. Poznałam zaraz jego sylwetkę. Flirtuje z kilkoma damami... Tam, moi ponowie... Ja także idę w jego ślady i uprowadzam siostrzeńca gospodarza. Good day, Paddy. O piątej rano zgłoszę się tu do altany, ale prędzej nie... Good day, ladies... good day, gentlemen...

Wzięła za rękę Władka i lekkim, tanecznym krokiem wybiegła z altany. Senator szukał na ziemi cygara, które mu z ust wypadło ze zdumienia.

## II

Kiedy znaleźli się wśród szpalerów ogrodu, pani Maud przycisnęła się silnie do ramienia towarzysza i rzekła:

— Pójdziemy zatańczyć najpierw....

Władek wzniósł oczy ku gwiaździstemu niebu z cichą rezygnacją. — Najpierw? — powtarzał w myśli. — Co ona wymyśli na potem... — Orientując się doskonale w labiryncie dróg i ścieżek, wiódł z męczeńską miną swą dręczycielkę w stronę jeziora.

Jezioro zajmowało połowę olbrzymiego parku i jedną odnogą docierało aż do marmurowych schodów pałacu. Inna jego połać kryła się wśród naturalnego lasu, który mister Ray umyślnie w stanie pierwotnym zachować polecił.

Kiedy Władek ze swą towarzyszką stanął nad brzegiem wody, ujrzeli w oddali jasno oświetloną wyspę. Pływającą wyspę w kształcie olbrzymiego nenufara.

Parkietowe, na zielono pomalowane posadzki wyobrażały liście na wodzie rozłożone. Ponad tym kołysały się giętkie łodygi kwiatów. Łodygi wysokie na cztery metry przynajmniej. Każdy Kwiat krył w sobie lampę białą lub złotą.

Na liściach tańczyło par ze trzydzieści, lecz miejsca wolnego było jeszcze na drugie tyle. Lekko ku górze podniesione krawędzie tego ogromnego rozmiaru listowia uniemożliwiały zimną kąpiel zapalonym danserom. W tych brzegach biegł

także dobrze zamaskowany rząd lampek zielonych. Zresztą przestrzeń przeznaczoną do tańca oświetlały jasno kielichy kwietne nenufaru.

Tę piękną tratwę ciągnął na krótkich złoconych linach łabędź-motorówka. Skrzydła śnieżnobiałego ptaka osłaniały przed oczyma patrzących z brzegu ukrytą w pośrodku orkiestrę. Motorowy łabędź sunął powoli, majestatycznie wzdłuż wybrzeży jeziora, ciągnąc rozbawiony nenufar tańczących.

Pani Maud wskoczyła wesoło do jednej z czekających gondoli. Były to czarne gondole, do weneckich ludząco podobne. Tylko środkowa część łodzi różniła się trochę od siostrzyc włoskich. Więc przede wszystkim we wnętrzu budki nie było ławeczek, lecz niziuteńka, wygodna otomana. Boczne ściany i frontowa dały się podnosić i opuszczać swobodnie. Tylko daszek oraz tylna ścianka były stałe i zasłaniały jadące pary przed niedyskretnym wzrokiem stojącego w samym końcu barki gondoliera.

Kiedy Władek z niemalą obawą ułożył się we wnętrzu budki, cofając się aż pod ściankę przed ewentualnymi zaborczymi atakami swej towarzyszki i kiedy ta srebrzystym głosikiem dała znak odjazdu, lokaj przebrany za Włocha odbił się od brzegu długim wiosłem i gondola ruszyła na drgającą powierzchnię jeziora.

Najpierw popłynęli w kierunku czerniącego się lasu. Tam znajdowała się mała wysepka, z której dolatywały wesołe okrzyki szalejących gości. Przyczyna zamieszania wyjaśniła się niebawem. Oto grupa kobiet, przebranych za nereidy i leśne nimfy, wylądowała znienacka na wyspie i poprzewracała namioty, w których szukały samotności rozbawione pary... Czarujące boginki, dokonawszy spustoszenia, uprowadziły dwóch młodszych gości na swą łódź i tu skutkiem szamotania się porwany przez niewiasty gentleman wpadł do wody... Drugi młodzieniec, zamiast wyciągnąć towarzysza, opryskiwał go wodą... Z tego zdarzenia wynikła wrzawa, którą było słycać wszędzie.

— Tu jest za głośno. Popłyniemy gdzie indziej... — zadysponowała pani senatorowa.

Władek dał odpowiednie wskazówki gondolierowi i przeklinał w duszy swe położenie bez wyjścia. Wciąż jeszcze liczył, że znajdzie okazję do zgubienia się w tłumie i odszuka miss Teacher. Ale pani Maud przypuściła w tej chwili atak generalny.

— Pocałuj mnie... — rozkazała niespodzianie. Zarzuciła mu ręce pod głowę, przymknęła oczy i nadstawiła mu swe silnie czerwonym ołówkiem podkreślone usta. A skoro nakrył je wargami, obojętny i zimny, zaplotła mu ramiona dokoła szyi. Pocałunek trwał długo i wzburzył chłopcu krew. Ale gdy chciał opuścić firanki bocznych ścianek, pani Maud ostygła niespodzianie. Odsunęła go od siebie i zaczęła obojętną rozmowę.

Diabli wiedzą, czego ona chce — scharakteryzował Władek jej postępowanie. — Żeby tak móc gdzie drapnąć — myślał w duchu.

Uwagę pani senatorowej zaprzętnęło co innego. Oto naprzeciw nich posuwał się statek z tańczącymi parami. Wśród śmiechów beztrioskich, wesołych, wśród dźwięków orkiestry grającej, płynął łąbędź i kwiat nenufaru...

— Zatańczymy — zadysponowała pani Maud.

— Z największą przyjemnością... — odparł z największą nieszczerością Białoszyński.

Niebawem dobili do tratwy i zaczęli tańczyć. Miss Teacher nie było tu nigdzie. Więc nolens volens musiał się zająć bawieniem pani senatorowej. A pani Maud tańczyła świetnie. Każde jej pas było arcydziełem samo dla siebie, co dopiero mówić o całości tańca. Wczuwała się w melodię muzyki, przewidywała każdą najbardziej skomplikowaną figurę, jaką tylko Władek zaimprovizował. Przy tym patrzyła w oczy dansera tak obiecująco, tak znacząco mu dłoń ścisnęła, że po raz drugi tego wieczoru, zaczęła mu krew szybciej przebiegać zaplątany labirynt żył.

Potem stanęli dla odpoczynku na samej krawędzi jednego z liści. Łąbędź ciągnący roztańczony nenufar zbliżał się właśnie do schodów pałacu. Olbrzymi gmach dwupiętrowy był iluminowany rześcicie. Wzdłuż ram każdego okna, wzdłuż balustrad balkonów, równo z konturami dachu i wieżyczek biegły szeregi maleńkich żarówek elektrycznych, jaśniał tysiącami lamp ten zaczarowany zamek. A na spokojnej tafli jeziora kołysały się świetlne refleksy i odtwarzały wierne odbicie wspaniałego budynku. Od czasu do czasu ze środkowej wieżyczki pałacu wystrzelały ku niebu race i opadały tęczową kaskadą barw ku wodzie.

W kapryśnej główce pani Maud powstał plan nowy:

— Zaprowadzi mnie pan na balkon drugiego piętra. Stamtąd musi być widok wspaniały na ogród i na całe jezioro...

— Dobrze, proszę pani — odparł złamany męczennik i myślał po drodze: — Co ona jeszcze, wymyśli... Czy ja się jej dziś nie pozbędę?

Wylądowali na schodach i poszli wzdłuż ściany pałacu.

Tak zadysponowała pani senatorowa. Nie chciała wchodzić głównymi schodami w obawie spotkania znajomych. Mimo wszystko pani Maud dbała o opinię. Więc zaprowadził ją aż do bocznych schodów, otworzył drzwi korytarza i wprowadził ją do swego mieszkania. Wyszli na długi a wąski balkon.

Ale widocznie nie ten, rzeczywiście wspaniały, widok, jaki się stąd roztaczał, był celem eskapady pani senatorowej. Stwierdziwszy, że jest tu *prześlicznie*, powróciła do saloniku młodego gospodarza i swobodnie wyciągnęła się na kanapce...

— Przynieś mi wina!... Dużo wina — rozkazała.

Wybiegł na dół i po chwili powrócił, niosąc okazałą baterię flaszek. Kiedy znalazł się przy drzwiach korytarza, przystanął i zamknął je za sobą na klucz.

— Nie można przewidzieć, co będzie. Tak nikt nas nie zaskoczy

przynajmniej — wykombinował. Potem wszedł szybko do saloniku.

Pani Maud piła, wiele, ale jeszcze więcej musiał wypić Władek. Potem rozpoczęła się droga faza ofensywy.

Druga faza, a metoda ta sama. Więc pani Maud kazała się całować, oddawała uściski namiętne, omdlewała w objęciach chłopca, a kiedy jemu oczy mgłą zachodzić zaczynały, zrywała się i wychodziła na balkon... Igrała z nim w swój ulubiony sposób, a z doświadczeniem dwudziestodwuletniej kobiety. Z bogatym doświadczeniem kapryśnej i zepsutej damy z high life'u.

Tak przeszła godzina lub więcej, aż wreszcie i Władek przejrzał. Zrozumiał grę wyrafinowanej kokietki, mimo iż pokój już mu wirować dokoła rozpoczął. I kiedy piękna senatorowa znów wymknęła się na zbawczy balkon, Władek szybko napił się wody. Jedną szklankę i drugą. Mruczał pod nosem:

— Znowu za dużo wypilem albo to wino za mocne. Ale jeżeli ty, kokietko, myślisz, żeś sobie ze mnie zrobiła zabawkę, to jesteś w błędzie. Przyjemnie się rozczarujesz... moja droga.

Chwila odwetu nadeszła niebawem, bo pani Maud powróciła z balkonu i zajęła taką samą pozycję jak przedtem. Znow Władek obsypał ją szaloną pieśczęcią pocałunków, a kiedy poczuł, że mu się chce wymknąć ponownie, porwał ją krzepko na ręce i poniósł do swej sypialni. Poniósł ją tak, jak silny drapieżnik niesie upolowaną zdobycz do swego legowiska ...

Na próżno stawiała opór dość silny, na próżno uchwyciła się drzwi, które właśnie mijali. Oszałały chłopak ugryzł ją lekko w ramię, że puściła natychmiast trzymane skrzydło drzwi... Stanęli w sypialni.

— Puść... nie chcę ... boję się ... — prosiła jeszcze słabiutko.

A potem ręce jej obwisły bezradnie. Piersi zaczęły falować. W oczach tliła się obawa, niemoc i poddanie. Czerwone, nabrzmiące usteczka szeptały jakieś prośby błagalne.

Lecz stalowy uścisk ramion zwycięzcy nie zwolnił ani o cal jeden. Więc sama mu chętnie wargi swe podała...

### III

Białoszyński przyśpieszył kroku. Rozglądał się na wszystkie strony i mruczał niezadowolony:

— Tak ten czas zleciał szybko! Już trzecia wybiła... Ale gdzie ta Mary tkwi nareszcie? Przeszło kwadrans jej szukam daremnie...

Zaniepokoił się bardzo. Robił sobie wymówki, że tyle czasu poświęcił pani Maud. Przebiegał niecierpliwie labirynt alei, szpalerów i ścieżek. Natrętnie zaglądał pod daszki namiotów przepędzany wszędzie wesołymi okrzykami

rozochoconych gości. Nigdzie nie znalazł Mary. Wreszcie przyszła mu jeszcze jedna myśl do głowy:

— Chyba, że tam poszła...

Skierował się w prawy róg parku. W tej stronie goście nie krążyli zupełnie. Była to właśnie ta dzika część ogrodu przecięta długim językiem jeziora. Po obu stronach ścieżek i dróg do konnej jazdy wznosiła się splątana gęstwa krzaków i drzew.

Ale właśnie dlatego, że był to tak dziki zakątek ogrodu, oświetlenie zachował najlepsze. Nie dotarli tu jeszcze swawolni biesiadnicy, którzy w innych częściach parku dawno już pogasili wszystkie lampiony, a nawet pochodnie. Dlatego było tu jasno i Władek zobaczył w oddali jakąś idącą pośpiesznie parę... Chłopiec miał wzrok doskonały, więc szybko poznał Mary. To była na pewno ona. Jej postawa, jej chód lekki, jej sposób trzymania głowy. Szła pod ramię z jakimś wysokim mężczyzną.

Dzieliło go dobre sto metrów od oddalającej się pary. Przyśpieszył kroku, aby ich dogonić, zanim osiągną brzeg jeziora i wsiądą do gondoli. Szedł cicho zupełnie, gdyż droga była wysypana miękkim żółtym piaskiem.

Nagle...

W gęstwinie po lewej ręce zaszeleściły krzaki gwałtownie. Stał zdumiony, nad słuchując. Uszu jego dobiegi charkot duszonego człowieka. Trzasnęła złamana gałąź...

Bez namysłu przesadził Władek niski szpaler krzaków i osłupiał.

Tuż przed nim klęczał jakiś mężczyzna. Klęczał na brzuchu powalonej na ziemię kobiety... Białoszyński błyskawicznym ruchem ucałował draba za kołnierz i ściągnął z przygniecionej ofiary. Lecz w tej samej chwili dostał pięścią cios w głowę i zatoczył się, puszczając napastnika. Więc szybkim chwytem wyrwał rewolwer z kieszeni; tamten nie czekał jednak... tylko zachwiały się roztracone gałęzie, tylko liście wstrząśnięte zaszeleściły...

Władek schował broń z powrotem i pochylił się nad leżącą. Nie drgnęła nawet. Omdlała lub nie żyła od chwili... Niedaleko od tego miejsca płonęła wielka pochodnia, umieszczona na kamiennym pylonie. Tam postanowił przenieść tę kobietę. W pierwszej chwili chciał pobiec po służbę i sprowadzić lekarza. Lecz w takim razie mogła być nieszczęśliwa narażona na to, że złoczyńca powróci.

Więc schylił się i wziął ją na ręce. Przedarł się z trudem przez gęsty, choć niewysoki pas krzaków. Na małym trawniku u stóp smukłego pylonu złożył swoje brzemie i wydał okrzyk zdumienia... To była Miss Brown, znajoma ze statku *Bracia Słowianie*. Zebrał całą swą wiedzę o ratowaniu zemdlonych. Przypomniał sobie kursy samarytańskie w skautingu. Po kilku dobrych minutach kobieta otworzyła oczy. Zapytała zdumiona ogromnie:

— To pan?

— Tak, Miss Brown. Dzięki Bogu, na czas przybyłem. Cioszę się szczerze.

— A ten drab?

— Uciekł, proszę pani...

— To źle. Popsuje mi grę...

— Popsuje? Grę? Nie rozumiem... — dziwił się Władek, nie pojmując, o co chodzi. W tej chwili stuknęło coś o mur pylonu, rozprysły się maleńkie okruchy kamienia.

Miss Brown chwyciła towarzysza za rękę. Wymówiła jednym tchem:

— Strzela do nas z pneumatycznego rewolweru. Padnij pan na ziemię...

Poszedł szybko za jej radą, a w tej chwili bzyknęła mu kulka tuż nad głową. Gdyby nie ostrzeżenie tej kobiety, leżałby już teraz przestrelony na wylot. W mgnieniu oka ogarnął sytuację. Rzeczywiście, trudno się było gorzej ulokować. Nie zasłonięci żadnymi krzakami, oświetleni blaskami pochodni stanowili znakomity cel dla zaszytego w gęstwinie zbrodniarza.

Tylko gruby mur pylonu uchronił ich od niechybnej śmierci. Lecz każdej chwili bandyta mógł się posunąć w jedną lub drugą stronę i strzelać do nieosłoniętych po bokach. Mógł wykonać atak, mając świetną i bezgłośną broń w rękach. Należało działać śpiesznie.

Miss Brown znów doradziła:

— Bierz pan mój rewolwer i wal pan na oślep w te krzewy. Do ostatniej kuli. I krzycz pan *na pomoc*. To go spłoszy...

Władek porwał rewolwer i nie podnosząc się z ziemi, wymierzył. Runął strzał jeden, drugi, trzeci, czwarty... Od murów pałacu nadleciało echo wielokrotne. Władek siał kulami w takim kierunku, jak szprychy biegną u koła roweru. Potem krzyknął donośnie:

— Na pomoc! Na pomoc!... — i znów strzelał, aż do ostatniej kulki w rewolwerze. Miss Brown podała mu dwa naładowane magazynki. Podniecony chłopiec wystrzelał wszystkie ładunki, a potem sięgnął do kieszeni po własny rewolwer.

Ustało bzykanie kulek zdradzieckiego automatycznego pistoletu zbrodniarza. Niedoszły morderca Miss Brown nie żył zapewne lub... uciekł.

Gęsta kanonada i okrzyki Władkowe zwabiły w tę stronę kilku służących. Miss Brown nakazała przede wszystkim zabronić wchodzenia w te krzaki, gdzie omal życia nie postradała. Obawiała się, że zادةcą ślady, które nazajutrz chciała osobiście zbadać jak najdokładniej. Kiedy jej Władek przyrzekł, że pozostawi na straży jednego lokaja, który będzie bronił wstępu do zarośli, pozwoliła się zanieść do pałacu i zaraz zemdląła powtórnie. Białoszyński kazał natychmiast sprowadzić lekarza, a sam powrócił do gości. Skonstatował, że jego kanonada nie wywarła tu żadnego wrażenia. Prawie wszyscy uczestnicy wesołej zabawy byli pod tak dobrą dala, że nawet salwa armatnia nie byłaby w stanie wyprowadzić ich z równowagi, a

raczej z nierównowagi.

Prohibicja, ścisła prohibicja... Więc podczas uczty wieczornej w pałacu Tomasza Reja nie podano ani kropli alkoholu. Ustawy należy przestrzegać... podczas oficjalnych występów. Ale za to czarodziejski park obfite zgotował niespodzianki.

Koło każdego namiotu, w każdej altanie i spod każdej ławki wychylały się dyskretnie sympatyczne szyjki omszałych gąsiorków i posiwiałe łebki flaszek wszelakiego kalibru. Z każdej gondoli zwisały do wody złotawe sznurki naprężone skutkiem ciągnięcia jakichś zanurzonych ciężarków. A kiedy zaciekawione ręce płynących par pochwyciły te sznurki, by wydobyć tajemnicze kotwice, wówczas wychynęła nad zwierciadło jeziora główka flaszki szampana. Tam się zamrażał napój musujący; tam się chował dyskretnie przed okiem ustawy.

Stąd humor był powszechnie szampański, stąd strzały Władkowe wzięto za wesoly wybryk podchmielonego zupełnie biesiadnika...

Władek powrócił do przerwanych poszukiwań Mary. Lecz na próżno przebiegał po raz drugi i trzeci wszystkie zakamarki olbrzymiego parku. Nadaremnie. zbadał „mieszkańców” wszystkich namiotów i altan. Wszystko na próżno. Miss Teacher znikła bez śladu.



## ROZDZIAŁ VI

### Porwanie w biały dzień, przy Piątej Alei

#### I

— Niech pan poprosi — rzekł dyrektor policji do dyżurnego urzędnika i raz jeszcze odczytał przyniesiony sobie bilet interesanta. Potem swoim zwyczajem mruknął półgłosem do siebie:

— Zobaczmy, co sprowadza pana sekretarza prezydenta Stanów do mojej kancelarii. Mister Alfred Fogg... Hm... Słyszałem już gdzieś to nazwisko.

— Dalszy monolog przerwało mu wejście sekretarza. Mister Fogg był człowiekiem lat trzydziestu dwóch najwyżej, ale wyglądał starzej. Przynajmniej w tej chwili. Znać było po nim wielkie zdenerwowanie, jakie wywołuje zazwyczaj niezwykle zdarzenie u osób nawykłych do spokojnego, jednostajnego trybu życia. Z roztargnieniem przywitał się z dyrektorem policji i usiadł we wskazanym mu fotelu. Silne zakłopotanie odbiło się w jego twarzy. Było widoczne, że nie wie, od czego ma zacząć rozmowę. Więc dyrektor Bloossom przyszedł mu z pomocą:

— Domyślam się, że pana sekretarza spotkał jakiś niezwykle wypadek.

— Tak, mister Bloossom. Bardzo niezwykle, tylko nie wiem, czy...

— Czy co?

— Widzi pan, sprawa jest bardzo... — znów się zaciął bezradnie.

— Bardzo delikatna i wymaga dyskrecji. Czy tak? — dopomógł dyrektor.

— Yes, sir. O to właśnie chodzi. Więc mogę liczyć?..

Dyrektor ruszył ramionami, jakby dziwiąc się naiwności gościa piastującego tak wysokie i zaszczytne stanowisko. Rzekł krótko:

— Sir, proszę mówić śmiało. I know my duty...

— Well, powiem wszystko za porządkiem.

Mister Fogg poprawił się w fotelu, jakby się przygotowywał do dłuższej przemowy. Słowa rzucał krótkimi zdaniami gorączkowo. Czasami przerywał i patrzył pytająco w twarz starego urzędnika policyjnego. Ale Sfinks by pozazdrościł w tej chwili dyrektorowi Bloossomowi. Maskę jego oblicza pozostała nieruchoma,

obojętna, nieprzenikniona. Słuchał tylko z uwagą opowiadania gościa:

— Ostatniej nocy, mister Bloosom, byłem na przyjęciu u mister Raya. Wspaniałe przyjęcie, wspaniałe kobiety. Zwłaszcza jedna. Klasyczny typ urody. Yes. Wonderful! Zgodziła się pójść do mnie na resztę nocy. Zgodziła się po długich naleganiach. Przeżyłem chwile piękne. O, she was charming! Tak czarująca była, jak żadna kobieta. Muszę dodać, że noc z nią spędziłem w hotelu. Kiedy przyjeżdżam z Washingtonu do New Yorku, nocuję zazwyczaj u brata. Tym razem przewidywałem, iż zabawa zakończy się weselej. Więc wziąłem pokój w hotelu. Wszystko ślicznie, lecz o jedenastej się budzę, a jej nie ma. Znikła i zabrała mój portfel i notatnik. To straszne!... Nie rozumiem zupełnie. Przecież Ray przyjmuje u siebie kwiat towarzystwa! Kontrola jak najbardziej ścisła. Nigdy bym nie był przypuścił, że to złodziejka i to jaka złodziejka... — Urwał i znów wpatrzył się pytająco w oblicze dyrektora. Nareszcie mister Bloosom przemówił. Rzucił szereg pytań:

— Nazwisko tej damy pan zna?

— Nie. Któżby się pytał w takich okolicznościach.

— Gdzie to się stało? Który hotel?

— W hotelu *Halley* przy Washington Square.

— O której godzinie przybył pan z nią do hotelu?

— Coś koło trzeciej lub trochę później. Nie patrzyłem na zegarek.

— I spał pan tak twardo, że nic pan nie słyszał. Hm... Nie boli pana głowa?

Źle pan wygląda ...

— Owszem, sir. Szumi mi w głowie od samego rana...

— Aha. Pokaż mi pan język.

Mister Fogg zdziwił się trochę tym żądaniem, lecz posłusznie je spełnił.

Dyrektor pokiwał głową. Zapytał:

— Nie częstowała pana papierosami? Niech sobie pan przypomni.

— Tak, częstowała. Prawda, nawet dwie pomadki mi dała z torebki...

— Domyśliłem się zaraz. Spał pan jak w narkozie. Dziwię się bardzo, że się pan obudził o jedenastej rano po tej dawce ...

— Zbudził mnie służący hotelowy, który przyniósł śniadanie. Takie polecenie dałem dnia poprzedniego.

— Teraz rozumiem. Czy nie mógłby mi pan powiedzieć czegoś bliższego, jak wyglądała ta dama?

— Była prześliczną, czarującą istotą... — powiedział z zapalem sekretarz prezydenta Stanów.

Mister Bloosom uśmiechnął się kącikami ust. Rzekł:

— W to nie wątpię, ale jaki miała kolor oczu, włosów, wzrost itd.?

— Szczupła, wysoka, włosy jak złoto, a oczy, zdaje się, ciemnoniebieskie.

Tak, niebieskie. Chociaż nie wiem na pewno, bo zaraz zgasiła światło...

— Uhum... — dyrektor chrząknął i zamyślił się. Przyszły mu na myśl wczorajsze podejrzenia młodej detektywki. Nagłym ruchem utworzył szufladę. Wyjął stamtąd jakąś fotografię i podsunął ją pod same oczy sekretarzowi:

— Czy nie ta?

— Ta... ta... na pewno... — zdumiał się i ucieszył sekretarz.

Dyrektor wstał na znak, że audiencję uważa za skończoną. Powiedział jeszcze:

— Widzi pan, jak sprawnie działa policja. Niech pan wpadnie do mnie wieczorem, to panu coś bliższego będę mógł powiedzieć. Tylko teraz najważniejsze pytanie. Co panu właściwie skradła ta kobieta?

Mister Alfred Fogg zmieszał się dość widocznie. Bąknął niewyraźnie:

— Właściwie to niewiele. Miałem w portfelu pewną drobnostkę... Tylko...

— Czy skradziono panu jakie dokumenty państwowe?...

Sekretarz zaprzeczył żywo:

— Nie. Skądże znowu! Takich papierów nie brałbym ze sobą do hotelu.

Lecz w tym notesie, który mi wzięła, miałem wynotowany szereg ważnych, bardzo ważnych spraw. Były tam nawet odpisy, to jest właściwie streszczenia, rozmaitych... — sekretarz zająknął się zupełnie beznadziejnie. A dyrektor milczał i badawcze spojrzenie wpił w jego oczy. Tak, jakby chciał pytać: *W jakim celu pan robił te notatki?*

Przykra cisza trwała dość długo. Wreszcie mister Fogg zrozumiał mowę oczu urzędnika policyjnego i zaczął się tłumaczyć pośpiesznie:

— Widzi pan, ja... ja piszę pamiętniki. Kiedyś, gdy opuściłem służbę, prasa i wydawcy zapłacą mi za nie dobrze. Mój poprzednik zrobił na tym pieniądze. Tak wszyscy teraz robią... A rozumie pan, że pamiętniki pierwszego sekretarza prezydenta Stanów Zjednoczonych są warte ładnej sumy... I dlatego mi tak zależy na pańskiej dyskrekcji... Powiem panu szczerą prawdę. Ja mogłem tutaj zupełnie nie przychodzić do pana. Tę drobnostkę, którą miałem w portfelu, przebolełem już łatwo. Myślałem początkowo, że ta piękna kobieta to zwykła awanturka. Gotówkę z portfela wyciągnie, a notes, jako niepotrzebny i bezużyteczny, wyrzuci. Tak, sir. Ale to nie była zwykła złodziejka... Na nocnym stoliku leżał ten oto złoty zegarek i spinki z brylantami. Leżała złota papierośnica wysadzana kamieniami. Nie ruszyła tych przedmiotów. Nie. Wzięła tylko portfel, gdzie spodziewała się znaleźć jakieś dokumenty i notatnik... Więc domyśliłem się, że o to chodziło tej damie. Przypomniałem sobie, że właściwie ona mnie zaczepiła w parku Toma Raya, a nie ja ją... Tak, dyrektorze... Sumienie nie pozwoliło mi tej sprawy zostawić otwartej. Dlatego przyszedłem tutaj do pana...

— I dobrze pan zrobił, mister Fogg. Zdemaskujemy tego szpiega w spódnicy. Niech pan tylko nie zapomni wpaść do mnie wieczorem. Good day, mister Fogg.

— Good day, mister Blossom.

\* \* \*

Kiedy się drzwi zamknęły za sekretarzem prezydenta Stanów, dyrektor policji wezwał jednego z agentów i rozkazał:

— Uda się pan natychmiast do hotelu *Halley* na Washington Square. Przyprowdzi mi pan tutaj portiera, który miał tej nocy dyżur. Czekam was za dziesięć minut. Za kwadrans najdalej...

Agent wyszedł, a w tym samym momencie zameldowano dyrektorowi przybycie detektywa Richardsona. Przybyły zaczął od razu:

— Sir, niedobre nowiny. Ten Otusawa ma sobowtóra...

— Tak? Ale gadaj pan za porządkiem.

— Dobrze... Wczoraj udaliśmy się razem z Dwarfem pod numer 135 przy Lexington Avenue. Zajęliśmy doskonałą pozycję po przeciwnej stronie ulicy. Około dziewiętnastej godziny wyszedł z obserwowanej kamienicy ten Japończyk i wsiadł do taksówki. Porównaliśmy go z fotografią i stwierdziliśmy ponad wszelką wątpliwość, że to on. Więc Dwarf wsiadł do auta i pojechał za nim, a ja zostałem. Któż opisze moje zdumienie, kiedy niecałą godzinę później wyszedł z tego samego domu drugi Otusawa...

— Podobny?... — rzucił szef.

— Panie dyrektorze, zupełny brat bliźni. Ten sobowtór także wziął taxi. Pojechałem oczywiście za nim. Wsiadł przy Pennsylvania Station i wziął bilet do Washingtonu. Ja znowu za nim. Przyjechawszy do Washingtonu udał się prosto do ambasady japońskiej... Wówczas poszedłem do kawiarni leżącej prawie naprzeciw tej ambasady. Patrząc, przy oknie siedzi Dwarf i przeciera oczy. Pytam się go, czy widział drugiego Otusawę. Powiada, że widział. Sądził, iż ten pierwszy wyszedł jakimś innym wejściem z ambasady i wracał właśnie. Kiedy mu powiedziałem, odkąd ja tego sobowtóra śledzę, nie chciał mi wierzyć. Tak świetnie jeden z tej pary był ucharakteryzowany... Teraz Dwarf został tam na czatach, a ja przyjechałem zaraz zameldować... To znaczy nie zaraz, bo całą noc czekaliśmy przed tym gmachem w Washingtonie, czekając, aż któryś z tych bliźniaków wyjdzie...

— I nic wyszedł żaden?

— Żaden, panie, dyrektorze..

— Hum... to niedobrze. To znaczy, że właściwy Otusawa poczuł was na karku i wysłał dwóch wspólników dla odwrócenia waszej uwagi, a sam pozostał tutaj na miejscu.

W tej chwili zameldowano przybycie miss Brown. Po chwili weszła, wspierając się na ramionach dwóch agentów. Twarz miała bardzo bladą i zmęczoną.

— Co się stało?... Niechże pani siada — rzekł dyrektor i ruchem ręki oddalił dwóch agentów. Pozostali tylko we troje.. Miss Brown zajęła miejsce przy pomocy Richardсона i odchyliła kołnierz wysoko zapiętej sukni. Na jej zgrabnej szyi ukazały się ślady palców zbrodniarza. Rzekła po prostu:

— Napadł na mnie.

— Pani się dnia złapać?!

Miss Brown podziękowała szefowi uśmiechem za tę wielką pochwałę zawartą w pytaniu. Odparła:

— Yes, sir. Śledziłam miss Teacher idącą razem ze sekretarzem, mister Foggiem. Jakiś drab uderzył mnie znienacka w głowę, wciągnął mnie w krzaki i zaczął dusić. Byłabym zginęła na pewno, gdyby nie siostrzeniec mister Raya. Zdaje mi się, że on także śledził miss Teacher i dlatego właśnie nadszedł tak szczęśliwie dla mnie.

— Sprawca schwytyany?

— Nie. Uciekł, ale został ranny. Rano znalazłam ślady krwi. Ten młody strzelał na oślep w zarośla... — Tu miss Brown opowiedziała szczegółowo przebieg całego zajścia. Kiedy kończyła, nadszedł właśnie wysłany do hotelu Halley agent i przyprowadził portiera. Dyrektor polecił go zaraz wprowadzić, a parze agentów kazał zostać i być przy przesłuchaniu.

Weszła mała, zgięta we dwoje kreatura, której blady strach patrzył z rozszerzonych od trwogi oczu. Dyrektor poznał od razu typ człowieka, z którego tylko groźbą można prawdę wydobyć. Więc nasrożył się majestatycznie i spytał:

— Wy mieliście służbę tej nocy?

— Tak jest, punie prezydencie.

— Jestem tylko dyrektorem. Teraz gadajcie prawdę. Czy mister Fogg wypełnił kartę meldunkową, zajmując pokój?

— Tak panie prrr... dyrektorze — zahamował i skręcił nocny portier.

— Jak podał stan? Kawaler, czy żonaty?

— Ka... wa... ler... — wyjąkał przesłuchiwany, domyślając się już, którądy podąży srogi szef policji.

— I kawaler przyprowadza sobie w nocy prostytutkę, a wy ją wpuszczacie bez niczego. Znać wy regulamin policyjny dla hoteli i pensjonatów?

— Znam, sir. Znam. Lecz przecież to był pierwszy sekretarz pana prezydenta, to jest chciałem powiedzieć dyrektora Stanów — przekręcił tytułaturę, trzęsąc się we febrze trwogi.

— Choćby sam prezydent, a nie jego sekretarz. Choćby prezydent, powiadam, to ustawa jest rzeczą świętą. Pan wie chyba, czym pachnie pańskie

przekroczenie?

Portier hotelu Halley nie miał najmniejszego pojęcia, czym to pachnąć może. Wyobraził sobie, że w każdym razie czymś strasznym. A dyrektor Blossom mówił dalej:

— Więc pan wie... to dobrze. Jedno pana może ocalić, jedno, powtarzam. Mianowicie szczerze wyznanie prawdy. Rozumie pan? Tak. Teraz proszę mi powiedzieć, kiedy towarzyszka mister Fogga wyszła z hotelu?

— Powiem, sir. Wszystko powiem. To była piąta, kiedy oni Wyszli.

— Oni?... Jacy oni?

— Ta dama, Japończyk i wysoki blondyn, który w nocy przyszedł...

— Jaki znów Japończyk?

— Ten co wczoraj rano wziął numer w naszym hotelu. Przyjechał prawie równocześnie z panem sekretarzem. Dałem mu więc zaraz następny pokój obok tamtego.

Dyrektor wziął na bok Richardsona i dał mu szeptem polecenia:

— Dam panu kartkę od siebie, uda się pan natychmiast do naszego archiwum politycznego. Oddział WL XIV. Przyniesie mi pan stamtąd fotografie wszystkich członków ambasady japońskiej w Washingtonie.

Potem podszedł do biurka i nakreślił na świstku słów kilka. Detektyw wyszedł bezzwłocznie spełnić polecenie zwierzchnika. Mister Blossom powrócił do indagacji portiera.

— Czy ten Japończyk był cały czas w hotelu?

— No, sir. Wyszedł zaraz na miasto, a wrócił koło pierwszej w nocy.

— Co dalej?

— Po czwartej już było, kiedy do portierni wpadł jakiś wysoki blondyn. Lewą dłoń miał obwiązaną chusteczką, silnie skrwawioną. Mówił, że miał wypadek automobilowy i musi właśnie w tej sprawie zaraz się widzieć z tym Japończykiem. Przedstawiłem mu, że śpi zapewne o tej porze, ale uparł się, że przynajmniej zatelefonuje do niego. Połączyłem go z pokojem tego gościa i odezwał się zaraz. Kazał temu blondynowi przyjść na górę, więc go musiałem puścić. Pół godziny później przyszedł Japończyk do mnie i uregulował swój rachunek. Kiedy mu zmieniałem studolarówkę, podniosłem głowę i wtedy przez okno portierni zauważyłem, że ten wysoki blondyn pospiesznie wychodził na ulicę. Z nim szła jakaś szczupła dama. Zachodziłem w głowę, kto to mógł być. Dopiero znacznie później uprzytomniłem sobie, że to była towarzyszka pana sekretarza. Szczerą prawdę mówię, sir. Proszę mi wierzyć.

— To się pokaże niebawem, Jak się nazywał ten Japończyk?

— Jakoś krótko. Zaraz. Nie, nie pamiętam. Mam zapisane w książce gości.

— Nie przypadkiem Otusawa? Hakari Otusawa?

— Nie, sir. Znacznie krócej.

— Aha. — Mister Bloosom pomyślał w tej chwili, że Otusawa musiał być bardzo przezorny, skoro za każdym razem zmieniał nazwisko. W tej chwili przyniósł mister Richardson ogromny album z fotografiami. Dyrektor otworzył go i skinął na portiera:

— Proszę mi wskazać, do którego z tych panów był podobny ten Japończyk. Tylko żadnych zmyślań, bo skutki mogą być dla was fatalne. Rozumiecie?

Przerażony człowieczek drżącą ręką uchwycił karłą jedną, drugą, trzecią i szeptał cichuteńko:

— Żaden z tych... żaden. Ani ten... ani ten...

— Proszę szukać dalej.

Nagle portier zakrzyknął radośnie:

— To ten. Na pewno ten, panie dyrektorze. Tylko inaczej był ubrany i miał czarny wąsik. Ale twarz ta sama...

Dyrektor zamknął album i zaniósł go przed siedzącą w fotelu Miss Brown.

— Niech mi pani wyszuka tego Otusawę.

Detektywka po krótkiej chwili wskazała tę samą fotografię. Wówczas mister Bloosom uśmiechnął się zadowolony i wyciągnął wskazaną odbitkę. Na drugiej stronie odbitki widniał wypisany drobnym maczkiem krótki życiorys urzędnika ambasady, który nazywał się czasami także Hakari Otusawa. Potem dyrektor kazał wyjść portierowi do drugiego pokoju i poczekać u dyżurnego inspektora. Sam wydał rozkazy:

— Pani, Miss Brown, weźmie auto i kilku ludzi. Pojedzie pani zaraz na Lexington Avenue i przywiezie mi pani tę Mary Teacher oraz jej służbę. W jej mieszkaniu zostawić dwóch agentów, może wpadnie nam w ręce jeszcze jakiś ptaszek. Proszę się załatwić po cichu, bez żadnego zbiegowiska. Mister Richardson, pan uda się do hotelu Halley i zbada pan oba pokoje. Ponieważ sąsiadowały ze sobą, więc jest bardzo prawdopodobne, że Japończyk złożył poprzednio wizytę w mieszkaniu sekretarza i przetrząsnął mu rzeczy. Myślę, że znajdzie pan tam jakieś ślady. Czekam was tu niebawem.

Kiedy wyszli oboje, dyrektor snuł w myśli przypuszczalny przebieg wypadków. Rozumował w ten sposób: Ten blondyn zraniony kulą w parku Toma Raya pobiegł czym prędzej do hotelu, by ostrzec parę kolegów, że detektywka im włązi na pięty i że nie udało mu się jej zamordować. Czym prędzej zapukali do sąsiedniego pokoju i wywabili tę Mary Teacher. No, teraz ich mamy pod kluczem.

Drrriń... Drrriń... zadzwijał gwałtownie telefon. Mister Bloosom z nalezną flegmą wziął słuchawkę do ręki, lecz twarz mu spochmurniała:

— Kiedy, mister Ray? — wołał do mikrofonu. — Jak to w samo południe? Przy Piątej Alei? Dobrze. Bądź pan spokojny. Zaraz tam jadę. — Powiesił słuchawkę i zadzwonił na dyżurnego. Zawołał do wchodzącego: — Inspektor Pomiferous przyszedł?

— Yes, sir. Przed kwadranssem przyszedł.

— Niech czeka w aucie. Zaraz schodzę.

Drrriń... Drrriń...|Drrriń — odezwał się znów dzwonek telefonu. Dyrektor chwycił znowu słuchawkę:

— Aha, Miss Brown... Co? Wyjechała?... O szóstej rano?... Ha, zwietrzyły ptaszki potrzask. Dobrze, niech pani przetrząśnie... Co?... Hallo... Tak. Proszę całą służbę tu przywieźć. Już nie mam czasu.

Zawiesił słuchawkę i szybko wyszedł z gabinetu.

## II

Rzeki ludzkie płynęły wartko.

Time is money. Czas to więcej niż pieniądz. Utracony majątek odzyskać można przez szczęśliwą spekulację. Stracony czas nie wróci się nigdy. Więc spieszyły tłumy wytrwale, uparcie, by nie uronić ani ułamka sekundy najcenniejszego dobra – czasu. Tak! Time is more than money.

A nagle w te rzeki śpieszących, wpadły zgraje chłopaków kolporterów. Sprytnie urwisy wskakiwały na stopnic pędzących aut, przebiegali piętra omnibusów, nurkowali w tłoku pieszych, wypływali kawałek dalej, drąc się niemiłosiernie. Każdy z nich inaczej wykrzykiwał tytuł dzisiejszej sensacji:

— Zuchwały napad na Madison Square — wołali mniej przedsiębiorczy.

— Porwanie siostrzeńca miliardera — przerażali burżujów inni.

— Śmiałe porwanie w biały dzień w centrum City — przelicytowywali jeszcze inni.

Wartkie rzeki utworzyły tu i ówdzie wiry w miejscu się kręcące. Tak jak potok górski, kiedy napotka kamień, którego porwać ze sobą nie może. Pokręci się woda dokoła głazu, pokręci, zawiruje i płynie dalej, dalszym nurtem żmudną pracę zostawiając. Ten i ów filister pomacał ręką portfel, a uspokojony, że go znalazł na swoim miejscu, kupował gazetę dla ciekawości, co też się innemu bliźniemu przytrafiło. Jeden i drugi chwycił kilka dzienników i pędził dalej, zajmującą lekturę na noc sobie odkładając...

Ale większość zdumiewała się głośno. Jak to? Znowu napady? Na Madison Square, w sercu metropolii? Czyżby miała to być zapowiedź recydywy strasznych lat 1920-1932?

Bo straszne to były czasy. Nikt nie był pewien życia. Żadna ładniejsza panna, żadna świeższa męczatka nie wiedziała, czy za chwilę nie znajdzie się w rękach handlarzy żywym towarem. Dziesiątki prywatnych detektywów i bokserów pilnowało dniem i nocą na zmianę dzieci miliardarów przed uprowadzeniem, którego celem było wymuszenie olbrzymich okupów od stroskanych a bogatych



rodziców. Szantażowano kupców, wysokich urzędników, wybitnych artystów, gwiazdy filmowe. Szantażowano każdego, z kogo można było wydusić choćby parę tysięcy dolarów. Któż zliczył te morderstwa, rabunki, kradzieże czy gwałty popełnione w ciągu owych lat dwunastu? Nikt. Chyba statystyka kryminalna, ale ta milczała, zawstydzona potwornością liczb. Źle się dziać zaczynało w Zjednoczonych Stanach Północnej Ameryki.

Wtedy wydano sławne Rodney-law, od imienia wnioskodawcy tak na pamiątkę nazwane. Ustawa ta zaprowadzała stan wyjątkowy *sui generis*. Morderstwo, rabunek, porwanie, wymuszenie, handel żywym towarem i kradzież gotówki lub przedmiotu o wartości ponad tysiąc dolarów karano śmiercią. Kradzieże drobniejsze i inne występki „nagradzano” więzieniem na wyspie *Powolnej Śmierci*. (Była to karna kolonia na skalistej wysepce wśród Oceanu Spokojnego. Nazwę swą otrzymała od skazańców i otrzymała ją słusznie, gdyż żółta febra nawiedzała ją nader często.)

Ustawa zrobiła swoje. Pierwszego roku po jej wydaniu musiano zwiększyć ilość krzeseł elektrycznych z powodu wielkiej frekwencji kandydatów do podróży na tamten świat. Ale atmosfera przeczyściła się gruntownie. Pięć lat później znano te zbrodnie tylko z powieści lub starych filmów.

Aż dzisiaj...

Dzisiaj w New Yorku popełniono w biały dzień zbrodnię śmiałą niesłychanie. Więc różne magazyny, journals, newspapers, więc siaka taka *Daily Mail*, *Daily News*, *Daily Chronicle*, więc rozmaite *Timesy* czy *Expressy* były setki tysięcy egzemplarzy, których wciąż brakowało. Maszyny rotacyjne nie ustawały w pracy intensywnej... a publika kupowała.

\* \* \*

W omnibusie dążącym w stronę mostu Brooklyńskiego kręciła się właśnie para kolporterów konkurencyjnych dzienników. Jadący pasażerowie nabywali gazety od obydwóch chłopców, aby sobie lepszy obraz zdarzenia wyrobić. Również pewien blondyn, siedzący na ostatniej ławeczce odkrytego piętra autobusu, zakupił oba pisma, pomimo że z kieszeni zarzutki sterczała mu już pokaźna paczka innych gazet. Był to młody, szczupły mężczyzna. Bez pośpiechu rozłożył jeden z kupionych właśnie dzienników i odszukawszy opis zajścia sensacyjnego zaczął czytać:

*Dzisiaj, dnia 30 kwietnia, około godziny trzynastej zajęły przed marmurowe schody West Banku dwa auta. Z przodu stanęła duża, czarna limuzyna, której okna przysłaniały opuszczone firanki. Wsiadło z tej limuzyny kilku młodych*

ludzi, którzy podeszli do pełniącego tamże służbę policjanta nr 79.642 i legitymując się jako operatorzy przedsiębiorstwa Apollo-Film, zapowiedzieli, że zamierzają robić zdjęcia. Przedmiotem zdejmowanej sceny miało być porwanie aktora gnijącego syna bankiera. Policeman, widząc ich legitymacje i umieszczony w drugim aucie aparat kinofotograficzny, tak zwaną kamerę kinową, przystał bez wahania i usuwał tłumy gapiących się wyrostków. Potem reżyser poumieszczał aktorów na schodach West Banku, nastawił osobiście aparat, dał instrukcje operatorom. Grające osoby wchodziły i wychodziły z bocznej bramy budynku bankowego.

*Po chwili reżyser krzyknął: Baczność! Zaczynamy...*

*Właśnie w tym momencie pojawił się na schodach jakiś dwudziestoletni młodzieniec, rozmawiający z tym samym aktorem, który pierwszy podszedł do policmana. Spokojnie zstąpili po kilku stopniach, kiedy cała garść napastników rzuciła się na owego młodzieńca i wtoczyła go gwałtem do czekającej limuzyny. Napadnięty bronił się rozpaczliwie i krzyczał. Tłumy gapiów, sądząc, że obserwują grę dobrych aktorów, oklaskiwały gorąco to zajście.*

*A policeman nr 79.642 uśmiechał się przyjaźnie i ukłonem poważnym odpowiadał na pożegnalne pozdrowienia odjeżdżających. Oba auta szybko zniknęły wśród rzek samochodowych Piątej Alei.*

*Dopiero dobrą godzinę później wyjaśniła się ta pomyłka. Okazało się, że porwanym nie był żaden aktor, lecz młody Polak, niejaki Władisław Białoszynski, false White, siostrzeniec znanego w kołach tutejszej finansjery Toma Raya, właściciela West Banku i wielu przedsiębiorstw przemysłowych.*

*Dobroduszny i poczciwy policeman nr 79.742 miał na tyle sprytu, że zanotował sobie numery obu aut. Jak stwierdzono, numery te są fikcyjne. Również towarzystwo Apollo-Film nie wysyłało żadnych operatorów do New Yorku. Sprawa więc przedstawia się dość tajemniczo. Dyrekcja policji zapewniła nas, że jest już na tropie zbrodniarzy i niebawem znajdą się pod kluczem, a potem i dalej. (Mamy na myśli Rodney-law i krzesło elektryczne.) Cieszylibyśmy się, gdyby to oświadczenie policji nie okazało się tylko przechwałką, gdyż wszystko wskazuje na to, że przestępcy doskonale obmyślili wszelkie szczegóły śmiałego napadu.*

*Ze swej strony donosimy garść zebranych wiadomości. Naszemu współpracownikowi, Mr. R. udało się przeprowadzić wywiad z wujem porwanego oraz jego kolegami biurowymi. Jeden z nich Mr. Andrew Lightless oświadczył, co następuje: Właśnie zamierzaliśmy wyjść na lunch, kiedy do Mr. White'a (obecne nazwisko ofiary... przyp. red.) przyszedł jakiś człowiek i zaczął z nim rozmawiać przy ladzie. Stałem tuż obok, tak że kilka słów doszło mimowolnie mych uszu. Przybyły mówił coś o jakiejś kobiecie, która miała czekać w aucie przed bankiem. Zdaje mi się, że nazwisko tej damy miało się kończyć na ...cher. Mr. White pochwycił zaraz kapelusz i śpiesznie wybiegł. Od tej chwili nie widziałem go*

więcej...

*Tyle nasz informator. Jego opowiadanie dowodzi niezbicie, że przestępcy posłużyli się nazwiskiem jakiejś bardzo dobrej znajomej porwanego. Tym tylko można wytłumaczyć, że Mr. White tak skwapliwie pobiegł na spotkanie owej rzekomej kobiety i wpadł w dobrze obmyśloną zasadzkę. Rzeczą policji jest ustalić nazwisko tej damy, a także ustalić, czy nie odegrała ona jakiej roli w tym romantycznym porwaniu.*

Czytający blondyn uśmiechnął się w tym miejscu i rzucił okiem po gmachach mijanej wiośnie ulicy. Mruknął do siebie półgłosem:

— O! to już minąłem Brooklyn Bridge? Nawet nie zauważyłem, kiedy przejechaliśmy most. No, proszę — dziwił się. Schował gazetę do kieszeni zarzutki i syknął boleśnie. Troskliwie oglądnął sobie zabandażowaną dłoń, w którą się właśnie uraził.

Na najbliższym przystanku wysiadł. Dalej szedł pieszo. Minął kilka starszych ulic, idąc bez większego pośpiechu. Na każdym rogu przystawał i dyskretnie się za siebie oglądał. Potem spokojniejszy znacznie, ruszył szybciej przed siebie. W pewnej chwili wszedł do jakiejś bramy i tam przeczekał dobro dziesięć minut. To była ostatnia próba... ostatni gest przezorności.

Przekonawszy się, że nikt absolutnie nie przystanął, że nikt go nie śledzi, minął długą sień przechodnią i znalazł się w jakiejś spokojniejszej ulicy will i pałacyków, jakich bardzo wiele wybudowano na Long Island w latach ostatnich. Przechodniów kręciło się tu bardzo niewiele.

Ostrożny blondyn ze skaleczoną dłonią otworzył kluczem sztachetową bramkę jednego z ogrodów i zamknąwszy ją troskliwie za sobą, zbliżył się aż do szklanej werandy pałacyku. Zadzwoił do bramy w sposób umówiony. Zaszleściło coś za bramą, lecz podwoje się nie otwarły. Tylko jakiś niewidoczny lufcik szczęknął lekko. Snadź odźwierny przyglądał się przybyszowi. Snadź czekał na hasło, bo niespodzianie blondyn zagwizdał kawałek z arii *Madame Butterfly* od słów: *Is 't love or fancy, I cannot tell you.*

Hasło było dobre widocznie, bo jęknął wielki rygiel i wartownik gościnnie otworzył drzwi wtajemniczonemu.

Ujrzał na chwilę światło dzienne wylot długiego, ciemnego korytarza.

### III

Elegancko umeblowany, okrągły pokój zalewały duże lampy elektryczne potokiem białego światła. Dokoła podłużnego stołu siedziało dziewięciu mężczyzn i jedna młoda kobieta. W fotelu prezydialnym zagłębił się mały Japończyk

czytający właśnie dzienniki. Towarzysze rozmawiali tylko szeptem, czekając, aż przywódca ukończy lekturę. I skończył ją niebawem. Wolno, z naciskiem powiedział:

— Wszystko w porządku. Policja dosłownie zgłupiała po naszym dzisiejszym występie. Który z was wchodził do banku i który rozmawiał z tym głupim policjantem?

— Ja i Will — odparł młody szatyn, wskazując na obok siedzącego, ponurego jak noc Willa.

— Dobrze. Zatem, Sam i Will, musicie zmienić trochę „klimat”, by nie leźć teraz szpiclom w oczy. Dzisiaj jeszcze odjedziecie na Zachód. Słuchaj no, mechanik, ptak gotów?

Zapytany w ten sposób mężczyzna, typ wulgarny o kanciastych rysach twarzy odparł z uśmiechem:

— Tak, dowódco. Gotowa ptaszyna, tylko jeszcze trochę przegazuję helikopter. Trochę zanadto naoliwiłem.

— Zrób to zaraz. Wy dwaj idźcie się też przygotować do podróży.

Trójka posłusznie wyniosła się ze sali. Przywódca znowu głos zabrał:

— Teraz do was zwracam się, moje sobowtóry.

Dwaj Japończycy wyszczerzyli swe żółte, zepsute zęby w uśmiechu.

— Czy ten szpicel jeszcze wciąż sterczy przed naszą ambasadą w Washingtonie?

— Tak, Hakari. On ma prawdziwie angielską zimną krew i cierpliwość.

— To dobrze. Jeden z was, powiedzmy ty, Yamashiwa, wrócisz zaraz do Washingtonu. Będiesz tam grał moją rolę. Musisz chodzić do biura. Regularnie musisz sypiać w moim mieszkaniu itd. Zresztą zgłoś się w ambasadzie do drugiego sekretarza, on ci da dokładne instrukcje. Trzeba koniecznie utrzymać tego głupca w przekonaniu, że ja rzeczywiście tam siedzę. Ty zaś, Omi, zostaniesz do mojej dyspozycji. Na razie, weź tych ludzi i zajmij się zdjęciem pokrowców z aut. Limuzynę trzeba przemaalować. No, idźcie już. My tu mamy jeszcze do pogadania.

Po chwili w sali pozostały tylko trzy osoby. Prezydujący Japończyk, kobieta i wysoki blondyn, który przyniósł gazety z miasta. On też przemówił pierwszy, skoro się drzwi za wychodzącymi zamknęły:

— Teraz możemy pogadać swobodnie. Otóż, Otusawa, zechciej przyjąć do wiadomości, że wcale nie jest tak dobrze, jak mówiłeś. Szpicle węszą wszędzie. Widziałem na własne oczy, jak pod mieszkanie Mary zajęchało auto policyjne. Całą jej służbę zabrali ze sobą. Ta mała Yae darła się wniebogłosy.

— Więc są już na moim tropie? — zapytała strwożonym głosem milcząca dotychczas Miss Teacher.

Japończyk zachnął się niecierpliwie:

— Możesz gwizdać na nich, moja Mary. Dużo ci zrobią! Jutro będziesz w

*Kotlinie Milczenia.*

Blondyn ciągnął dalej:

— Widziałem też sekretarza prezydenta. Jechał autem z jakimś szpiclem. Znam skądś fizjognomię tego agenta, więc uderzyło mnie to od razu. Cóż Hakari, zaczyna nam być ciepło. Co?

Japończyk skrzywił się niemiłosiernie. Suchym tonem rzucił:

— Dziwię ci się bardzo, Eryku. Chyba mówisz to w tym celu, by nastraszyć naszą naiwną Mary. Nie trudź się w takim razie. Ona już jest dość przerażona. Dla mnie jest zupełnie zrozumiałą rzeczą, że dowiedzieli się jej nazwiska. Will czy ten drugi głupiec za głośno mówił do tego Polaka o czekającej przed bankiem kobiecie. Najlepszym tego dowodom jest notatka w dziennikach. Nawet część jej nazwiska spamiętał jakiś tam bank-clerc. Policja zaczęła badania od szoferów starego miliardera, którzy nieraz wozili tego smarkacza do mieszkania Mary. Tak, Ri, to wina tylko twej nieostrożności. Zanadto się afiszowałaś z tym chłopcem... Ostatecznie nic się nie stało. Znają tylko jej nazwisko, jako miss Teacher. Na szczęście nie brak innych nazwisk na świecie. Wystawimy jej inny paszport... Byłoby gorzej, gdyby mieli jej fotografię, ale na szczęście nie mają żadnej...

— O ile nie pozostała jaka w mieszkaniu przy Lexington Avenue... — wtrącił sceptycznie usposobiony Eryk.

— Nie, Eryku. Dlatego byłem sam obecny przy ewakuacji jej gniazdka, aby nie pozostawiła ani świstka, który mógłby kogoś z nas skompromitować. Tam agenci znaleźli tylko meble, a te niewiele im powiedzą. Mary popełniła tę nieostrożność, że darowała trzy fotografie temu Polakowi. To był jeden z powodów, dla których musieliśmy go dzisiaj tak romantycznie porwać. I znów mamy szczęście w nieszczęściu, bo zakochany po uszy chłopak nosił wszystkie trzy odbitki w portfelu, na sercu, che, che, che!... Bezpodstawne są twoje obawy, Eryku. Przeciwnie, my jesteśmy górą przez zdobycie tego notesu. Po pierwsze wiemy dokładnie, jak ta ustawa ma wyglądać, po drugie wiemy, że prezydent ma na niej położyć swój podpis piątego maja w południe. Cztery pełne dni to dosyć czasu na podróż do Tokio i z powrotem...

— Ja polecę czy kto inny?...

— Prawdopodobnie ty z kimś jeszcze. To rozstrzygnie ambasador osobiście. Masz się u niego zgłosić dzisiaj o godzinie dwudziestej trzeciej. Przyjmie cię pierwszy sekretarz. Miałem już telefonogram szyfrowany. Wszystko będzie gotowe, polecisz naszym hydroplanem o północy na zachód...

— Hm... Czy tylko zdążę pokryć tę przestrzeń?...

— Musisz pokryć. Do brzegu Oceanu Spokojnego będzie około pięć tysięcy sześćset kilometrów. Stamtąd do Tokio jakieś jedenaście tysięcy dwieście. Powiedzmy okrągło siedemnaście tysięcy kilometrów. Masz więc trzydzieści cztery do trzydziestu sześciu godzin lotu...

— Phi... Czy on jednak robi pięćset kilometrów na godzinę?

— Z pewnością. Kto wie, czy nie więcej. Oba nowe hydroplany naszej ambasady są ostatnim wyrazem naszej techniki. Sam się przekonasz...

— Żeby tylko diabli nie nadali jakiego defektu motoru w drodze...

— Nie obawiam się tego. Mają zawsze rezerwę w pogotowiu. Nie jeden motor – to drugi. Nie drugi – to trzeci...

— Więc dobrze. Pójdę się przygotować do drogi. No, do widzenia, Mary. Nie zobaczymy się kilka ładnych dni.

Już w drzwiach stojąc, zapytał jeszcze:

— Aha, byłbym zapomniał. Co zrobisz z jeńcem, Hakari?...

Japończyk udał, że się zastanawia, a spod oka obserwował bacznie kobietę. Ale Mary odczuła ten wzrok badawczy i przybrała na twarz maskę doskonałej obojętności. Więc Otusawa rzekł wolno:

— Nie wiem na razie. Może pojedzie do Kotliny Milczenia, a może na dno zatoki, z kamieniem u szyi. Namyślę się jeszcze...

— Wiesz co, lepiej go trzymaj żywego. Można będzie za niego ładne parę dolarów wydostać od starego Raya. Przyda się zawsze. Skorośmy się już odważyli na porwanie, to można też małe wymuszenie zaryzykować. Ale idę już...

Po wyjściu Eryka zapanowała chwila milczenia. Miss Teacher czuła instynktownie, że los chłopca zależy od jej zachowania, więc starała się opanować swe nerwy i grę twarzy. Rzeczywiście Japończyk zapytał niby od niechcenia:

— Jak radzisz. Ri, co zrobić z tym chłopakiem?

Miss Teacher wzgardliwie wzruszyła ramionami. Odburknęła niechętnie:

— Zrób co chcesz, bylebyś go nie zabijał. Nie chciałabym mieć niczyjego życia na sumieniu. Tego jednego się lękam, jak zresztą wiesz dobrze. Do każdej innej rzeczy chętnie rękę przyłożę, byle nie do morderstwa. Można by go tu pozostawić, tylko z drugiej strony ta detektywka go wyśledzi. Skoro za mną łąziła krok w krok wczorajszej nocy, to zapewne wpadnie na ślady wiodące tu, do Brooklynu. Zresztą, rób jak chcesz...

Japończyk wystawił ją na jeszcze jedną próbę, mówiąc:

— Najlepiej będzie, jeżeli go oddam pod twą opiekę i wyślę razem z wami do Kotliny Milczenia. Prawda, Ri?

— Jest mi to zupełnie obojętne. Może i tak być... — odparła tym samym tonem, co przedtem.

Otusawa był zanadto podejrzliwy, by uwierzył w szczerą odgrywaną komedii. Pożegnał się z Mary, polecając jej się przygotować do podróży. Kiedy wyszła, wezwał dzwonkiem służącego.

W drzwiach zjawił się cicho jak duch służący Chińczyk. Japończyk wydał polecenie:

— Przeprowadzisz mi tu zaraz Willa, Czeka! Nie odchodź jeszcze!

Chciałem ci coś powiedzieć oprócz tego. Słuchaj, Czang, Yae dzisiaj wezwano na policję. Musisz się o nią dowiedzieć, za parę dni w waszej dzielnicy. Skoro ją przesłuchają i wypuszczą, z pewnością uda się zaraz do zajazdu kobiet chińskich. Przyrowadzisz mi tutaj siostrę. Będę miał dla niej dobre miejsce. Tylko musisz ją przyrowadzić z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Bardzo prawdopodobne, że szpicle wypuszczą Yae po to, by iść jej tropem i by ich naprowadziła na nasz ślad. Rozumiesz?...

— Bądź spokojny, panie. Czang to zrobi dobrze.

Chytrze błysły białka przebiegłych oczu sługi. Otusawa uśmiechnął się mimowolnie i rzucił:

— Wierzę, że potrafisz. A teraz sprowadź Willa.

Parę minut później otworzyły się drzwi i stanął w nich ponury pomocnik Japończyka. W milczeniu czekał na rozkaz.

— Will, mam dla ciebie misję... poufną, że tak powiem. Podejdz no bliżej, chłopcze!... Siadaj tu i słuchaj uważnie!...

Przybyły spełnił rozkaz i zwrócił swe pochmurne oczy na dowódcę, który mówił dalej:

— Będiesz komendantem w Kotlinie Milczenia. Oprócz Sama i miss Mary pojedzie tam także nasz dzisiejszy jeniec. Pozostawisz chłopcu zupełny swobodę ruchów. Stamtąd nikt i tak nie ucieknie, chyba ptak. Ale nie spuścisz go z oka. Chodzi mi, uważasz, o jego stosunek do... miss Mary. Musisz być ich duchem opiekuńczym. Cały dzień będziesz za nimi łąził krok w krok. Niewidoczny dla ich oczu. Mogą sobie ze sobą gadać grrru...chać nawet, ale do żadnych czulszych zbliżeń nie dopuścisz. Zrozumiałeś?...

— Zrozumiałem — odparł krótko zapytany.

— To dobrze. W sypialni miss Mary niech sypia stara Utah... albo w sąsiednim pokoju, lecz drzwi muszą być całą noc otwarte. Chłopca trzeba na noc zamykać albo dobrze pilnować. Sadzę, żeś pojął, co mam na myśli?

— Pojąłem...

— To doskonale. W dzień śledzić ich będzie łatwo. Kotlina Milczenia doskonale się do tego nadaje. Wymarzony teren. Skoro przyjadę, zdasz mi dokładnie relację, jak się ta para zachowała. No, możesz już odejść i spraw się dobrze.

Kiedy mrukliwy Will wysunął się z pokoju, Otusawa pogrążył się w rozmyślaniach. Sam przed sobą musiał przyznać, że jednak położenie zaczynało się stawać z każdym dniem trudniejsze. Chcąc uspokoić Mary, wmawiał w nią, że kobieta, która ją śledziła w ogrodzie Raya, była zapewne tylko jakąś rywalką. Że powodowana zazdrością o sekretarza Fogga, szła za nią krok w krok, aż wpadła w ręce Eryka. Ale nawet Mary w tę bajeczkę wierzyć nie chciała.

— Tak, nie ulegało wątpliwości, że to była detektywka i szczywana agentka

do tego. Przypuszczenie to potwierdzało w zupełności opowiadanie Eryka. Gdyby miał do czynienia ze zwykłą śmiertelniczką, to nie potrzebowałby staczać z nią tak zaciętej walki. Napadnięta znienacka kobieta, ogłuszona uderzeniem w głowę, byłaby zemdląca od samego strachu. Tymczasem tamta broniła się wspaniale i z największym trudem zdołał jej się Eryk dostać do gardła. Również ten niespodziewany pomocnik, który ranił go z rewolweru, musiał być szpiclem. Przecież zwykły człowiek, idąc jako gość na przyjęcie, nie zabiera ze sobą rewolweru i trzydziestu naboju. A tyle podobno strzałów padło spoza pylonu. Eryk nie lubiał przesadzać. Można mu było wierzyć na słowo.

Więc policja była na tropie Mary. A jeżeli tak, to zapewne śledziła już także innych członków paczki. Kiedy wczoraj zorientował się, że przed domem Mary przy Lexington Avenue stoi dwóch szpicli, nie przejął się tym zupełnie. Był przyzwyczajony, że oddział polityczny policji posyła swe „opiekuńcze duchy” za każdym członkiem japońskiej ambasady. I dlatego zainscenizował żart ze swymi sobowtórami. Chciał agentom dać dobrą nauczkę. Lecz teraz zrozumiał, że celem tych detektywów nie była zwykła inwigilacja, ale coś więcej.

— Muszę się mieć na baczności — zakonkludował wreszcie.

Zdecydowanym ruchem dłoni nacisnął taster dzwonka. Chińczyk zjawił się natychmiast. Otusawa polecił przywołać Japończyka Omi. Wezwany przyszedł za chwilę. Pytając spojrzął na swego zwierzchnika, a widząc, że trwa w zamyśleniu, przypomniał swą obecność:

— Co nowego Hakari?

Otusawa wolno podniósł nań oczy i rzekł:

— Nad ranem wyjedziemy do Cleveland. Będzie tam robota. Przygotuj się na dłuższy wyjazd. Rozumiesz, Omi?...



## ROZDZIAŁ VII

### Ultimatum i wojna

#### I

— To nasz hydroplan — rzek pierwszy porucznik krążownika *Hiroszima*, odejmując lunetę od oka.

— Czegóż jednak nie daje żadnych sygnałów? — dziwił się kapitan okrętu.

Porucznik przyznał mu rację:

— Rzeczywiście... — powiedział. — Mają przecież z pewnością radiotelegraf na pokładzie. To wielki samolot...

Oficer zasalutował i spieszonym krokiem zbieg na niższe pokłady.

Po chwili duża łódź motorowa pruła wodę z szybkością strzały, skacząc zwinnie poprzez rzadkie, lecz wysokie, fale Oceanu Spokojnego. Stojący na przedzie łodzi porucznik nie odejmował lornety od oczu. Ilekroć pędzący stateczek osiągał szczyt zwału wodnego, widać było kołyszący się ciężko i bezwładnie samolot. Potem znów zasłoniła go góra wody i znów się wynurzał.

Teraz spostrzegł wreszcie oficer ludzi dających rozpaczliwe znaki. Motorówka większej chyżości wydobyć z siebie nie mogła. Zresztą odległość między nią a rozbitkami malała z każdą sekundą.

W reszcie nastąpiło spotkanie. Krótka wymianę słów. Potem łódź zawróciła gwałtownie w stronę krążownika, uwożąc ze sobą tylko jednego pasażera pływającego hydroplanu. Jednego pasażera i jego małą walizkę.

Zabrany ze samolotu mężczyzna niepokoił się strasznie. Wykrzykiwał nerwowo w stronę porucznika i majtka siedzącego przy kole steru:

— Prędej!! prędej, panowie!! Od szybkości waszej zależy życie milionów ludzi. Dalej całym gazem!...

Oficer zdołał go nieco uspokoić. Tłumaczył mu, że cały czas pędzą całym gazem. Wówczas niecierpliwy przybysz zapytał nagle:

— Gdzie znajdujemy się w tej chwili?

Porucznik wyjął z kieszeni mapkę i oznaczył miejsce. Odpowiedział:

— Tu mniej więcej znajdujemy się teraz. O jakieś sto kilometrów na południowy zachód od Sandwichów.

Rozbitek zaczął kłąć:

— Sto diabłów! Aż tu nas zagnała ta burza wczorajsza. Niech mi pan łaskawie obliczy, ile stąd będzie kilometrów do San Francisco... — powiedział, a widząc, że oficer zabiera się do tych obliczeń z całą skrupulatnością, zawołał niecierpliwie:

— Ależ nie trzeba mi liczb tak dokładnych. Dla samolotu to nic nie znaczy. Tak okrążyło ile będzie?...

— Tak okrążyło biorąc, będzie stąd jakie cztery tysiące siedemset kilometrów, ale zaznaczam, że nie są to wymiary bynajmniej ściśle...

— Ładna historia! Z Francisco do Washingtonu jest około pięć tysięcy sto. Razem dziewięć tysięcy osiemset kilometrów. Niech to diabli!!

— Jeżeli panu chodzi o podróż aeroplanem, to po co lecieć przez San Francisco. Znacznie bliżej będzie na przełaj wzdłuż linii powietrznej. Zaoszczędzi pan na tym jakie pięćset do sześciuset kilometrów, a to coś znaczy.

— Racja... — ucieszył się blondyn i liczył dalej w myśli: — Teraz mamy godzinę szesnastą. Jutro o jedenastej muszę stanąć w ambasadzie. Mam dziewiętnaście godzin na przebycie dziewięciu tysięcy dwustu kilometrów. Ha! jeżeli pojedę stale po pięćset kilometrów na godzinę, to zdążę. A już straciłem wszelką nadzieję...

Tymczasem motorówka podjechała pod opuszczone schodki krążownika. Niespokojny i nerwowy pasażer pobiegł czym prędzej w stronę idącego naprzeciw kapitana statku. Zaczęła się gorączkowa rozmowa.

Lecz dobre pół godziny upłynęło, zanim przybysz zdołał przekonać nieufnego morskiego wilka, że tenże musi mu dać natychmiast do dyspozycji najszybszy samolot z okrętu. Musiał przedłożyć wszystkie dokumenty i legitymacje podejrzliwemu kapitanowi. Opowiedział mu w krótkich słowach przebieg katastrofy. Oto skutkiem niewytłumaczonego defektu motoru musieli się opuścić na morze właśnie w momencie, kiedy szalejąca w dole burza przemijała. Jakiś zbłąkany piorun uszkodził kompletnie stację aparatu iskrowego, zabił kuriera dyplomatycznego i poparzył ciężko mechaników. Od tej chwili byli zdani na łaskę fal, które na szczęście stawały się coraz łagodniejsze, ale mimo to urządziły załodze całonocną kąpiel. Tylko wypełnionym gazem, ulepszonym do doskonałości pływakom samolotu, zawdzięczają rozbitkowie swe życie. On, Eryk Thiel, towarzyszył kurierowi w podróży i po jego tragicznej śmierci odziedziczył misję przewiezienia tych dokumentów.

Kapitan *Hiroszimy* polecił przygotować hydroplan, ale prędzej nie wypuścił zdenerwowanego przybysza, dopóki jego słów w całości nie potwierdził komendant hydroplanu ambasady. Na szczęście w tym czasie krążownik zbliżył się

na tyle do bezwładnego latawca, że sprowadzenie jego załogi na pokład pancernika było tylko kwestią minut. Omal przy tym nie przyszło do scysji, gdyż Eryk Thiel powiedział w bardzo kategoriycznym tonie, że w razie spóźnienia odpowiedzialność spadnie wyłącznie na biurokratycznie ostrożnego komendanta *Hiroszimy*. Ale flegmatycznego Japończyka nie zdołało to oświadczenie wyprowadzić z równowagi. Eryk mógł sobie powinszować, że w tak krótkim czasie zdołał u starego wilka morskiego przełamać jego wrodzoną awersję do Białych. I tak dokazał prawdziwego cudu.

O godzinie dziesiątej minut pięćdziesiąt odleciał nareszcie mały wojskowy samolot, unosząc na swym pokładzie kilka osób załogi i Eryka. Odleciał na wschód, ku brzegom Ameryki Północnej.

Niespokojny pasażer obserwował bacznie drgającą igiełkę tachometru.

Wahała się między 285 a 300 kilometrów na godzinę. Przynaglany do szybszego lotu pilot nachylił się aż do ucha Eryka i wrzasnął z całej siły, aby zagłuszyć huk motoru:

— To jest nasze maksimum... Tym aparatem więcej nie wydobędę.

— Ależ, do pioruna, ja mam tylko siedemnaście godzin czasu, a lecąc w tym tempie potrzebuję prawie dwa razy tyle... Za późno!... Za późno!... O, gdyby tak spotkać lepszy samolot!... — rozpacział Eryk.

Lecz na próżno wyteżał oczy we wszystkich kierunkach. Na próżno szukał na szafirowym niebie upragnionego punkciku. Słońce ułożyło się do snu pod miękkim, ruchliwym fal całunem, a na widnokręgu nie pojawił się żaden latawiec.

Wtedy zawiedziony pasażer zaczął kłać brzydko, dosadnie.

## II

Czerwone blaski zachodzącego słońca położyły się smugą szeroką na antycznym biurku pracowni. Zalały jasnym światłem całą przestrzeń płyty biurka, rozszczepiły się na ostrych kantach kryształowych kałamarzy i rzuciły snop krasych, tęczyowych promieni na białe arkusze papieru. Zaróżowiły blado, rasowe dłonie starszego, poważnego pana. Wąskie dłonie zaciśnięte na akcje złowrogim.

Ciężka, głęboka cisza panowała w rozległej komnacie. Nie śmiał jej przerwać stojący blisko drzwi mężczyzna lat trzydziestu i kilku. W pełnej szacunku pozycji stał nieruchomo, czekając na pierwsze słowa swego dostojnego szefa. A tamten nie spieszył się z rozmową. Jego piękne, wysokie czoło poorane jakąś wielką troską głębokimi bruzdami. Jego mądre, myślące oczy zdawały się patrzeć gdzieś w dal, gdzieś, kędy tylko myśl ludzka sięgnąć może.

Wreszcie westchnął siedzący przy biurku i przerwał milczenie słowami:

— Oni za daleko poszli z tym ultimatum. Za daleko niestety. A tak rad bym

uniknąć zatargu... Mister Fogg, wypowiedz pan śmiało swoje zdanie. Proszę o to...

Wezwany do zabrania głosu skłonił się poważnie i zaczął:

— Istotnie, panie prezydencie, że poszli za daleko i spóźnili się ponadto. Gdyby byli o jeden dzień wcześniej przysłali tę sławną notę, gdyby byli uprzedzili podpisanie i wejście w życie ustawy, można było iść na kompromis. Ja jestem również gorącym pacyfistą. Lecz oni się spóźnili. Nie chcę twierdzić, że się umyślnie spóźnili, ale prowokacyjny ton tej noty, jak i dzisiejszego ultimatum, przemawiałby za tym śmiałym przypuszczeniem... Wracam do ich noty. Musieliśmy na nią odpowiedzieć odmownie. Wszelka dyskusja lub wstrzymanie wejścia w życie ustawy równałoby się objawowi słabości Stanów wobec małej Japonii. Równałoby się poniżeniu naszego autorytetu państwowego...

— No tak. Odmówiliśmy, a oni nam przysłali bezzwłocznie to ultimatum — przynaglił prezydent wymownego sekretarza.

— Yes, sir. Ton tego ultimatum jest czymś niesłychanym w dziejach dyplomacji i wystawia jak najgorsze świadectwo im samym, ale nie o to mi chodzi. Biorę pod uwagę treść przede wszystkim. Żaden z wymienionych tam warunków nie nadaje się do pertraktacji. Nie rozumiem w ogóle, jak ich ostrożna dyplomacja mogła się ważyć na krok tak ryzykowny.

— Muszą się czuć na siłach lub jest to tylko tupet.

— Tylko tupet, panie prezydencie. Nic więcej, tylko tupet. I gdybyśmy tę samą metodę zastosowali w stosunku do nich, jestem pewien, że spuszczą z tonu. Ja bym...

Spostrzegł, że zapędził się za daleko. Lecz prezydent uśmiechnął się dobrotliwie. Zachęcił go do szczerych wynurzeń:

— Mów pan śmiało, mister Fogg. Cenię szczerą radę. Więc co by pan...

— Ja bym, panie prezydencie... (skoro wolno mi wygłosić moje osobiste zdanie) ja bym odrzucił to ich ultimatum, nie czekając terminu czterdziestoosmiodzinowego. Zaraz dzisiaj bym to załatwił...

— Hm. Czterdzieści osiem godzin to wiele. To długi czas. Dużo może zajść w tym czasie.

— Tak, panie prezydencie; lecz nasza szybka decyzja i stanowczość wywołałyby u nich panikę. Niech wiedza, że jesteśmy gotowi na najgorszą ewentualność...

— Którą jest wojna...

— Wojna...

Starszy pan posmutniał dziwnie na dźwięk tego słowa. Cichym, jakby przybitym głosem zapytał jeszcze:

— Mister Fogg, czy pamięta pan czasy wielkiej europejskiej wojny?

— Byłem wówczas dzieckiem, panie prezydencie.

— Well. A ja byłem wówczas jako ochotnik na froncie francuskim. Ja znam

wojnę, bo oglądałem ją własnymi oczyma. Widziałem dzieło zniszczenia straszliwego. Patrzyłem na nędzę i rozpacz ludzi, których osady zmiotły granaty. Łzami zachodziły mi oczy na widok sierot, które straciły rodziców i chaty, sierot, które błąkały się bezdomne, dopóki jakie komitety nie dały im skromnego przytułku. Pędząc do ataku, deptałem po setkach trupów swoich i nieprzyjacielskich. Uszy rozdzierały mi jęki konających, jęki kalek nieszczęśliwych. Yes, mister Fogg. Wojna to zbrodnia największa, na jaką się ludzkość zdobyć mogła. To potworna, masowa zbrodnia, nie jednostek, ale państw i narodów... Od roku 1918 upłynęło dwadzieścia dziewięć lat. Zjednoczone Stany nie dały się więcej wciągnąć w zamieszki orężne niezgodnej Europy czy fermentującej wiecznie Azji. Tyle lat przeżyliśmy w pokoju błogosławionym, a dzisiaj ja... ja... mam powiedzieć znowu to przekłete słowo?...

Sekretarz słuchał w milczeniu. Twarz jego wyrażała szacunek najwyższy dla dostojnego i roztropnego sternika nawy państwowej, ale oczy... oczy zdradzały mimowolnie, że mister Fogg odmienne ma na sprawę poglądy.

Prezydent dodał jeszcze półgłosem:

— W czasie wielkiej wojny Japonia walczyła ramię w ramię z nami przeciwko Niemcom. Dzisiaj przeciw nam występuje...

Znów rozdzwoniła się długa cisza uciążliwego milczenia.

Potem prezydent wstał z fotela i podszedł do okna. Spojrzał z wysokości Białego Domu na miasto tętniące ruchem ożywionym. Miasto podniecone oczekiwaniem brzemiennych dziejowych wypadków...

Wielki smutek przytłoczył jak gład serce dobrego człowieka. Długie, bardzo długie minuty upłynęły, zanim stojący przy oknie odwrócił się do czekającego cierpliwie sekretarza. Przemówił głosem silnym:

— Przed Bogiem z czynów mych sprawę zdam. Boga tedy o radę wprzód błagać muszę, zanim coś postanowię... Mister Fogg! Jutro dam odpowiedź na japońskie ultimatum...

Sekretarz pochylił głowę i ku drzwiom się zabierał, kiedy ze sąsiedniej komnaty dobiegł odgłos szybkiej, dość głośnej rozmowy. Wszedł cicho stary kamerdyner, niegdyś towarzysz broni prezydenta.

— Cóż tam nowego, mój poczcwiy Jakubie?

— Mister Hadtfield, sekretarz stanu, prosi o chwilę rozmowy. Powiedziałem mu, że pan prezydent dzisiaj nie przyjmuje już nikogo, ale upiera się koniecznie. Mówi, że bardzo ważna sprawa...

— Wprowadź pana sekretarza stanu, Jakubie.

Pięć sekund później wtoczył się do pracowni tęgi, przysadzisty gentleman usiłujący koniecznie, choć bezskutecznie, zapanować nad donośnym sapaniem, jakie jego miechowate płuca wydawały. Czerwone policzki przybyłego świadczyły wymownie o wzruszeniu wywołanym niezwykle wiadomością...

— Cóż nam pan powie, mister Hadtfield?... — zapytał prezydent, odpowiadając skinięciem głowy na powitalny ukłon zasapanego gościa.

Mister Hadtfield wyrzucił z siebie jednym tchem:

— Sir... mamy wojnę... Japończycy nie czekali odpowiedzi na swoje ultimatum... i... zaatakowali północne Filipiny. Pod Lanag wre bitwa morska... Proszę... oto odcyfrowany kablogram...

Prezydent oniemiał. Szybko pochwycił przyniesioną depezę i czytał długo. Bardzo długo czytał lub też wpatrywał się jak zahipnotyzowany w złowrogie litery.

A gdy wreszcie podniósł swe stalowe oczy, widniała w nich żałość bezbrzeżna. Mówił półgłosem, jak gdyby do siebie:

— Trzy nasze i dwa japońskie okręty zatoniły do chwili wysłania tej depezy... Bitwa trwa dalej... Tak, panowie... Już do tej pory wiele dzieci stało się sierotami... Wiele żon owdowiało... Ha!... Stało się!... Nie nasza wina... Nie nasza... Można było jeszcze jakoś spór załagodzić. Sami zaczęli pierwsze kroki...

— Umilkł na parę sekund, lecz w tej chwili sekretarz stanu wyjął z teczki jakiś dokument i położył go na biurku przed prezydentem.

— Cóż tam pan ma jeszcze, mister Hadtfield?

— Sir, oto rozkaz ogólnej mobilizacji. Proszę o podpis.

— Już macie gotowy?

— Yes, Sir. Na podstawie ustawy z roku 1936 rozkaz ogólnej mobilizacji jest stale przygotowany, na wszelki wypadek. Tylko co roku, po wielkich manewrach, wprowadza się odpowiednie zmiany.

Prezydent uśmiechnął się gorzko na wspomnienie tej sławetnej ustawy.

— Tak, pamiętam. Wieloletnie rokowania o ogólne rozbrojenie doprowadziły do powstania nowych koalicji, nowych przymierzy na wypadek wojny. Doprowadziły do jeszcze większych zbrojeń, do szału militarystów. A więc wojna, panowie. Niestety, wojna...

— Wojna! — huknęli gromko obaj sekretarze, a stary kamerdyner, w drzwiach czekający, wyprostował się na baczność...

### III

Wojna... Padło straszne słowo. Padły pierwsze strzały u brzegów północnych Luzonu... Ha, wojna!...

Zaczęło się od giełdy.

Zmieniły się łożyska wartkie rzek złota... Setki tysięcy i miliony ludzi straciło swe majątki w mgnieniu oka. To były stare, opuszczone koryta.

Dziesiątki tysięcy spekulantów wzbogaciło się tym, co tamci stracili. To były koryta nowe...

Nastąpił krach jednych papierów, a niesłychana hossa drugich. Zwłaszcza kursy akcji fabryk broni wszelakiej i konserw dosięgły szczytów niebotycznych...

Po giełdzie zareagowała prasa...

Tasiemcowe artykuły, nieprawdziwe wiadomości, plotki z palca wysane podburzały obywateli Stanów przeciwko Japonii, przeciwko jej synom, których szesnaście milionów korzystało z gościnności i chleba tego kraju. Następstwem tej nagonki były ekscesy uliczne, policja okazała się bezsilna wobec gniewu podburzonych mas. Dzielnice japońskie obstawiono wojskiem. Pomimo to mnożyły się ustawicznie wypadki demolowania sklepów japońskich, linczowania zabłąkanych w śródmieścia skośnookich synów Japonii...

A na froncie rozpoczęła się wielka gra. Tym frontem był Ocean Spokojny.

Słusznymi okazywały się przypuszczenia uczonych, że samoloty odegrają minimalną rolę podczas wojny... że przydadzą się tylko do służby pozafrontowej. Każda twierdza, każdy okręt wojenny był wyposażony w znakomicie ulepszone aparaty systemu Wooda. Ten wielki wynalazca amerykański wyciągnął w roku 1937 właściwe owoce z genialnych odkryć Hertza i Marconiego. Aparat pomysłu Wooda wysyłał tego rodzaju fale elektromagnetyczne, że na odległość dwunastu kilometrów paraliżowały działalność każdego motoru spalinowego. Zatrzymywały w biegu każde auto, każdą łódź motorową czy samolot. Odpowiednio skonstruowany projektor pozwalał rzucać snop tych zabójczych fal podobnie jak reflektor rzuca smugi świetlne w dowolnie obranym kierunku. I jeszcze jedno zachodziło między tymi aparatami podobieństwo, gdyż jak z tyłu, poza lampą reflektora, panuje ciemność i oślepiające światło nie dosięga stojącej obok obsługi, tak metr poza działającym projektorem Wooda mógł spokojnie pracować zwykły motor benzynowy. Dzięki temu także automobile wojskowe mogły być wyposażone w te przyrządy...

Z chwilą gdy siły zbrojne państw zrozumiały znaczenie tego wynalazku i kiedy go w najszerszej mierze zastosowały, wszelkie samoloty przestały być czymś groźnym na wypadek wojny. Stały się tylko najszybszym środkiem lokomocji podczas pokoju i skutecznie wypierały z użycia auta oraz przestarzałe koleje żelazne.

Błogosławieństwem dla ludzkości były tedy promienie Wooda. Znikła na zawsze możliwość trucia ludności cywilnej gazami i bakteriami.

Kilka aparatów umieszczonych na krańcach olbrzymich metropolii mogło osłonić mieszkańców przed atakiem dziesiątek tysięcy samolotów. Każdy latawiec, dostawszy się w sferę działania tych zabójczych promieni, musiał runąć na ziemię jak ptak rażony kulą, gdyż motory helikopterów były także sparaliżowane. Tylko białe kruki mogły się ocalić przez pospieszne lądowanie lotem ślizgowym.

Więc ciężar wojny pozostał na barkach flot morskich i artylerii portów przybrzeżnych.

Zaczęły się zapasy setek ciężkich kolosów morskich, tysiący zwinnych torpedowców i zdradliwych łodzi podwodnych.

Pierwsze chwile wojny przyniosły niewątpliwe sukcesy Japończykom. Złożyło się na to kilka przyczyn. Przede wszystkim to, że do Filipin jest znacznie bliżej z Japonii niż od Kalifornii, a choćby od Sandwichów, gdzie znajdowała się baza operacyjna floty Pacyfiku. A flota Pacyfiku stanowiła zaledwie połowę sił morskich Zjednoczonych Stanów. Flota Atlantyku jeszcze daleko miała do nurtów Oceanu Spokojnego. Jeszcze bardzo ładna odległość dzieliła ją od Kanału Panamskiego, który przebyć musiała.

Wykorzystując te różnice przestrzeni zbombardowali Żółci forty Filipin i wysadzili wojska lądowe na Luzonie, na Samar, Mindoro, Panay... Jeszcze tylko południowa część wyspy Mindanao broniła się zaciekle. Jeszcze u stóp niebotycznej Apo powiewały na fortach gwiaździste sztandary. Jeszcze powiewały, ale czy na długo?... Jedynym nieodkrytym, nieprzerwanym dotychczas kablem biegły rozpaczliwe wołania do floty Pacyfiku: *Save our souls. SOS, SOS* – kończył się każdy kablogram od topniejącej załogi wyspy Mindanao.

Wreszcie te błagania o ratunek zostały wysłuchane. Wreszcie zrozumiano, że nie można dopuścić do zupełnego zajęcia Filipin. O świcie pewnego pogodnego dnia wiosennego olbrzymia flota Pacyfiku ruszyła wprost w stronę... Japonii.



## ROZDZIAŁ VIII

### Kotlina Milczenia

#### I

Władek przeciągnął się leniwie i spojrzał na leżącą obok Mary. Rzekł:  
— Nie masz słuszności moja droga. Kotlina Milczenia jest jednym z najpiękniejszych ustroni, jakie znam. Być może, iż dlatego mi się tak piękna wydaje, ponieważ ty jesteś tu ze mną.

Ucałował jej rączkę z galanterią i z czułością zarazem. Miss Teacher innego była zdania. Zaprzeczyła z właściwą sobie żywością:

— Ale nudy. Okropne nudy, Vlad kochany. Żadnych rozrywek, jakie daje wielkie miasto, tu nie ma.

— Może właśnie dlatego jest tak pięknie. Obcujemy na każdym kroku z przyrodą. Spójrz tylko... Dokoła rozciągu się pierścień skał niebotycznych. Stromych skał, na których szczyt nie wiedzie żadna ścieżka. Tylko strumyk tryskający w połowie tamtej ściany... tylko ten potoczek górski, którego zimną wodę pijemy co dnia, potrafi pełzać po ostrym zboczu urwiska.

Miss Teacher wybuchła głośnym śmiechem. Powiedziała żartobliwie:

— Ach ty poeto! Wielka sztuka z góry na dół się toczyć. Ty byś to także potrafił.

Jej wesołe a „trzeźwe” spostrzeżenie nie zdołało ostudzić zapałów Władkowych. Niezrażony ciągnął dalej:

— Patrz, Mary! Poniżej tego szarego pierścienia skalnego biegnie ciemnozielony wieniec lasu. Tu, gdzie my leżymy, znajduje się granica pomiędzy lasem a obszarem krzaków. Tu ton zieleni jest dużo jaśniejszy, żywszy. A u naszych stóp, w dole leży dno kotliny. Najpierw idzie krasy kobierzec łąki kwiecistej i otacza z trzech boków stawek szaro-błękitny. Te błękitne refleksy rzuca niebo na wodę, a barwę stalowoszarą przybrała od tej ściany skalnej, która z czwartej strony ogranicza czworoboczne zlewisko strumienia.

...Spojrzyj, Mary, na tamten róg! Jak uroczo bielą się domki, w których

mieszkamy, wśród opadającego kwiecica ogrodu, jaki je otacza! Mnie się tutaj ogromnie podoba...

Miss Teacher wydeła wargi wzgardliwie:

— Phi! Pobyt tu może być przyjemny na dzień, dwa, trzy, powiedzmy, lecz od chwili, kiedy opuściliśmy New York, minęło prawie trzy tygodnie. Zbrzydła mi ta dziura. Spójrz na moją fryzurę. Płakać mi się chce, kiedy spojrzę w lustro. To straszne, Vlad. Trzy tygodnie nie byłam u fryzjera.

Białoszyński śmiał się wesoło:

— Cha, cha, cha, Mary... — mówił – to ci się świetnie udało. Kotlina Milczenia i elegancki zakład fryzjerski. Doskonale zestawienie.

— Nie widzę w tym nic śmiesznego. Przeciwnie, uważam, że sytuacja moja staje się wręcz smutna. Całe szczęście, że manicure potrafię sobie zrobić sama.... inaczej chyba bym umarła ze zmartwienia.

Podsunęła chłopcu przed same oczy swą starannie wypielęgnowaną rączkę. Wypolerowane paznokietki błyszcząły jak za czasów nowojorskich. Władek pochwyił wyciągniętą rękę i obsypał ją gorącymi pocałunkami. Pochylił się i łakomymi wargami muskał ją aż do łokcia, aż do ramienia, aż do szyi. Przyciągnął kochankę do siebie, przytulił i szeptał głosem zmienionym trochę:

— Dziwne to jest, Mary. Trzy tygodnie jesteście tu razem, a przez ten czas ani jeden raz nie doszło między nami do... zbliżenia...

Zaśmiała się nerwowo, nienaturalnie. Potem odpowiedziała:

— To prawda. Zawsze nam coś przeszkodziło.

— Coś? Raczej ktoś.

— Sądzisz?

— Sądzę, że jest ktoś, komu zależy właśnie na tym. Wspomnij choćby tę chwilę, kiedy na drugi dzień po przyjeździe do Kotliny poszliśmy razem do lasu. Pamiętasz?...

— Pamiętam, Vlad. Pamiętam dobrze. Całowaliśmy się, leżąc na mchu leśnym. Wtedy nagle spadło na nas ogromne jabłko kalifornijskie i zachrzęściły gałęzie...

— Tak, Mary. Tyś nawet sądziła, że może któreś z drzew jest jabłonią. Wówczas obszukałem wszystkie pobliskie drzewa. Ani jedna jabłoń tam nie rośnie. Natomiast takie same owoce znalazłem tuż w pobliżu naszych domków, w ogrodzie. Tylko tam rosną jabłka kalifornijskie. Tylko tam.

— A drugim razem usłyszeliśmy jakieś jęki, które nas spłoszyły w całkiem podobnym momencie.

— Widzisz więc sama. Zupełnie analogicznie zdarzyło się trzecim, czwartym i piątym razem. Dowodzi to jasno, że jest ktoś, co nas ustawicznie śledzi i celowo nie dopuszcza do pewnych sytuacji.

— Jaka szkoda, że nie mieszkamy razem! — westchnęła Mury tak szczerze,

że musiał się Władek roześmiać mimo woli. Ale zaraz powrócił do zaczętego tematu:

— Spróbujmy dojść do tego, kto jest tym tajemniczym wrogiem naszych czulszych sam na sam...

— No chyba nie stara Utah.

— Nie, naszej poczciwej a leniwej kucharki nie biorę pod rachubę. Myślę tylko o mężczyznach.

— A tych jest czterech.

— Tak. Spomiędzy nich odrzucam z góry męża Utah, ponieważ jest kulawy, i syna ich, bo to jeszcze dzieciak.

— No wiesz Vlad, nie powiedziałabym. Czternaście lat to już nie dzieciak, a zwykle chłopcy w tym wieku mają zamiłowanie do psot mniej lub bardziej złośliwych.

— Ponadto syn Utah chodzi stale boso. Nie umiałbym sobie nawet wyobrazić tego młodego Indianina w trzewikach jakichkolwiek. Powiem ci teraz coś nowego. Oto wtedy, gdy rzucono na nas jabłko, zerwałem się szukać drzewa jabłoni i odkryłem ślady ciężkich, okutych butów. Takie obuwie noszą tylko Sam i Will. Tak, my dear. Zwłaszcza ten ostatni drab nie podoba mi się wcale. To jest ten sam łotr, który mnie wówczas wywabił z banku, mówiąc, że ty, Mary, na mnie czekasz w aucie. Wstrętnie ponura gęba...

Miss Teacher zamyśliła się. Podejrzenia Władka były bardzo uzasadnione, ale jakież interes mógł mieć ten półrzeszimeszek w tym natrętnym śledzeniu ich obojga i systematycznym przeszkadzaniu ich czulszym wynurzeniom? Chyba, że działał z wyraźnego polecenia Otusawy.

A myśli Władkowe biegły dziwnie równoległe do jej domysłów, bo chłopiec odezwał się właśnie:

— W pierwszej chwili myślałem, że ten drab podkochuje się w tobie i o mnie jest może zazdrosny. Lecz wybiłem sobie to z głowy. Nic nie wskazuje na to. On się odnosi do ciebie z największą poprawnością, lecz obojętnie. I dlatego przypuszczam co innego...

— Mianowicie?... — spytała, czerwieniąc się lekko.

— Przypuszczam, że jest naszym aniołem stróżem z polecenia tego tajemniczego herszta bandy. Herszta tych łajdaków, którzy nas oboje porwali i tu zawieźli. Tak Mary. Drzę na myśl, że może temu drabowi wpadłaś w oko i pragnie cię dla siebie wyłącznie zarezerwować. Boję się o ciebie, Mary. Boję się.

Miss Teacher odwróciła głowę, by nie dostrzegł jej zmieszania. Sprawiało jej dziwną przyjemność utrzymywanie tego zakochanego chłopca w błędzie. Wmówiła weń bez trudu, że, podobnie jak i on, jest ofiarą porwaną przez tajemniczą szajkę i uwięzioną w Kotlinie Milczenia.

Rozumiała dobrze, że Władek, który z pogardą i wstrętem wyrażał się w

rozmowach o wszelkich zbrodniach i przestępstwach, odwróciłby się od niej na zawsze, gdyby wiedział, że ta *sweet Mary* jest jednym z filarów ściganej przez policję szajki szpiegowskiej.

Miss Teacher nie wiedziała właściwie, dlaczego jej tak zależy na dobrej opinii w oczach tego chłopca. Nie kochała go przecież, gdyż nie kochała nikogo na świecie. Jej życie ukształtowało się w ten sposób, że nie znalazła nikogo godnego prawdziwej, wielkiej miłości. Nie znalazła przed poznaniem Otusawy. Gdyby spotkała Władka trzy lata temu, zanim na drodze jej życia stanął Hakari, zanim zdołał ją ujarzmić i powolnie z niej narzędzie sobie uczynić... zapewne pokochałaby tego dobrego chłopca swą pierwszą, czystą miłością. Ale wpływ Japończyka i te trzy lata życia poniżającego stopiły w niej wszelkie dobre wartości moralne. Czy wszystkie?

Mary nie umiałaby na to pytanie odpowiedzieć szczerze. — Zapewne wszystkie — odparłaby w pierwszej chwili. Od trzech lat jej jedynym celem życia była chęć... użycia. Wspaniałe toalety, auto luksusowe, kabarety, eleganckie mieszkanie, perły, brylanty, dancingi i... od czasu do czasu przelotny kochanek, który by jej wynagrodził przymusowe pieszczoty z mężczyznami dla niej wstrętnymi. Z tymi, którym ją sprzedawał Otusawa dla wyciągnięcia garści potrzebnych mu informacji.

Pędziła więc Mary życie kobiety-szpiega... Do Władka zbliżyła się pierwotnie także dla osiągnięcia pewnego celu. Tym celem było uzyskanie wstępu na przyjęcie wpływowego miliardera Toma Raya. Oddała się temu chłopcu po raz pierwszy tylko dlatego, by w ten sposób wyrzucić cichą zemstę na Otusawie. I ta noc zaważyła przedziwnie w jej życiu. Pocałunki, uściski a nade wszystko dobre, ze serca dobre słowa tego niezepsutego chłopca poruszyły jakąś nieznaną, ukrytą strunę duszy Mary... Struna wydała głos silny i czysty.

Z początku sama się z tego śmiała. A potem?... Potem zrodziło się w sercu jakieś nowe, niezaznane dotychczas uczucie. Nieokreślona uczucie.

Coraz silniej Ignęła do chłopca, coraz bardziej pragnęła wyswobodzić się spod wpływu Japończyka. Lecz na to była jeszcze za słaba jej wola.

Wzdrygnęła się na wspomnienie Otusawy. Nienawidziła tego człowieka z całej duszy; czuła, że jest jej największym wrogiem, który pogrąża ją w upadku coraz to głębszym. A poza tym bała się go jak ognia. Bała się strasznego spojrzenia jego skośnych oczu. Więc bała się i nienawidziła, a jednak żaden mężczyzna tak na nią fizycznie nie działał, jak ten, raczej brzydki niż przeciętny, Japończyk. Skoro uczuła na ustach jego suchy, ssący pocałunek, skoro uczuła wężowy opłot jego chudych, żyłastych ramion, traciła zupełnie przytomność. Niczyjej pieszczoty tak nie pożądała, jak jego.

I teraz nawet, gdy trzy prawie tygodnie spędziła w Kotlinie Milczenia z tym rozkochanym w niej chłopcem, kiedy z oddali postać Japończyka budziła w niej

wstręt i nienawiść, na wspomnienie przeżytych z Hakarim nocy dziwne dreszcze przebiegały jej grzbiet aż do końca nóg smukłych.

Otrząsnęła się jednak. Wspomniała doznane od Otusawy krzywdy, uprzytomniła sobie, że ten człowiek zrobił z niej, z pięknej panny z najlepszego towarzystwa, zwykłą awanturnicę, kokotę nieledwie, i razem z nagłym przypływem nienawiści do tamtego, nieobecnego, ogarnęła ją wielka tkliwość dla Władka.

Czy tylko tkliwość? Może i coś więcej także... Pomyślała sobie w tej chwili — Tamten jest moim złym duchem, a ten dobrym.

Nagłym ruchem obróciła się do chłopca zdumionego jej długotrwałym milczeniem i przywarła do niego ze wszystkich sił. Zaczęła go całować namiętnie... A kiedy na sekundę, dla złapaniu oddechu, odejmowała usta od jogo warg młodzieńczych, szeptała w najwyższym uniesieniu:

— Ty mój!... jedyny... najdroższy... Kocham!... Kocham bardzo...

Lecz Władek był przezorny. Należało najpierw rozglądnąć się w terenie, czy znów pod jakim krzakiem nie siedzi intruz natrętny. Wstał i szczegółowo przetrząsnął pobliskie zarośla. Nie było nikogo. Szeptał do siebie zdumiony:

— Nie ma. Albo się drab dobrze zaszył, albo zgubił nasz ślad. Bardzo to zresztą prawdopodobne, ho umyślnie tak manewrowałem, idąc tutaj.

Potem wspiął się na olbrzymi głaz i szukał wzrokiem w dalszym promieniu. Po chwili roześmiany powrócił do leżącej kobiety. Rzekł głośno, swobodnie:

— Nie ma obawy. Will poszedł w kierunku wprost przeciwnym. Jest teraz tak daleko, że nie można rozpoznać nawet twarzy. Tylko jego charakterystyczny kapelusz kowboja go zdradził. Cha! cha! Cha! Mary, tośmy go przecież raz wyprowadzili w pole. Pnie się teraz w górę po przeciwnej stronie kotliny.

Później ukląkł przy leżącej i bez słowa przypadł ustami do jej twarzy. A Mary zarzuciła mu swe krągłe, toczne ramiona na szyję i szeptała głosem rwącym się ze serca wezbranego uczuciem:

— Taka ci jestem dobra... Taka twoja, Vlad... tylko twoja...

\* \* \*

Jakiś leciuteńki szum doszedł uszu obojga młodych. Coś jakby brzęczenie osy... Nie!... Silniejsze to było niż głos skrzydeł osy.. To bąk jakiś wielki lub szerszeń... Nie!... To jeszcze silniejsze brzęczenie.

Powiew wiatru przyniósł oddalony odgłos jakiegoś cichego warczenia.

Mary słuchała bez żadnego zainteresowania. Było jej w tej chwili wszystko tak najzupełniej obojętne. Leżała, utkwivszy oczy w błękicie nieba.

Nagle drgnęła...

Tam hen w górze, na gładkim tle jaśniejszym od lazulitu i od szafiru, na gładkim, bez jednej chmurki tle nieba zamajaczył jakiś punkt. Ruchomy punkt.

Był mały jak mucha, lecz rósł z każdą sekundą. Już miał wielkość trzmiela, potem wróbla...

Miss Teacher zbladła jak kreda. Trzęsącymi się usty wyszeptała:

— Patrz! Patrz... tam!...

Bystre oczy Władkowe wnet odróżniły kontury zbliżającego się przedmiotu. Wykrzyknął radośnie:

— Samolot... Pewnie policja. Cieszymy się, Mary, dziś jeszcze pojedziemy do New Yorku!... Widzisz, znaleźli nas w tej Kotlinie Milczenia.

Ale Mary nie podzielała tej wesołości. Domyśliła się, kto przyjeżdża. Poznać już można było znaki na skrzydłach. Aeroplan zdążył się opuścić dość nisko. Wielkie trzy śruby milczały od dłuższej chwili, natomiast helikopterowe śmigło warczało zajadle. Olbrzymi ptak opadał tak samo, jak splywa skowronek na rolę właśnie zoraną.

Miss Teacher zerwała się pospiesznie z ziemi. Poprawiła zmiętą suknię i włosy. Widząc, że Władek obrzuca ją zdumionym spojrzeniem, rzekła szybko:

— Jeżeli mnie kochasz naprawdę, to zostań tutaj jeszcze kwadrans lub dłużej. Ja muszę iść... Nie pytaj o nic!... — dodała, widząc, że chce jej przerwać. — Nie pytaj o nic!... Jutro wszystko ci wyjaśnię. Teraz żegnaj, Vlad!...

Uścisnęła mu dłoń, krótko, gorąco, lecz kiedy Władek musnął wargami jej usteczka, przeraził się prawie. Były tak zimne jak lód, tak drżące jako listek osiki. Wszystkie krew, zda się, zbiegła z twarzy kobiety, tak była blada.

Odeszła Miss Teacher, odeszła spiesznie w stronę najbliższej ścieżyny. Zaszleściły rozchyłona krzaki i kołysały się przez chwilę. Coraz wolniej, coraz słabiej, coraz ciszej...

Białoszyński pozostał sam.

Aeroplan wisiał teraz nie wyżej jak paręset metrów nad ziemią. Zaciekawiała Władka chwila lądowania, więc pospieszył do sterczącego w górę głazu, skąd przedtem dostrzegł Willa... Z tego punktu obserwacyjnego, mógł śledzić doskonale całe dno kotliny, będąc równocześnie zasłonięty dwoma głazami przed okiem patrzących z dołu.

Samolot lekko opadł na szmaragdową murawę. Rozpędzona śruba helikoptera kręciła się jeszcze przez dłuższą chwilę siłą bezwładności. Otworzyły się drzwi kabiny latawca. Wyszło stamtąd ośmiu mężczyzn i jedna niska kobieta. Władkowi zdawało się, że dwóch spomiędzy przybyłych to Japończycy. Całe to towarzystwo skierowało się w stronę domków osady. Jakiś czas potem wynurzyła się z lasu sylwetka Mary. Z lasu po przeciwnej stronie kotliny.

Władka zastanowiło to bardzo. Dlaczego obeszła tak wielkie koło? Dlaczego wyszła z lasu z tej strony, gdzie Will spodziewał się ich znaleźć? W jakim celu

kazała mu tutaj czekać kwadrans cały? Czy chciała zataić przed przybyłymi, że oni oboje byli tu sami, że uszli zręcznie cenzurze Willa? Co to wszystko znaczy? Co znaczy?... — biedził się chłopiec z myślami. Sprzeczne przypuszczenia trapiły jego duszę.

Ale już Utah, stara gospodyni, wyszła przed dom z dzwonkiem i dała znać, że obiad czeka. W samej rzeczy czas było na wieczorny posiłek. Słońce już dawno skryło się poza postrzępione szczyty skalnego pierścienia kotliny. Tylko refleksy od nieba i od przeciwległej ściany, która jedyna jeszcze oglądała zachodzące słońce, tylko te refleksy oświetlały wnętrze Kotliny Milczenia.

Więc zsunął się zamyślony Władek ze swego punktu obserwacyjnego i z wolna poszedł do domu.

## II

Władek odrzucił koc i bez szelestu zesunął się z łóżka. Był ubrany kompletnie. Chwilę nadśluchiwał uważnie. Niezmałona szmerem najłżejszym cisza panowała dokoła. Więc z wielką wprawą sfabrykował z poduszek wałkowatego manekina, ułożył go na posłaniu i nakrył kołdrą. Uśmiechnął się zadowolony i pomyślał: — Gdyby im przyszło do głowy zaglądnąć do mego pokoju, to pomyślą, że śpię smacznie.

Lekko pchnął przymknięte okno. Na rozpiętym leżaku, tuż naprzeciw okna spoczywał śpiący mężczyzna. Znowu twarz Władka radosny uśmiech okraślił: — Moja warta śpi twardo. Nieocenione są te papierosy od Mary... Rzeczywiście, że doskonale na bezsenność działają... Cha! cha! cha! No i Sam jest poczciwy, że je ode mnie przyjmuje i pali. Temu wstrętnemu Willowi nawet nie proponowałbym takiego poczęstunku. Ten bierze i śpi, a ja mogę pracować... — monologował w duchu, wyłażąc równocześnie ostrożnie przez okno parterowego domeczku. Zamknął cichuteńko obie kwatery, szyb i minawszy śpiącego twardo strażnika, pospieszył w stronę stawku.

Bo Władek od samego początku swego pobytu tutaj pracował wytrwale po nocach. Właściwie co drugą noc, gdyż Sam z Willem na przemian straż przed oknem trzymali. Tylko wówczas gdy służba na Sama wypadła, mógł Władek udawać się do roboty. Do żmudnej, uciążliwej roboty.

Od pierwszego dnia uwięzienia, myśl o ucieczce nie dawała mu spokoju. Pierwotne fantastyczne plany o przebyciu skalistego pasma zarzucił już dawno. Było to oczywistym niepodobieństwem. Po pierwszo dlatego, że łańcuch górski kotlinę otaczający wznosił się na przeszło tysiąc metrów ponad poziom domków osady. Pa drugie zbocza były tak strome, że bez wbijania klamer, bez lin i pomocy doświadczonego turysty nie mogło być mowy o wspinaniu się w górę.

Drugi pomysł jeńca okazał się szczęśliwszy. Strumyk mu go podsunął. Strumyk miał przynieść ocalenie jemu i Mary ukochanej.

Władek wykombinował od razu, że niepodobieństwem jest, aby jedynym ujściem tego potoku miał być niewielki stawek. Gdyby stawek nie miał jakiegoś odpływu niewidocznego, wówczas woda w jednym dniu zalałaby całe dno kotliny, a za dni kilka utworzyłaby okazało górskie jezioro.

Przypuszczenia chłopca okazały się trafne zupełnie. Stawek miał odpływ, ale tak zakryty poplątaną gęstwą kolczastych krzaków, że zewnątrz nie było mowy o wdarciu się tam. Więc zaraz podczas pierwszej swej nocnej wycieczki rozebrał się Białoszyński na brzegu i śmiało wszedł do wody. Woda była płytka, za to zimna przeraźliwie. Brnął przez nią z bijącym sercem, lecz śmiało. Brnął w stronę krzaków, tam gdzie wznosiła się prawie pionowo urwista ściana skalna. Wnet otoczyły go zewsząd splątane zarośla. Tylko wąziuteńkie koryto zdołała sobie woda wyrobić wśród tej gęstwy krzewów. W jednym miejscu skaleczył sobie nogę o kolce jakiejś sterczącej gałęzi, ale niezrażony parł dalej, aż stanął u stóp głazów olbrzymich. Przeczekał chwilę, aż księżyc wyłonił się spoza przepływającej chmurki, a potem rzucił ułamany maleńki patyczek na wodę. Drewnisko wnet odczuło prąd i zaprowadziło chłopca do ujścia stawku. Władek omal nie krzyknął z radości. Drewnisko zakręciło raptownie i znikło w ścianie skalnej. Na jakie dwadzieścia centymetrów ponad zwierciadło wody wznosił się otwór pieczary. Nogami wybadał, że dziura ta sięga aż do samego dna stawku, że więc bez trudu się tam dostać będzie można.

To było pierwsze odkrycie.

Na drugą noc wyekwipował się w lampkę elektryczną, którą ściągnął Willowi... Zabrał ze sobą silny pręt żelazny i wszedł do wody. Odważnie zagłębił się w czarnej czeluści pieczary i oświetlił lampką jej wnętrze. Jaskinia ta miała z osiem metrów głębokości a ze dwa była szeroka. Potem zagradzały ją kamienie, przez wierzch których woda spływała. Kamienie te nie były zbyt ciężkie i podważone prętem przyniesionym kołysały się nader zachęcająco. Lecz Władek obawiał się czego innego. Gdyby je usunął, woda runie naprzód i zwierciadło stawku opadnie o jakie pół metra...

Nie było jednak innej rady.

— Niech sobie płynie. Nie będzie mi przynajmniej tak zimno w nogi. Rano ustawię z powrotem tę tamę i znów jej się w stawie nazbiera.

Jak postanowił, tak też uczynił. Przede wszystkim jednak znalazł dla siebie odpowiednie schronisko na sterczącym zrębie, unikając w ten sposób porwania przez prąd. Po chwili spadł podważony głaz i masa wody spłynęła w zawrotnym pędzie w głąb góry, miało to nawet swą dobrą stronę, gdyż naraz puszczonej obfity strumień runął z ogromną siłą w wyrwę i oczyścił dalszą część tunelu. Młody odkrywca zapuścił się w podziemny krużganek. Jak długo tak szedł, z tego nie



zdawał sobie sprawy początkowo. Dopiero w powrotnej drodze zaczął liczyć kroki i narachował ich z górą siedemset. Ganek był w dalszej swej części wąski ledwie na pół metra, ale tak wysoki, że Władek mógł iść swobodnie wyprostowany i jeszcze daleko było do sklepienia.

Musiał wrócić, gdyż bateria lampki była na wyczerpaniu. Odkrycie długiego tunelu tak go uradowało, że o włos a byłby zapomniał ustawić kamień naturalnej tamy w grocie wchodowej na swoim miejscu. Kiedy nazajutrz wstał koło dziewiątej, poziom wody w stawie dosięgł normalnej wysokości.

Znów przyszła noc dyżuru Willa i trzeba było pozostać w domu. Za to Will się ucieszył, znalazłszy swą zaginioną latarkę porzuconą koło leżaka.

Na trzecią wyprawę wyruszył Władek zaopatrzony w stalową sztabę oraz latarkę z akumulatorem na czterdzieści godzin wystarczającym. Z dużą wprawą otworzył swą tamę i ze szczerą radością wsłuchiwał się w szum rwącego strumienia. Tym razem zaczął od razu liczyć stąpania. Przy tysiąc setnym kroku trafił na zakręt i zaporę. Pracował do trzeciej rano. Było mu tak gorąco, że nie czuł chłodu w nogi zanurzone po kolana w zimnej, górskiej wodzie strumienia.

Sztabą żelazną wybił wąską szczelinę z boku barykady. Zaczęła tamtędy woda odpływać powoli. Władek pomyślał, że kiedy tu przyjdzie pracować następnym razem, to będzie robił „na sucho”, gdyż cała nadwyżka wody spłynie. Czas było wracać jak najprędzej...

Czwarta, piąta, szósta i siódma wyprawa przyniosły nowe sukcesy, ale wystawiły na ciężką próbę cierpliwość chłopca. Już prawie cztery tysiące kroków liczył jego tunel, a szmer wody nie zdradzał zupełnie, że niebawem znajdzie się po drugiej, upragnionej stronie grzbietu górskiego. Już sama droga boso po kamienistym dnie strumienia, płytkiego na szczęście, męczyła Władka bardzo. I po zmożeniu każdej przeszkody ukazywało się kilkaset kroków korytarza, a potem wylaniała się nowa, jeszcze gorsza zapora.

Władek ani słowem nie wspomniał Mary o swym odkryciu i pracy mozolnej. Bał się mimo wszystko, że jego uciążliwa robota może się zakończyć fiaskiem. Chciał kochance oszczędzić zawodu, rozczarowania. Lecz radość wzbierała w jego sercu na myśl o chwili, kiedy ganek będzie gotowy i kiedy on poprowadzi Mary za rękę przez te tajemnicze podziemne wertepy... Jak ona go będzie podziwiać! Jak będzie mu wdzięcznie dziękować za ocalenie z rąk tych podejrzanych indywiduów! Z jaką dumą będzie jej mówił: — Patrz, Mary. Na tym zakręcie męczyłem się dwie godziny, zanim podważyłem ów głaz na bok odrzucony. Teraz się domyślasz, z czego dostałem odcisków na dłoniach i palcach, z czego mi ręka stwardniała jak staremu robotnikowi. Teraz wiesz, dlaczego co drugi dzień wstawałem taki zaspany i blady. Dla ciebie to robiłem, Mary najdroższa. Dla ciebie, jedyna!...

Dzisiejszej nocy szedł Władek ostrożniej niż zwykle. Skoro przybyło dziewięciu ludzi, to może któryś z nich jeszcze nie spał o tej porze. Nie jest

wykluczone, że koło aeroplanu stoi warta. Należało więc samolot okrążyć, należało przejść w pobliżu okien Mary.

W pokoju Miss Teacher świeciło się jeszcze. Władka ogarnęła wielką tkliwość: — Śpij, kochanie moje! Śpij dobrze! — wyszeptał rozczulony. Ale w tejże chwili zdrętwiał zupełnie. W oknie sypialni Mary stanął niski mężczyzna i patrzył w ogród. Władek przetarł oczy ze zdumienia. Cień na firance zniknął, a potem przedefilował kilkakrotnie profilem. Widocznie ktoś przechadzał się po pokoju. Po pokoju Mary!... Gdzież była tedy czujna jak żuraw Utah? Ta przebiegła Indianka, która jak Cerber pilnowała młodej pani i nie dała mu nigdy skusić na zdradzieckiego papierosa, jakim ją Władek chciał poczęstować!

Należało wyjaśnić zagadkę...

Białoszyński chodził na swoje nocne wyprawy boso. Jego trzewiki trzymały wartę przy manekinie w łóżku pozostawionym. Więc mógł iść teraz cicho jak kot. Przyłgnął do muru tuż w pobliżu okna, którego górna kwatera była szeroko otwarta. Dobiegł jego uszu głos Mary, która właśnie mówiła:

— Nie jestem taka dziecinna, jak myślisz. Wiem, że kazałeś Willowi mnie śledzić. Bardzo to ładnie twej strony, Hakari. Darzysz mnie widać zaufaniem, skoro polecasz takiemu drabowi mnie szpiegować.

— Mam dowody, że przypuszczenia moje były słuszne. Czy cię Will śledził, czy kto inny, to nie twoja rzecz. Dość, że wiem wszystko. Wiem, że się nieustannie włóczysz po rozmaitych ustroniach z tym smarkaczem.

— O mnie mowa... — szepnął Władek domyślnie i słuchał dalej wzburzony do głębi.

— Wiem, że się z nim całujesz i ściskasz... — mówił dalej głos męski.

— To nieprawda!... — krzyknęła Mary, a Władka zabołało serce.

— Wypiera się mnie? Dlaczego? Dlaczego?... — myślał ze smutkiem podsluchujący.

— Nieprawda? To zobacz tę fotografię. Chyba pozycja dość niedwuznaczna. Gdyby nie jabłko, rzucone przez mego agenta, byłby epilog tej sceny łatwy do przewidzenia...

— No, ale do epilogu nie doszło...

— W czym jednak nie twoja, Ri, zasługa, lecz mojego człowieka, który wam przeszkodził. Żałuję bardzo, że się zgodziłem przewieźć tutaj tego dzieciaka.

— Dam ja ci dzieciaka!... — odgroził się w duchu Władek.

Głos męski ciągnął dalej:

— Jutro tego chłopaka stąd zabiorę i załatwię się z nim krótko. Robię sobie wymówki, że pozwoliłem ci na statku na ten bezużyteczny flirt z tym głupcem. Dużo nam z tego przyszło... Wielka mi rzecz, że przez niego dostałaś dwa zaproszenia na przyjęcie do Toma Raya... Teraz, gdy wojna wybuchła, nic nam z całego Raya i jego doborowego towarzystwa. Stary przyjmuje tylko najściślejsze

kółko. Zresztą nie możesz na razie wracać do New Yorku. Policja by cię tam nakryła. Dostaniesz gdzie indziej robotę, a jego się sprzątnie gdzieś w tych okolicach. Po prostu zrzuć go na łeb ze samolotu...

— Miła perspektywa... — pomyślał Władek i równocześnie zrozumiał, że absolutnie nic nie rozumie z całej przemowy tego draba. Któż to mógł być ten człowiek, który pozwalał sobie na taki ton poufały wobec Mary? Ba, nie tylko poufały, lecz rozkazujący. O jakiej wojnie mowa? O jakim statku? Chyba o *Braci Słowian* chodzi, bo innym okrętem Władek nie jechał. Dlaczego Mary ma szukać schronienia przed policją? Nie mogło mu przejść przez głowę, nie mógł ani sekundy ścierpieć myśli, że Mary należy także do tej szajki, że jej poznanie się z Władkiem i romans był czymś ukartowanym z góry. Czymś, na co ten rzezimieszek raczył zezwolić...

Lecz rozmyślenia chłopca przerwał słodki głosik Mary. Słodki głos, a słowa gorzkie nad wyraz:

— Daj mi już raz spokój z wymówkami. Mówmy o czymś ważniejszym! Cieszę się bardzo, że przywiozłeś moją nieocenioną Yae. Zaraz jutro musi mnie uczesać. Sądzę, że pamiętałeś o moich przyborach toaletowych, które pozostawiłam wówczas w pośpiechu.

Władek uczył straszne uderzeniu obuchem w głowę. Wsparł się o ścianę, bo nogi mu drzeć zaczynały...

— Więc to mówiła jego Mary? Ta kobieta, którą dziś pieścił i całował jak oszalały? Która dziś właśnie w najśłodszych słowach zaklinała się, że jego jednego kocha na świecie? A teraz? Teraz wobec tego apasza mówiła wyraźnie, że woli rozmawiać o swojej służącej, tej Yae maleńkiej, woli rozmawiać o przyborach toaletowych niż o nim. I powiedziała to w chwili, kiedy ten drab śmiercią Władkowi groził. *Mówmy o czymś ważniejszym...* rzekła Mary dosłownie.

Nie przypuszczał zrozpaczony chłopiec, że Mary, mówiąc w ten sposób, ratowała go właśnie. Że chciała przede wszystkim uspić podejrzenia nieufnego Hakariego, że tymi niby obojętnymi słowy nie zgubę, lecz ocalenie Władkowi przynieść zamierzała... Tego Władek wiedzieć nie mógł. Nie mógł znać myśli kochanki. A jakby dla rozproszenia jego wszelkich złudzeń i wątpliwości zabrzmiał jej głos:

— Wiesz zresztą dobrze, Hakari, że ty byłeś moim jedynym prawdziwym kochankiem. Tyś mnie miał pierwszy, ze wszystkich...

Kroki męskie ustały nagle, za to łóżko skrzyknęło gwałtownie. Władek, blady jak śmierć, niebacznym na niebezpieczeństwo podsunął się aż pod samo okno. Uniósł się z boku ramy okiennej i zbolalymi źrenicami spojrzał w głąb pokoju.

Na łóżku, w rogu stojącym, leżała Mary. Przepiękna, słodka... przekłeta Mary. Jedwabna lila kombinacja uwydatniała doskonale kształty jej ciała i śnieżną białość jej toczonych ramion, szyi i górnej części piersi. Jej nieco opalona, wąska

dłoń gładziła pieśczośliwie gęstą, czarną czuprynę siedzącego na łożu mężczyzny... Ta dłoń, ta rączka, którą Władek dziś, przed kilkoma godzinami zaledwie, całował i pieścił.

Lampa oświałała tył głowy mężczyzny. Twarz krył cień. Lecz w pewnej chwili podpatrujący zza okna dojrzał tę twarz i zamyślił się głęboko. Gdzieś już widział tego Japończyka. Ale gdzie? Przypomniał sobie słowa o okręcie. Tak, teraz zrozumiał. To był ten sam Japończyk w okularach, który mu się tak bacznie przyglądał na pokładzie *Braci Słowian*. Obecnie zdjął szkła w czarnej rogowej oprawie osadzone. Leżały tam obok na nocnym stolczku.

Nagle Władek zagryzł wargi boleśnie. Japończyk pochylił się nad leżącą i usta swe do jej warg czerwonych przyłożył... Jeszcze mała iskierka nadziei tliła się w sercu chłopca. Jeszcze się wciąż spodziewał, że Mary odepchnie tego człowieka, że zacznie się bronić. Był przygotowany na to, że jeśli spostrzeże najlżejszy ślad oporu... że jeżeli Mary zacznie się bronić, to skoczy przez okno jak tygrys i runie do gardła tamtemu. Wszystko jedno, co potem nastąpi.

Ale Mary nie broniła się wcale. Przeciwnie, sama chętnie otoczyła swymi ramionami szyję Japończyka i wyprężyła się w jakimś skurczu rozkoszonym.

Chłopiec chciał odejść. Chyba więcej zobaczyć nie pragnął. Może by nie zniósł nawet. Może by zaczął wyc z bólu za oknem. Odepchnął się rękoma od ściany, oderwał się przemocą od tego przeklętego miejsca i wtedy doszły jego uszu ostatnie słowa Mary. Skomlące, pokorne słowa:

— Taka jestem twoja, Hakari... taka twoja...

Szybko uchoził Władek z tego miejsca, gdzie rozwiał się doszczętnie jego sen. Jego sen i wiara w miłość tej kobiety.

A przecież raz jeszcze musiał się oglądnać. Jeszcze jedno pożegnalne posłał tam spojrzenie. Jeszcze poczuł ostatnie pchnięcie zatrutego sztyletu, kiedy spostrzegł, że lampa w pokoju Mary nagle zagasła.

Przyspieszył kroku. Mełł teraz w ustach ordynarne przekleństwa, a potem mruknał:

— Ona, zdaje się, każdego częstuje tym samym frazesem, ta... dziwka!

Z tymi słowy, za jednym zamachem, zostało zestornowane bogate konto miss Mary Teacher... w sercu Władkowym.

\* \* \*

Kiedy woda spłynęła z pieczary przy stawku i kiedy dostał się w głąb korytarza, zasunął kamienie za sobą. Zamknął sobie drogę.

— Nie mam i tak po co wracać... — dodał sobie odwagi i ruszył naprzód.

Po powrocie do swego pokoju zabrał także buty i niósł je teraz razem z

całym ubraniem na plecach. W tym samym tobołku umieścił sporo zerwanych owoców, którymi chciał zaspakajać głód, gdyby mu przyszło dłużej pracować w podziemiach. Straszna scena, której był mimowolnym świadkiem, ogłuszyła go kompletnie. Co chwila potykał się na kamieniach i kaleczył sobie palce u nóg bosych. Dopiero napotkana przeszkoda przywróciła mu przytomność umysłu. Przede wszystkim odszukał pozostawione tu przed dwoma dniami drągi żelazne i ustawivszy latarnię na skalnym zrębie, zabrał się do żmudnej pracy.

Na szczęście tym razem poszło mu dość łatwo. Zawiesivszy latarkę z pomocą szelek i podpierając się oburącz żelaznymi drążkami, ruszył naprzód. Kroki liczył uważnie. Było tego dużo. Bardzo dużo nawet, bo tysiąc sto dziesięć.

Potem przyszła najcięższa barykada. Korytarz rozszerzył się znacznie i tworzył obszerną grootę zalaną jeziorkiem. Znowu trzeba było szukać odpływu wody. W tym Władek posiadał już dość znaczną rutynę i złożywszy tobołek na jakimś głazie, wszedł pewnym krokiem do wody. Ale wnet mina mu zrzędła.

Już stał zanurzony po pas w jeziorku, a jeszcze nie zrobił ani połowy drogi do przeciwległego brzegu. Kiedy znalazł się o jakie pięć metrów od głazu, zator wodzie czyniącego, zwierciadło słowu sięgało mu po szyję.

— Źle będzie... — pomyślał i było źle nad wyraz.

— Gdy stanął do walki ze skałą, ponad którą sączył się odpływ jeziorka groty, woda muskała mu brodę.

— Dużo wskóram w takim położeniu... — mruzczał z rozpaczą. Lecz cofać się nie chciał i... nie mógł, wobec groźby Japończyka.

W tej chwili oblał jego głowę jakiś zimny, świeży prąd powietrza. Uniósł jedną rękę wysoko. Tak. Rzeczywiście. Tam, ponad tą tamą przeklętą dął leciuteńki wietrzyk. Zelektryzował go ten przeciąg. Wrzasnął na całe gardło:

— Hurra!... To już niedaleko. Tylko tę przeszkodą przebyć szczęśliwie...

Ale ta przeszkoda stanowiła właśnie sęk najgorszy. Ponad głazem prześlizgnąć się nie mógł. Tam była tylko szpara na niecałe dwadzieścia centymetrów szeroka. Uniósłszy się w górę z pomocą oślizgłego rusztowania z żelaznych swoich drągów, wsunął tam rękę i wymacał dokładnie grubość głazu. Był to ogromny, płaski zupełnie odłamek skały, który zsunął się kiedyś przed laty i zatarasował to przejście. Zmusił wytrwałą w pracy wodę do wyźłobieniu sobie jeziorka oraz wąskiej szczeliny, którą się przesmykała. Głaz ten wysoki był, licząc od dna, na przeszło dwa metry, ale jego grubość nie przenosiła szerokości udu ludzkiego.

Zaczęła się żmudna praca. Praca na pozór beznadziejna, bo głaz ani nie drgnął. Stojący po brodę we wodzie, nie mógł wziąć silnego zamachu, by walić z całej mocy w zaporę. Nie mogąc podołać siłą fizyczną, zaczął pracować mózgiem. Zaczął znów śledzić odpływ wody. Ta sama myśl, która go naprowadziła na odkrycie ujścia stawku, pomogła mu także tym razem. Za mało wody odpływało

wyżłobioną z boku szczeliną. Kiedy dłońmi przytrzymał tę nadwyżkę wody i zaczął nasłuchiwać, usłyszał lekki szum maleńkiego wodospadu po lewej ręce. Tam więc było główne ujęcie. Z łatwością wymacał palcami szparę znajdującą się pomiędzy lewą ścianą korytarza a krawędzią głazu. Z zapalem pochwycił za drąg żelazny i wszczepił szpic stali w szczelinę. Podważył swą dźwignię w jedną i drugą stronę. Odłamał spory kawałek kamienia. Nitka wody płynąca tamtędy stała się sznurem, liną okrętową. Ucieszony Władek podważył gład w drugim miejscu z jednakowo pomyślnym skutkiem. Uchodząca woda szumiała coraz silniej, zwierciadło jeziora obniżyło się o kilka centymetrów.

Ustawszy na chwilę dla wypoczynku, oglądnał się Władek i zdrętwiał.

Ze sterczącego na boku głazu patrzył na niego pustymi oczodołami kościotrup. Szkielet leżał w pozycji półsiedzącej na szerokim, wystającym zrębie skalnym i patrzył na chłopca... Drgnął Władek i przeżegnał się nabożnie. Lecz wnet wróciła mu fantazja junacka. Mruknął półgłosem:

— Ładne mam towarzystwo!... ładna perspektywa!... Ani chybi, że to jakiś mój poprzednik, który też tędy usiłował się przedostać. Że ja go jednak przedtem nie zauważyłem...

Wygłosiwszy ten krótki monolog, zabrał się do roboty ze zdwojoną energią. Z całej siły wbijał ostrze sztaby w wąskie boczne szczeliny i przez ruchy dźwigniowe rozszerzał je dość znacznie, gniotąc na kawałki wyłupane odłamki kamienia.

Nagle rozległ się suchy trzask, plusk i ciemności nieprzebite zaległy grocie, jezioro i korytarz.

Zmartwiał Władek z rozpaczy. Zrozumiał przyczynę... Oto biorąc za duży zamach, drugim końcem łomu stłukł reflektor i żarówkę lampy elektrycznej i strącił ją ze zrębu, na którym stała, do wody.

Mimo, że był zanurzony wciąż jeszcze powyżej piersi, mimo chłodu piwnicznego uczył kropelki potu na skroniach. Ze strachu zagubił gdzieś w ciemnościach swój drąg żelazny i nie mógł go odnaleźć na razie. Trwoga zjeżyła mu włosy na głowie. Zaczął się modlić, kląć, bluźnić i krzyczeć opętańczo. Wymachując rękoma na oślep uderzył się o coś w dłoń boleśnie. To była zbawcza sztaba stalowa. To była ostatnia deska ratunku. Dość wątpliwa deska.

Palcami wymacał szparę dotychczas wyżłobioną, wbił w nią ostrze drąga i szarpnął raz, drugi, dziesiąty... trzynasty... a może setny. Pracował w mrokach. Szedł za bary ze skałą. Na szczęście przez przedłużaną ustawicznie szczelinę woda uchodziła dość żwawo. Teraz zanurzał się ledwie po pachy, a zwierciadło jeziora opadało powoli, lecz stale. Pomimo znużenia nie ustawał Władek ani na chwilę w robocie, podniecając się głośnym monologiem. Nader osobliwym monologiem:

— Pomóż Boże!... Pomóż i ratuj! Widzisz Maryś, to kara boska. Boska, powiadam. Dlatego, że o tobie zapomniałem... dlatego, że ciebie zdradziłem z tą

kobietą... Za to musiałem patrzeć na jej czułości z tą żółtą małpą. Z małpą... gdzie mi się znowu ten drąg wysuwa? O, moje kości!... I dlatego, Maryś, zginę tu marnie w tych podziemiach. Pies o tym nie będzie wiedział. Kulawy pies się nie dowie... Tak, Maryś...

Nagle ustał. Zdawało mu się, że płaski głaz drgnął. Jeszcze kilka rozpaczliwych ruchów, a potem nagimi plecami wsparł się o zaporę. Jedną stopę miał na dnie, drugą oparł o jakąś nierówność w bocznej skale. Rękami i drągiem dopomógł sobie i straszonym wysiłkiem pchnął. Pchnął raz, drugi, trzeci...

Wtem rozległ się trzask straszny. Niskie a rozległe sklepienie oddało takie echo, jak gdyby to nie głupi głaz, ale góra cała runęła. A głupi głaz, podważony systematyczną pracą chłopca i pozbawiony oparcia z jednej strony, padł istotnie zmożony siłą pchającej wody. Władek upadł no niego na wznak. Ogromna fala wody zalała mu twarz, oczy, usta. Chciał się zerwać, nie mógł. Spokojny wodospad zamienił się w oszalały potok rwący i niósł na swym spienionym grzbiecie chłopca, częstych potrąceń o brzegi koryta mu nie żałując. Szczęściem dla Władka korytarz był bardzo wysoki, inaczej musiałby utonąć z braku powietrza. Pędzący potok zwalniał biegu w miarę swego pochodzenia. Masa wody rozdrabniała się na napotkane szczeliny, szpary i stawki. Wreszcie wylądował Władek na jakimś głazie. Podniósł się z trudem, tak był potłuczony. Łokcie miał umazane krwią, czoło i nogi podrapane, lecz pomimo to wszystko radość przenikała go ogromna. Bo oto ciemny korytarz miał zupełnie świeży przewiew powietrza.

Potykać się w mrokach ruszył naprzód przed siebie. Nie zapomniał liczyć kroków półgłosem, i kiedy miał wymówić liczbę trzysta, nagle stanął oślepiiony. Tuż przed nim rozblęśla lampka elektryczna, a w jej świetle zalśnił wyciągnięty ku niemu rewolwer. Trwało to krótką sekundę. Potem rozdarł powietrze wstydlawy głos niewieści: — Ach!!...

Władek obsunął się zemdlony na dno strumyka.

Kiedy odzyskał przytomność, otaczało go osób kilkanaście. Zauważył mundury policjantów amerykańskich. Spostrzegł pochyloną nad nim twarzyczkę kobiecą... Poznał zaraz. Uśmiechnął się i wyszeptał:

— To pani, Miss Brown... Prawda?...

— Tak, ja. Ja pana tak przestraszyłam tam, w tym ganku podziemnym.

— No i siebie... — dodał wesole jakiś głos męski, robiąc aluzję do jej spotkania niespodziewanego z nagim mężczyzną.

Miss Brown odpowiedziała rezolutnie:

— Mister Richardson, pan zapomina, że ja skończyłam medycynę.

We Władka wstąpiła energia. Zwrócił się z szeregiem pytań do znajomej detektywki. Na końcu rzekł:

— Skądże się pani tu wzięła, Miss Brown?

— Przybyliśmy właśnie pana uwolnić. To jest siostrzeniec mister Toma

Raya — przedstawiła chłopca starszemu panu uzbrojonemu w solidny brzuszek i potężne bokobrody.

— What a pleasure!... — ucieszył się właściciel okazałych faworytów.

Miss Brown dokończyła prezentacji:

— Ten pan to jest mister Bartholomew Pomiferous, starszy inspektor policji i dowódca brygady pościgowej.

Białoszyński z wielkim wysiłkiem stłumił w sobie chęć do parsknięcia wesołym śmiechem. Zwyczajem polskich studentów tłumaczył żywcem dosłownie wszystkie zagraniczne nazwiska na język ojczysty. I dlatego wydało mu się trochę mało prawdopodobne, by sympatyczny z wyglądu grubasek, pan inspektor Bartłomiej miał być rzeczywiście *jabłka rodzącym*.

Więc, aby oddalić zdrożną chęć głośnej wesołości, rzekł pospiesznie:

— Spieszcie się! Teraz możecie całą szajką we śnie złapać. Mego strażnika uspiłem z pomocą opium.

Mister Pomiferous rozpoczął urzędowanie z całą powagą należną jego odpowiedzialnemu urzędowi. Spytał leżącego uciekiniera:

— Iluż ich tam jest w sumie łącznej?

Władek uszczypnął się w łydkę dosadnie, aby się znów nie roześmiać. Pan inspektor miał sposób mówieniu tak cukierkowo przyjemny, że chłopcu trudno było odpędzić myśl złośliwą: *Ten powinien czekoladę rodzić, a nie jabłka. Tak słodko mówi*. Lecz głośno odrzekł:

— Poza mną to do dziś były dwie kobiety i czterech mężczyzn. Dzisiaj przyleciało samolotem trzech mężczyzn i jedna kobieta...

— Yae — wtrąciła Miss Brown.

— Tak, Yae.

— A zatem w łącznej sumie dwanaście sztuk mężczyzn, gdyż kobiet nie liczę.

Pan Pomiferous rozglądnął się po swej lotnej brygadzie i myślał głośno a słodko:

— Mam tu dwudziestu czterech policemanów, co daje iloraz dokładny: dwóch na jednego.

— Jak on to szybko obliczył — drwił Władek w myśli.

— Czy pan czuje w sobie sił zapas dostateczny, aby nas zaprowadzić do siedziby tych bandytów? — pytał inspektor.

Władek poczuł w sobie niespożyte siły na myśl, że poprowadzi grubego mister Pomiferousa karkołomnym, wąskim gankiem, kilkukilometrowej długości. Odparł tedy ze szczerym zapalem:

— Poprowadzę panów zaraz, tylko napiłbym się trochę wódki na wzmocnienie.

Świszczący syk wydarł się z piersi zgorszonych policemanów. Ten odruch



zgrozy i oburzenia zdawał się wołać na śmiałka: — *Szaleńcze!! Czyżbyś o prohibicji zapomniał?*

Anielskie oblicze mister Pomiferousa stało się jako polukrowany marcepan. Miodowym głosem powiedział:

— Ustawa rzecz święta, wiadomo. Ale jako zabieg lekarski w konkretnym wypadku można... Owszem można. Pozwalam. Ma tam który flaszczynę jakową?

Jak na komendę poruszyły się dwadzieścia cztery pary rąk i dwa tuziny flach zabłysło w świetle latarni elektrycznych. Sprawnie i po wojskowemu „sprezentowali broń” policjanci, ale kaliber szklanych oręży był bardzo rozmaity. Pan Pomiferous ostrożnie wziął do rąk największą butelkę i rzekł przezornie:

— Zobaczę, czy nie metyl. Mogłoby rannemu zaszkodzić...

Istotnie zawartość flaszki musiała być bardzo podejrzana, bo długo i sumiennie ją badał. Tak sumiennie, że właściciel owej wybranej butelki zaczął dziwnie melancholijnie na swego szefa spojierać.

Władek szedł przodem, człapiąc w długich butach policmana, który pozostał po drugiej stronie górskiego grzbietu wraz z załogą policyjnego samolotu. Poza tym był chłopiec nagi zupełnie, gdyż ubranie zostawił nad stawkiem, gdzie przed dwiema godzinami tak ciężką miał przeprawę. Tuż za nim szedł policeman niosący ogromną latarnię elektryczną. Potem następowała przerwa dwudziestometrowa, za którą z wielkim sapaniem posuwał się imć pan inspektor. Tuż za tym ostatnim drepciała niecierpliwie miss Brown i ciągnął się łańcuch dwudziestu dwóch policjantów. Pochód zamykał agent Richardson. Cała brygada była uzbrojona doskonale, a przykładem świecił sam mister Pomiferous. Ten musiał mieć co najmniej cztery rewolwery przy sobie.

Kiedy Władek dotarł do miejsca, gdzie złożył swój tobołek i kiedy zaczął ubierać górną część garderoby, pan inspektor odsapnął z ulgą:

— To już? Prawda?... — zapytał.

— Zaledwie dziesiąta część drogi... — przesadził umyślnie młody Polak.

Wówczas tak smętne jęki zaczęły wychodzić z ust inspektora, że psotny figlarz pomyślał sobie: *Biedaku!... Co ty dopiero powiesz, kiedy odsunę kamień przy pierwszej pieczarze i strumień zimnej wody chluśnie ci w sam brzuch? Co ty zrobisz, kiedy będziesz się przedzierał przez kolczaste krzaki stawku? Zaiste... nie jako „jabłka rodzący”, ale jako ta wierzba płacząca wyglądać będziesz.*

I słusznie Władek przewidywał, ale wreszcie skończyła się Golgota pana inspektora i „wylądował” na łączce kotliny.

Zaczynało szarzeć. Już można było odróżnić na ciemniejszym tle ogrodu jasne plamy domków.

Mister Pomiferous, poinformowawszy się u Władka o wszelkie szczegóły rozkładu budynków, wydał dokładne rozkazy:

— Mister Richardson, weźmie pan ośmiu ludzi. Proszę obejść dokoła tamtą kępę i skoro wystrzelę, zająć samolot. Pozostawić tam trzech ludzi a z resztą uderzyć od tyłu na te budynki. Ja uderzę na domy od frontu.

To grzmiało groźnie. Zarówno: *ja* jak i *uderzę*. A już najbardziej podobało się Władkowi określenie: *domy*, lecz genialny strateg nie skończył jeszcze:

— Pani, Miss Brown, pozostanie tu, nad stawkiem, razem z mister... mister... Zapomniałem... właściwie...

Zapomniał nazwiska Walkowego.

— Mister White — odpowiedziała detektywka.

— Tak jest. Mister White, pan zechce dotrzymać towarzystwa pani i uważać, aby się tą jamą nikt nie wysunął.

Białoszyński nienawykły do dyscypliny i nieumiejący ocenić wspaniałej taktyki wodza, odważył się powiedzieć:

— O tym przejściu żaden z nich nie wie. Inaczej byliby je zamknęli i ja nie byłbym się nigdy stąd wydostał.

— Możliwe, że nie znali, ale na wszelki wypadek pani tu pozostanie z browniנגiem gotowym do strzału.

Po czym, powtórzywszy raz jeszcze swe instrukcje, tak rzecz zakończył:

— Teraz... Ja wyruszam... a kiedy usłyszycie mój strzał, wypełnijcie ściśle... moje rozkazy... Naprzód za mną!

Poprzez uspioną łąkę i ogród drzemiący posunęła tyraliera policjantów. Władek pozostał wraz z miss Brown nad stawkiem. zaproponował szeptem:

— Może usiądziemy. Jestem porządnie zmęczony. Niech mi pani jednak powie, dlaczego ten wspaniały okaz nie zabrał pani na swą wyprawę, wykonywaną według swoich planów... — przedrzeźniał inspektora.

Miss Brown usiadła obok, wzruszyła ramionami i odparła:

— Trochę mi zazdrości laurów. Moim dziełem było odszukanie kryjówki tych bandytów w Brooklynie oraz w Cleveland. Ja, idąc po śladzie tej Yae, wyszukałam miejsce postoju ich samolotu i w ten sposób przybyliśmy tutaj aż pod Kotlinę Milczenia.

— Więc to się rzeczywiście tak nazywa?

Przynajmniej ludność ją tak nazwała. Prawdopodobnie dlatego, że nikt tu nie zdołał nigdy dotrzeć. To wcale oryginalnie brzmi: *The Silent Kettle Hole*.

— A gdzież to leży właściwie?

— Jak to, pan nie wie?

— Nie mam najmniejszego pojęcia.

— To jest najbardziej na północny zachód wysunięty cypel Sianów.

Znajdujemy się tutaj w Stanie Washington. Tam, w tamtej stronie, płynie rzeka Columbia...

Miss Brown nakreśliła ręką pokaźny łuk w powietrzu i niechcący uderzyła

dłonią Władka w czoło.

— O... przepraszam!

— Przepadło!... Kara być musi!... — Srożył się chłopiec i ucałował rękę młodej kobiety.

— Bardzo miła kara... — żartowała rozweselona.

— Tak? To mogę powtórzyć lub znaleźć bardziej wyrafinowaną... — zaglądnął jej z bliska w oczy.

Odwróciła głowę i szybko przeskoczyła na inny temat. Powiedziała:

— Mister White, muszę panu zakomunikować przykrą wiadomość. Nie tylko ci mężczyźni pójdą za kratki, ale w pierwszym rzędzie miss Mary Teacher.

— Wiem o tym — rzucił krótko, niechętnie.

Detektywka zdziwiła się jego tonem.

— Jak to? Czy los tej kobiety jest panu obojętny?

— Yes, miss Brown. Jest mi ona zupełnie obojętna. U nas, w Polsce, mówią: *Obchodzi mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg.*

— Doskonale przysłowie, indeed... Warto je spamiętać... Ale czy wolno wiedzieć, od kiedy ta zmiana nastąpiła? Przepraszam, że pytam...

— Od dzisiejszego wieczoru. Tak, miss Brown. Jeszcze wczoraj byłem pewny, że kocham Mary... że ona na miłość uczciwego człowieka zasługuje. Potem wylano mi nagle kubel zimnej wody na głowę. Przejrzałem, wytrzeźwiałem, zrozumiałem wszystko i jestem uleczony... Zupełnie uleczony...

— Niech pan daruje mą niedyskrecję, ale czy powodem tego zerwania nie był Japończyk nazwiskiem Hakari Otusawa?

Władek zwiesił głowę ponuro i odparł przyciszonym głosem:

— Tak... on...

— I pan w New Yorku niczego się nie domyślał, kim jest ta para?

— Wtedy nie, inaczej byłbym natychmiast zerwał z Mary. Ale nie mówmy już o tym, co przeszło. Miss Teacher na zawsze wyrwałem ze serca i lepiej nie tykać dość świeżych wspomnień.

Miss Brown odezwała się po krótkiej chwili milczenia:

— Po raz trzeci stwierdzam, że jest pan dzielnym mężczyzną. Inny by się roztkliwił nad takim zawodem, inny by się łamał pod obuchem niespodzianego ciosu, a pan umiał się otrząsnąć szybko. Potrafił pan zapanować nad swym sercem.

Władka mile ujęła ją pochwałą, ale rzekł z udaną skromnością:

— Po raz trzeci?... Nie wiedziałem. Kiedyż to było?

— Pierwszy raz było to wtedy, kiedy pana dzielne wystąpienie ocaliło mi życie. Tam w ogrodzie pańskiego wuja. Bądź co bądź, skoczył pan bez wahania na ratunek osoby obcej zupełnie.

— No... Miss Brown, pani nie jest dla mnie o osobą obcą, lecz...

— Lecz pan nie wiedział, że ten apasz napadł mnie. I naraził się pan na

poważne niebezpieczeństwo, gdyż napastnik nie żałował kul wówczas.

— Miss Brown, proszę przestać, na Boga. Rumienię się od tych pochwał.

— Po raz wtóry podziwiałam pana... — ciągnęła niezrażona detektywka — przed półgodziną, kiedy przechodziliśmy ten podziemny krużganek. Słyszałam, jak pan opowiadał mister Pomiferousowi o swoich pracach przy tych barykadach. Przyjemnie i łatwo się tego słucha, ale ile to trudu kosztować musiało.

— Skończy pani już raz wreszcie ten pean pochwalny? Czy też może mam ponownie ukarać, jak przed chwilą?

— Ha!... zbawcy dużo wolno... — przekomarzała się żartobliwie.

Lecz Władek wziął to za wyraźne przyzwolenie... Za zachętę... Pochylił się silnie ku młodej kobiecie. W tej samej chwili miss Brown chciała coś powiedzieć i odwróciła twarz w stronę chłopca. Nagle jej usta napotkały dziwną przeszkodę. Przeszkodą tą były wysunięte wargi Władkowe. Przytomna zazwyczaj kobieta naraz jakby oniemiała skutkiem zetknięcia się z takim przestępcą. Z tak słodkim przestępcą. I nie cofnęła usteczek, długo... długo...

Nagle dwie spojone pocałunkiem głowy odskoczyły od siebie jak piłki. W ciszy nocy wiosennej huknął strzał, a zawtórował mu zwycięski ryk mister Pomiferousa, który właśnie dawał hasło napadu... Zgiełk i wrzawa napełniły spokojną i uśpioną Kotlinę Milczenia.

## ROZDZIAŁ IX

### Niemile spotkanie w powietrzu

#### I

Na otwartym pokładzie samolotu policyjnego stał Władek, rozmawiając z miss Brown i agentem Richardsonem. Olbrzymi aeroplan nie płynął jeszcze równoległe do ziemi, lecz wznosił się pionowo zupełnie, lotem skowronka. Ogromne śmigła helikoptera furczały tak głośno, że aby dosłyszeć głos sąsiada, trzeba mu było pod same usta podsunąć muszlę uszną.

Nieco poniżej, dokładnie nad samym środkiem Kotliny Milczenia wzlatywał również prostopadle zdobyty przez dzielnego mister Pomiferousa aeroplan złapanej szajki. W jego kabinie znajdowali się więźniowie pod strażą czternastu policjantów. Ale nie wszystkich jeńców tam umieszczono. Hersztów zabrał pan inspektor na pokład samolotu policyjnego. Tu więc znajdował się Hakari Otusawa wraz ze swym sobowtórem japońskim, dalej „komendant” Kotliny Milczenia, Will, wreszcie miss Teacher, której wspaniałomyślnie pozwolono wziąć ze sobą małą Yae.

W obszernej kajucie wielkiego latawca zasiadł słodki mister Pomiferous i przesłuchiwał kolejno przestępców. Dziesięciu policjantów pełniło wartę przy osobie swego skrupulatnego zwierzchnika. Załoga statku była przy motorach.

Więc Białoszyński mógł swobodnie rozmawiać z parą dzielnych detektywów. Tym bardziej, że zazdrosny o swoje laury mister Pomiferous pozbył ich się grzecznie z kabiny.

Miss Brown mówiła właśnie do swego kolegi:

— Pomyśl pan, mister Richardson, że mister White nic nie wiedział o wybuchu wojny z Japonią. Dopiero ja mu opowiedziałam.

Agent z uśmiechem wskazał ręką na otoczoną zwartym pierścieniem skał, malejącą w dole kotlinę i rzekł:

— Nic dziwnego. Przecież to jest The Silent Kettle Hole. Głosy ze świata tu nie dochodzą.

— Zwłaszcza teraz, kiedy wszystkich mieszkańców zabraliśmy, będzie podwójnie milcząca ta ponura kotlina — dorzuciła kobieta; lecz Białoszyński ujął się za pięknym ustroniem:

— Mówcie państwo, co chcecie, ale ja polubiłem to miejsce. Pomimo że przeżyłem tu jedną z najprzykrzejszych chwil życia. Mimo że stałem się bogatszy o jedno bolesne doświadczenie. Ta cisza tak uspakajająco działa na człowieka, że chciałbym tu przyjeżdżać co jakiś czas, by podziwiać tę piękną, a dostojnie milczącą przyrodę...

Miss Brown rzuciła myśl:

— Kup pan tę kotlinę. O ile mi się zdaje, to tereny te są własnością miasta Seattle. Oni chętnie sprzedają takie nieużytki, jeżeli się tylko jaki reflektant trafi. Na ogół jest brak amatorów na romantyczne, a nic nie przynoszące zakątki.

Białoszyński zapalił się do projektu detektywki. Odparł bez namysłu:

— A wie pani, że tak zrobię! Wuj na taki cel, jak kupno nieruchomości, mi chętnie potrzebną sumę pożyczycy.

Agent Richardson wystąpił z nową propozycją. Powiedział:

— Mister White, czy nie byłby pan skłonny przypościć mnie na wspólnika?

— Co?... I pan także?... Żartuje pan chyba, cha! cha! cha!... — śmiał się Białoszyński.

Lecz agent miał minę serio jak nigdy. Poważnie powtórzył swój projekt i tak zakończył:

— Zależy mi niesłuchanie na zrobieniu z panem tego interesu. Powiem więcej... Od zawarcia tego businessu zależy moja... przyszłość cała. Mogę przystać chętnie na czterdzieści procent... niech będzie nawet trzydzieści pięć procent.

— Nie rozumiem doprawdy... — dziwił się Władek.

Richardson z silnymi wypiekami na twarzy mówił gorączkowo:

— Muszę być wobec pana lojalny, więc wyjawię przyczynę mego zamiaru, w tym tunelu, przekopanym przez pana, znalazłem żyłę złota...

— Złota?! — wykrzyknęli tamci dwoje, zaskoczeni niezwykłą nowiną.

— Tak, złota! Ślicznego złota i to nie w piasku, jak mamy na Alasce, lecz w bryłkach. Proszę spojrzeć...

Wyjął z teczki skórzanej kilka różowych kamieni wielkości dużej pięści. Kamienie posiadały matowe żółte żyłki, grube na palec, w niesymetrycznych kierunkach biegnące. Wszystkie trzy głowy pochyliły się nad cennym kruszcem, którego posiadanie rozstrzyga o władztwie nad światem. Agent mówił po chwili dalej:

— Pan odkrył tunel, ja złoto... Dlatego właściwie powinniśmy zostać wspólnikami po połowie... Po pięćdziesiąt procent... ale skoro się panu to widzi za dużo, to, powiedzmy, czterdzieści procent... Co?... Zgadza się pan?

Pod pozorem, że chce się przyglądnąć okolicy, odeszła nagle miss Brown aż

do poręczy pokładu. Dwaj mężczyźni spojrzeli na nią a potem na siebie.

Richardson przysunął się bliżej do młodego Polaka i rzekł:

— Widzi pan, zdobycie majątku umożliwi mi osiągnięcie dwóch celów najważniejszych. Jednym jest porzucenie niebezpiecznej służby przy policji i zapewnienie sobie bytu dostatniego na całe życie, a drugim... poślubienie miss Brown, którą kocham a która mnie także kocha...

— Kocha pana... — wyrwało się jakoś niezgrabnie Władkowi.

— Yes, mister White. Chociaż nie mówiłem z nią nigdy o tym, ale czuję, że tak jest w istocie.

Białoszyński zamyślił się na dłuższą chwilę. Jednakże ten agent był uczciwym człowiekiem. Mógł mu nic nie wspominać o olbrzymim odkryciu, mógł pojechać do Seattle i uprzedzić Władka w tanim kupnie tych bogactw ukrytych. Białoszyński zdecydował się szybko...

Wziął pod ramię agenta i doprowadził go do miejsca, gdzie stała miss Brown. Rzekł z miną sztucznie poważną:

— Mister Richardson, pańska propozycja jest dla mnie nie do przyjęcia... w tej formie... Tak!... Zapomniał pan o trzeciej osobie, dzięki której przybył pan do Silent Kettle Hole. Tą osobą jest nasza sympatyczna miss Brown. Wobec tego przystaję tylko na zawiązanie takiej spółki, w której każde z nas trojga będzie miało równy udział... Jedną trzecią miss Brown, jedną pan, a resztę ja... Zgadza się pan na to?...

Twarz agenta, rozczarowana pierwszymi słowami Władka, rozjaśniła się uśmiechem szczerzej radości. Odpowiedział z zapalem:

— Oczywiście, że się zgadzam, i dziękuję panu serdecznie za właśnie takie rozwiązanie problemu... — Richardson widział się już w myślach mężem młodej detektywki i właścicielem dwóch trzecich kapitałów spółki.

Białoszyński był także w doskonałym humorze. Żartował wesoło i starał się rozruszać miss Brown, która stała się nagle milcząca:

— Witam w pani naszą współpracowniczkę... Niech żyje spółka Brown, Richardson i White... Doskonałą myśl miałem... Gdyby nas było tylko dwóch wspólników po pięćdziesiąt procent, to jeden nie mógłby przegłosować drugiego, a tak miss Brown będzie jęczyciem u wagi... Ha! Co ja nieszczęsny zrobię? Już widzę, że się połączycie przeciwko mnie...

— Z czego pan to wnosi? — zapytała.

— Ponieważ jesteście oboje jasnymi blondynami. Ja mam czarną czuprynę. Tak mister Richardson... Może pan śmiało liczyć na dwie trzecie głosów za sobą...

Ale Richardson zapatrzył się w dal i nie słyszał ostatniego zdania. Natomiast miss Brown przysunęła się bliżej do Władka i powiedziała znacząco:

— Pańskie przypuszczenie jest zbudowane na bardzo kruchych podstawach. Ludzie mówią, że właśnie kontrasty się... przyciągają.

Władek nie odpowiedział nic. Nie chciał odpowiedzieć po wyznaniu agenta. Udawał, że patrzy także w dół. Helikopter przestał przed chwilą pracować, natomiast trzy śruby potężnych motorów poszły w ruch i rozpoczęły swą hałaśliwą robotę. Samolot zbliżał się szybko do szczytu wschodniej ściany zamykającej kotlinę. Białoszyński, chcąc uniknąć wyraźnej odpowiedzi na niedwuznaczne ostatnie słowa miss Brown, rzekł z komicznym patosom:

— Żegnaj mi cicha Kotlino Milczenia!

Kobieta spojrzała mu w oczy poważnie i powiedziała powoli, z naciskiem:

— Żegnaj łączko, nad stawkiem uroczym!

I znów chłopiec udał, że nie słyszy.

Co mu się stało? Myślałam, że chociaż popatrzy mi w oczy na znak, że zrozumiał, że pamięta... — biedziła się w duchu rozmaitymi przypuszczeniami. Potem przyszło jej na myśl, że może wspomnienia tej Teacher go tak zasmuciły, więc zmieniła szybko temat rozmowy.

— Ten łańcuch górski, od którego się oddalamy, to góry wodospadów. Ciągną się one przez całą wschodnią część stanu Oregon i Washington. Tam po drugiej stronie leży Seattle, gdzie będziemy musieli się udać, aby podpisać kontrakt kupna terenów. Niech pan spojrzysz przed siebie... — wskazała mu ręką inną część górzystej okolicy. — Niech pan spojrzysz przed siebie! Ten kolos masywny to Mount Rainier. Wznosi się on, o ile pamiętam, na przeszło cztery tysiące czterysta metrów ponad poziom morza. My lecimy teraz na wysokości prawie pięciu kilometrów... Ładna wysokość, prawda?... Tam, po drugiej stronie góry, zobaczymy Kolumbię, która płynie poprzecznie do naszej drogi.

— Zobaczymy albo i nie zobaczymy, bo pod nami zaczynają się kłębić chmury... czy też mgła gęsta... Ale ten zdobywczy samolot ma lepsze motory. Widzi pani?... Wyprzedził nas o dobry kilometr.

Miss Brown roześmiała się nagle:

— To nie zasługa motorów. Taki rozkaz dał pan inspektor. Tamci mają lecieć przed nami. Jaki powód miał, dając takie zlecenie, tego nie wiem.

— W ogóle niezbadane są tajniki jego genialnych pomysłów. Miałem to sposobność zaobserwować wczoraj — dorzucił wesoło Władek.

Nagle chwycił swa towarzyszkę za rękę. Zawołał:

— Patrzcie! on kołuje!... Co to?... Drugi samolot... O!... proszę!... Daje jakieś sygnały świetlne... Widzi pani?

Spojrzenia trzech osób pobiegły w kierunku, gdzie zataczał koła aeroplan, na którym pod strażą czternastu policjantów jechali członkowie bandy szpiegowskiej złapani tej nocy. Także załoga latawca policyjnego zauważyła niezwykle ewolucje kolegi i spostrzegła tajemniczy samolot, który wypłynął spoza szczytu Rainiera i zagroził drogę lecącym. Za chwilę zjawił się na pokładzie mister Pomiferous i począł wydawać swoje „genialne” rozkazy. Wtem z budki aparatu iskrowego



wypadł telegrafista, potrząsając wąskim paskiem co dopiero odebranej depeszy. Mister Pomiferous pochwycił taśmę papieru i przeczytał:

*Zawrócić oba samoloty natychmiast na zachód. Lecieć przed nami. Inaczej zestrzelimy!*

Wszystkie trzy aeroplany stały teraz w miejscu, unosząc się w powietrzu dzięki pracy helikopterów. Dwa samoloty z więźniami i policją znajdowały się od siebie w odległości jakich dwustu metrów i tworzyły niejako podstawę trójkąta równoramiennego, którego szczytem był złowrogi ptak połyskujący w promieniach rannego słońca blachami swoich pancerzy. Tajemniczy latawiec wisiał na jakie pół kilometra przed aeroplanami policji.

Zaczęła się wymiana sygnałów optycznych:

*Jakim prawem nas zatrzymujecie. Jesteśmy brygadami policji nowojorskiej*

grzmiał srogo pan Pomiferous, lecz tamci kpili najwidoczniej, bo odpowiedzi mu w tym sensie:

*Doskonale się składa w takim razie. My jesteśmy krążownikiem powietrznym cesarza Japonii. Jechać zaraz na zachód. Czekamy jeszcze dwie minuty. Potem spadniecie na łeb.*

Pan inspektor osłupiał zupełnie, lecz w tej chwili zdarzyła się druga niespodzianka. Drugi samolot policyjny puścił wszystkie cztery motory w ruch. Cztery śruby warknęły wściekle i poniosły ptaka z szybkością wichru w kierunku południowo-wschodnim... Uciekał widocznie... Japończycy nic spieszyli się zbytnio. Rzucili sygnał ostrzeżenia:

*Zawróć w tej chwili lub zlecisz!*

Zbieg nie odpowiadał, tylko gnał jak szalony. Wiatr donosił wyraźnie warkot jego potężnych motorów. Już musiał zrobić ze dwa kilometry drogi... a potem zaszło coś bardzo dziwnego. Coś strasznego zarazem. Nie padł żaden strzał. Nie rozdarł powietrza żaden huk eksplozji. Pomimo to uciekający latawiec wywinął kozła niezgrabnego... Jego cztery motory zamilkły jak porażone piorunem. Cztery śruby stanęły jakby zatrzymane ręką olbrzyma.

To fale Wooda dosięgły swą ofiarę... Zabójcze promienie Wooda.

Przeszła chwila ciężka... smutna... Koziółkując gwałtownie w powietrzu, leciał olbrzymi samolot ku ziemi z szybkością pocisku. Wnet znikł w tumanie

mgły... Znikł dla oczu patrzących... Roztrzaskał się zapewne gdzieś o skały lub porwały go bystre nurty Kolumbii...

— Biedna Utah!... pocziwy Sam... — westchnął Władek, myśląc o strasznej śmierci pasażerów niefortunnego zbiega.

Japończycy dali sygnał nowy:

*Czy was to przekonało? Jechać zaraz na zachód, inaczej zrobimy wam to samo!*

— Zakręcaj natychmiast na zachód! — krzyknął przekonany już zupełnie mister Pomiferous na mechanika policyjnego samolotu.

\* \* \*

W dwie godziny później, kiedy mgła ustąpiła, oczom grupy osób zebranych na pokładzie samolotu ukazały się spienione grzywy fal morskich. A groźna eskorta płynęła uparcie z tyłu, w odległości kilkuset metrów, i z pomocą sygnałów regulowała kierunek i wysokość lotu jeńców. W pewnej chwili przysłała taki rozkaz:

*Skręcić na północ! Obniżyć lot na pięćset metrów!*

Tak lecieli znowu z godzinę. Wreszcie Władek, który miał wzrok najlepszy, trącił obok stojącą miss Brown i zawołał:

— Patrzcie tam!... Jeden, dwa, trzy, cztery... cała flota.

Rzeczywiście na jaśniejszym tle wody wykwitły czarne, wąskie kreski. W miarę pędu aeroplanu pierwsze rzędy owych linijek rosły a następne, dotychczas niewidoczne, wyrastały jakby spod wody... A dalej na północ ukazała się na falach nieprzejrzana ilość błękitnych ważek-świtezianek... To wielkie samoloty-pancerniki pomalowane na kolor nieba. Teraz można już było odróżnić flagi japońskie.

Urzednicy policji nowojorskiej zdziwili się bardzo nieprzyjemnie:

— Jak to? Oni już tutaj? Naprzeciw brzegów angielskiej Kanady?... O pięćset lub siedemset kilometrów od granicy Zjednoczonych Stanów kołysze się bezkarnie olbrzymia flota Japonii?... Flota morska i powietrzna?... Co robią nasze latawce i krążowniki? Gdzie nasza służba wywiadowcza?... — padały gorączkowe pytania załogi latawca wziętego w jasyr.

Groźna eskorta przysłała nowy sygnał:

*Opuścić się na morze! Czekać rozkazów!*

Czerwony jak burak mister Pomiferous podszedł do sternika i rozkaz powtórzył. Stanął motor jeden, drugi i trzeci... Wysunęły się olbrzymie pływaki gazem napełnione. Koła podwozia uniosły się w górę automatycznie. Aeroplan przekształcił się w hydroplan podczas biegu i lotem ślizgowym opadł na fale Pacyfiku.

W tej samej chwili odprysły drzwi kabiny i wypadł stamtąd Hakari Otusawa ze swym sobowtórem i z Willem. Wszyscy trzymali w rękach odebrane policjantom rewolwery. Zdołali skutecznie rozbroić część straży, korzystając z ogólnego zamieszania.

— Ręce do góry!! — krzyknął herszt po angielsku, mierząc w stronę stojącej na pokładzie grupy.

Najspieszniej i najsprawniej wykonał ten rozkaz mister Pomiferous. Za nim poszło paru detektywów i Władek. Otusawa tryumfował głośno:

— Zmieniły się role. Teraz wy jesteście moimi więźniami.

Nie wiedzieć dlaczego, przypomniało się Białoszyńskiemu w tej chwili przysłowie nieśmiertelnego Zagłoby: *Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma*. I pomimo grozy położenia uśmiechnął się wesoło.

Napastnicy zwiążali jeńcom ręce na plecach i postawili Willa na straży.

Od strony olbrzymiej floty japońskiej gnały pędem szalonym trzy łodzie motorowe pełne uzbrojonych maleńkich, skośnookich marynarzy. Furczały na wietrze chorągiewki japońskie.

— Banzaj!!... Banzaj!!... — ryczał Otusawa, powiewając czapką na powitanie rodaków.

W otwartych drzwiach kabiny samolotu stanęła blada jak śnieg a piękna jak posąg dłuta mistrzów helleńskich... miss Mary Teacher.

Smutne, lęklive oczy podniosła na Władka.

## II

Marysia siedziała przy oknie...

Był ciepły wieczór czerwcowy. Tam w dali... wysoko, błyszcząły słabe światełka. To z chat wioski góralskiej migotały te robaczki świętojańskie. Od strony stawku i grobli dolatywał rechot i kumkanie żab.

Przez otwarte okno dworku wpadał co chwilę powiew miłego wietrzyka. Czasem wietrzyk przyniósł upajającą woń kopic siana stojących na łące niedawno skoszonej. Czasem wesoło zatrzepotał białymi, skromnymi firankami i figlarnie poigrał z puszystymi włosami dziewczyny. A niekiedy wpędził do izby komara lub

ćmę nocną, która zaraz ku lampie frunęła.

Elektryczna żarówka nie czyniła ćmom krzywdy nijakiej. Nie opalała im skrzydeł, jak świeca, nie zwęglala ich na popiół, jak dawne lampy naftowe, wiecznie kopzące. Więc roje skrzydlatych owadów latały koło niegroźnego źródła jasności. Cienie tych motylów nocy swawolnie igrały na białej ścianie.

Marysia smutnie główkę zwiesiła... Niewesołe myśli opadły znowu jej serce. Opadły tak, jak to stadko owadów świecąca żarówkę lampy. O!... nie tak, lecz stokroć natarczywiej!

I inna była jeszcze różnica. Oto kiedy na dworze była słota, skrzydlaci napastnicy pokryli się gdzieś wśród gęstej zieleni poszycia. Ich ofiara miała spokój w ten wieczór... I kiedy dziewczyna przekreśliła taster lampy, owady zniknęły... A Marysi było zawsze jednako smętnie na sercu. Deszcz na szybach dzwoniący podwójnie ją wtedy rozstrajał. Przypominał jej chwilę rozstania.

Westchnęła ciężko:

— O, jakże prędko zapomniał o mnie — myślała i perełki łez czystych zakreśliły się w kąciakach oczu wielkich, głębokich... Potem liczyła na palcach...

— Z drogi przysłał trzy kartki... Z New Yorku jeden list... A potem jeszcze dwie krótkie widokówki... i to wszystko... Jak wyjeżdżał, to obiecywał co dnia do mnie pisywać... Zapomniał... Zapomniał Władek widocznie...

Skrzywiły się śliczne, drobne usteczka jak do płaczu serdecznego.

— Jak on mógł!... jak mógł!... Żeby też nic mi nie odpisać w takiej chwili!... Przecież mój list dostać musiał... Wie, co się stało... i nic...

I słusznie Marysia wyrzuty chłopcu czyniła. Powinien był jej odpisać na list z tą bolesną wiadomością... Powinien był przysłać kilka słów pocieszenia. Bo wielka zmiana zaszła w życiu Marysi...

Ubóstwiany ojciec, który jej matkę dawno zmarłą najtkliwiej zastąpić umiał, zginął nagle skutkiem nieszczęśliwego wypadku w lesie państwowym. Marysia dostawała wprawdzie marną pensyjkę, ale mieszkanie musiała zaraz opuścić. Wprowadził się tam do niego nowy leśniczy rządowy, który za bezcen kupił od dziewczyny skromne pozostałe mebelki.

Marysia musiała poszukać zajęcia... Po tygodniu przyszła na anons jedyna odpowiedź. Pan Henryk Feiler, właściciel resztówki w Stawiskach i dzierżawca tartaków państwowych, poszukiwał bony do swego siedmioletniego jedynaka.

Z wielką radością wysiadła Marysia z pociągu w Chabówce. Z wielkim zapalem wgramoliła się na wysoką brykę, która po nią na stację przybyła. Pełna najlepszych chęci wyobrażała sobie, jaką wyręką będzie dla żony pana Feilera. Jak pokocha jego synka małego.

Lecz wnet przyszły rozczarowania...

Żona Henryku Feilera mieszkała od trzech lat w stolicy. Niezgodne charaktery małżonków doprowadziły do rozwodu... Jeszcze gorszy zawód zrobił

Adaś. Malec był krnąbrny, zuchwały, leniwy. Kłamał co minutę. Cały swój spryt wysiłał na platanie złośliwych figli miękkiej, łagodnej guwernantce... A pan Feiler?...

Pan Feiler nigdy większej przykrości Marysi nie wyrządził... To prawda. Był szorstki, ale taką już miał naturę. Na wszystkich grzmiał od świtu do nocy. Do tego dziewczyna szybko przywykła.

Lecz co innego ją mieszało i napawało niewytłumaczonym strachem... Tym czymś były oczy chlebowadcy. Te oczy nie schodziły wprost z postaci młodej guwernantki... Mierzyły ją badawczo za każdym spotkaniem. Czy w jadalni przy wspólnych posiłkach, czy na spacerach, które z Adasiem odbywała, czy podczas lekcji w pokoju jedynaka... Te oczy przewiercały ją do głębi... mówiły, coś... pytały mową bezsłowną!

— Czego on mi się tak przygląda?... — pytała się często w duchu, nie odgadując prostej przyczyny.

Później chlebowadca zaczął jej podawać rękę na przywitanie lub wieczór na dobranoc... I znów dziwne uczucie trwogi oplotło serce Marysi siecią pajęczą... W tym uścisku dłoni tkwił jakiś wyraz. Kryło się jakieś znaczenie dla niej niezrozumiałe.

\* \* \*

Podniosła się Marysia z krzesła. Podeszła do wiszącego na ścianie zegarka. Zdziwiła się:

— Dopiero dwudziesta pierwsza?... Tatuś mawiał zawsze, że dziewiąta... — uśmiechnęła się smutnie na wspomnienie zmarłego ojca.

Potem znowu zasiadła przy oknie... Znowu myśli jej za Władkiem pobiegły.

Tam teraz wojna podobno... Tak piszą w dziennikach. — Marysi nie przejmował lęk o jakiś wypadek. Wiedziała z geografii, jak daleko New York leży od Japonii. Zresztą gazety głosiły, że tylko na Filipinach się biją, więc Władek był bezpieczny zupełnie... I dlatego powinien był znaleźć wolniejszą chwilę, by napisać słów kilka.

Nagle Marysia drgnęła...

Popod jej oknem szedł ktoś po cichu. Ujrzała żarzące się światełko cygara i poznała natychmiast. To pan Feiler odbywał przechadzkę po ogrodzie... Zobaczył ja snadź także, bo zatrzymał się i rzekł:

— Pani nie śpi jeszcze?

— Nie, proszę pana. Ale zaraz spać pójdę — zapewniała lękliwie. Sądziła, że chlebowadca gniewa się o długie „niepotrzebne” marnowanie elektryki, jak zwykł był mawiać. Pan Feiler był bardzo oszczędny, zwłaszcza w drobiazgach. Ale

omyliła się Marysia tym razem, bo przemówił nadspodziewanie łagodnie:

— To doskonale, że pani nie śpi. Chcę z nią pomówić... o Adasiu. Proszę ładnie zgasić światło (elektryka jest bardzo droga) i proszę przyjść zaraz do mego gabinetu.

Nie czekając odpowiedzi, odszedł szybko spod okna. Marysi serce zabiło gwałtownie. Co on mi chce powiedzieć? Pewnie wypowie posadę... — myślała, idąc z wielkim strachem na tę nocną konferencją z ojcem Adasia.

Kiedy weszła do gabinetu, pan Feiler już siedział przy biurku. Stojąca wysoka lampa rzucała światło dość jasne, pomimo ciemnozielonego abażuru, który ją przysłał. Młoda guwernantka stanęła przy drzwiach w pozycji bardzo pokornej i czekała na pierwsze złowrogie zapewne słowa.

— Proszę bliżej... Tak... Tu pani zechce usiąść!... — poprosił nader kategorycznie.

Marysia podeszła nieśmiało i przysiadła lekko na wskazanym fotelu. Ale miękka skóra i zhuśtane sprężyny starego grata ugięły się zdradziecko i sylwetka dziewczynki utonęła zupełnie w tym wygodnym siedzeniu.

Pan Feiler chwilę przypatrywał jej się uważnie, po czym z nagłą zaczął:

— Pani ma za słabą rękę do Adasia. Dotychczasowa metoda pani jest zupełnie niewłaściwa. Tego chłopca trzeba trzymać krótko... Bardzo krótko...

Przeczuwałam, że wylecę... — pomyślała dziewczyna, struchlała z obawy o utratę miejsca.

Chlebodawca ciągnął dalej:

— Dzieciak jest zły i uparty. Charakter odziedziczył po matce. To żywy portret matki... niestety...

Guwernantka zadziwiła się nieco tym wynurzeniem. Zadziwiła się tym bardziej, że przypomniała sobie w tej chwili słowa Marcinowej. Stara kucharka nie miała nigdy dosyć słów na pochwałę żony pana Henryka. Miał to być anioł-kobieta. Ta Marcinowa także mawiała często o Adasiu: *taki sam diabeł, jak jego ojciec*. Więc pytająco spojrzała Marysia na siedzącego naprzeciw i słuchała jego słów w milczeniu.

— Tak, pani musi trzymać Adasia bardzo krótko! Nie żałować kar! Nie cofać się przed chłostą... Najlepiej się do tego nadaje różga... bo trzcina można łatwo wybić oko, kiedy taki urwis zacznie wierzgać... — wygłosił pogląd fachowy na swą ulubioną metodę wychowania.

Marysia odważyła się bąknąć:

— Ja jeszcze nikogo w życiu nie uderzyłam. Nawet psa ani konia. Nie wiem, czy potrafiłabym uderzyć takie dziecko... takie dobre dziecko... — poprawiła się i ucieła zmieszana beznadziejnie swą odwagą.

Pan Feiler pomyślał w duchu, że Marysia ma dobre serce i że dobrze o tym wiedzieć, ale na razie pozostał wierny swym poglądom:

— To trudno, proszę pani! Jeżeli się chce być guwernantką, to przede wszystkim trzeba się umieć zastosować do życzeń swych chlebodawców. Rozumie pani?

— Ro...zu...miem — odparła cichuteńko.

Nastała chwila milczenia. Marysi się zdawało, że chyba już z kwadrans tak siedzi tutaj i że czas odejść do swojej izdebki. Podniosła swe zalęknione źrenice i spotkała jego oczy. Te szare, stalowe oczy przewiercały ją na wylot i znów coś mówiły... mówiły... Potem ześlizgnęły się na jej małe piersi rysujące się może zbyt wyraźnie pod ciasną bluzką... na jej szczupłe nogi...

Jakby na jaką komendę wstali oboje. Feiler podszedł do niej. Rzekł jakimś nie swoim, matowym głosem:

— Źle pani wygląda... Tak blado... Proszę mi podać rękę... Zbadam puls...

Nie czekając jej ruchu, sam pochwycił w swą wielką łapę jej drobną, wąską dłoń. Udawał, że liczy uderzenia pulsu i tymczasem drugą ręką gładził jej szczupłe paluszki. Badanie tętna trwało dziwnie długo... Pomimo wszystko pan Feiler był podszyły tchórzem.

Zacząłowałbym cię na śmierć — myślał, kiedy dotykał tej aksamitnej skóry dziewczyny, a równocześnie bał się ogromnie. — Wygląda niby niewinnie, ale kto wie, jaki w niej diabeł siedzi? Może zrobić skandal... Może cię później szantażować... Daj spokój, Henryk. — szeptał głos przezorności. Tej osławionej przezorności pana Feilera. Więc puścił jej rękę i poklepał ją poufnie. Silił się na ton żartobliwy, naturalny.

— No, nie jest najgorzej. Tylko dlaczego nie nosi pani tej granatowej sukienki?... Pani trzeba dużo słońca, a w takim habicie, jak ten, trudno się opalić. Nie ma nic zdrowszego jak króciuteńkie rękawki i dekolt... Rozumie pani?

— Tak, proszę pana... Wezmę jutro tę granatową...

— To dobrze. Tylko niech mi pani Adasia krócej trzyma... Tak... Co ja to chciałem jeszcze powiedzieć? Hum... — znowu mu się głos zmienił. — Aha! Chciałem powiedzieć, że to musi być strasznie miło mieć taką córkę jak pani... Mówiłbym jej *Marysiu kochana*... Prawda, jak to ładnie brzmi? Co?... Kochana Marysiu!...

Dziewczyna była tak zaskoczona, że nie zdołała wykrztusić ani słowa. Pierwszy to raz dzisiaj widziała swego chlebodawcę w tak łaskawym humorze. A niezwykle rozgadany tego wieczora pan Feiler monologował w dalszym ciągu:

— Rzeczywiście, że to byłoby rozkoszne. Ot, przyszłaby tu do mnie co wieczora i powiedziałyby: *Dobranoc najdroższy... papo*. A ja bym ja objął, o tak... — tu mocnym ramieniem opasał kibić przestraszonej dziewczyny. — Objąłbym ją i rzekłbym: *Śpij dobrze, moja słodka Marysiu*. Potem nachyliłbym się nad nią i ucałowałbym ją w... czoło...

Zanim mogła się uwolnić z uścisku, już przyłożył swe grube, mięsiste wargi

do jej gładkiego czółka i wycisnął na nim gorący pocałunek. Potem cofnął się zdumiony własną odwagą... Marysia opuściła ręce bezwładnie wzdłuż tułowia. Oczy wbiła w ziemię... Straszliwie ponętna była w tej swojej słabości bezbronnej. Strumień gorącej krwi nabiegł do głowy mężczyźnie. A razem ze wzrostem pokusy zwiększał się też strach przed skandalem... i zwyciężył.

Jak odrzucony sprężyną cofnął się pan Feiler w tył pokoju i stanął poza swym biurkiem. Skinął głową na pożegnanie. Rzekł głosem dość pewnym i opanowanym:

— Dobranoc, panno Marysiu!



## ROZDZIAŁ X

### Powietrzna flota japońska

#### I

We wspinałym gabinecie miliardera Toma Raya siedziało kilku starszych gentlemanów. Twarze ich były skupione i poważne. Jakaś wielka troska zasępiła ich czoła. Jakaś zmora przyczaiła się snadź w kącie pokoju i swe niewidzialne macki polipa owinęła dokoła serc zadumanych starszych panów...

Tylko czasem któryś z nich sięgnął po stojącą przed nim japońską filiżaneczkę arabskiej mokki. Tylko niekiedy ten lub ów podniósł cygaro do ust i puścił kłęby szaro-niebieskiego dymu przed siebie.

Cisza zaciążyła wszystkim, lecz nikt przerwać jej nie chciał... czy nie mógł... Aż po dobrym kwadransie poruszył się jeden z nich. Lekko klepnął wyciągniętą ręką głębokie oparcie fotela i zaczął mówić powoli z odstępami:

— Nie jest dobrze, ale nie jest znowu źle... Yes. Filipiny straciliśmy, to prawda. Straciliśmy na razie... Yes. Połamali... powiadam...

— Tak pisze **nasza** prasa, panie senatorze... — rzucił sceptycznie mały, tęgi pan, akcentując wybitnie słowo *nasza*.

Był to mister Grill, jeden z najpoważniejszych udziałowców Bankers Trust Company. Lecz gospodarz ujął się za prasą:

— Nie, czcigodny kolego. Tego powiedzieć nie można. Dzienniki piszą prawdę. Ma pan dowód choćby w tym całkowitym przyznaniu się do utraty naszych Filipin. Ma pan dowód w dzisiejszej niewesołej nowinie. Przecież piszą wyraźnie, że flota Pacyfiku została rozbita i...

— No, mister Ray. Została pobita, a nie rozbita... Yes. To bardzo wielka różnica... Yes... — sprostował senator O'Connor.

— Niech będzie i tak... — uśmiechnął się gospodarz, skłonny do kompromisów jak każdy Polak. — Niech będzie i tak... — powtórzył. — Wiemy z dzisiejszych dzienników, że nasze okręty wojenne cofnęły się aż do brzegów Sandwichów i tam skutecznie dopomogły do odparcia ataku japońskiego. Skoro

zatem prasa przyznała się otwarciu do takich klęsk jak utrata Filipin... jak rozbicie... to jest chciałem powiedzieć... pobicie floty Pacyfiku... to nie mamy powodu także wątpić w pomysły wiadomości. Przeciwnie, powinniśmy je szerzyć jak najgłośniejszy, aby tępić pesymizm i przygnębienie wśród tłumów.

— You are right, mister Ray... Yes. Pan jest Polakiem z pochodzenia, a więcej u pana dostrzegam patriotyzmu niż u niektórych rodowitych obywateli amerykańskich... Yes, yes... Znacznie więcej.

Senator O'Connor zezwalał znacząco w stronę maleńkiego i pulchnego bankiera. Tego jednak zupełnie nie zmieszały wyraźne aluzje. Gestykulując żywo rękoma, rzucił nowe ziarna sceptycyzmu i obawy:

— Skoro tak uważnie czytaliście dzisiejsze komunikaty, to powiedzcie mi, czy nie uderzył was pewien ciekawy szczegół... Bardzo ciekawy szczegółik...

— Mianowicie? — rzucił ktoś.

— Mianowicie to, że naszą klęskę na morzu, spowodował w pierwszej linii atak flotyli powietrznej japońskiej... Co? Zauważyliście?

— Owszem, ja zauważyłem... Yes. Co pan w tym niezwykłego upatruje, mister Grill?... Nie pojmuję?... Yes...

— Co w tym upatruję?... Naszą porażkę na całej linii. Naszą przegraną. Tak, panowie... Co robiły nasze sławetne aparaty Wooda?... Przecież każdy okręt wojenny, każda łódź podwodna, każdy torpedowiec ma ich co najmniej cztery sztuki na pokładzie... Tak brzmiały zapewnienia admiralicji... Skoro zaś tak, to każdy bez wyjątku nieprzyjacielski samolot powinien bęknąć w morze, skoro się znalazł w strefie działania tych niby genialnych promieni... Tak, panowie... Tymczasem flota powietrzna Japonii zdecydowała o naszej porażce...

— Hm... Może rzucali bomby z bardzo wysoka?... — przypuszczał gospodarz nie mający żadnego pojęcia o sile i długości promienia fal Wooda... Ale tłuściutki bankier puścił już młynca krótkimi łapkami i krzyczał jak na mityngu:

— Nonsens, mister Ray!... Nonsens powtarzam! Promienie Wooda paraliżują każde magneto motoru spalinowego w promieniu dwunastu do piętnastu kilometrów... Yes, to bardzo wysoko. To grubo nad chmurami... Stamtąd można bombą trafić w Pacyfik, ale nigdy w okręt wojenny.

Senator O'Connor przyznawał w duchu rację pesymiście, ale nie wypadało mu tego głośno przyznawać. Więc rzekł tonem na pozór zupełnie obojętnym:

— Jak pan zatem tłumaczy sobie słowa oficjalnego, urzędowego komunikatu, mister Grill?

Mały bankier zrobił minę obleśnie chytrą i odparł przyciszonym głosem:

— Jesteśmy tu w swoim gronie. Mówić otwarcie można, więc powiem. Tak, powiem, panowie... Są tylko dwie hipotezy, które mi tę zagadkę tłumaczyć mogą... Tylko dwie...

— Mówże pan jakie.

— Po pierwsze... — Mister Grill prawą ręką pochwycił kciuk lewej i groźnie potrząsnął tym tłustym serdelkiem. Mówił: — Po pierwsze można przypuścić. Że na naszych pancernikach w ogóle aparatów Wooda nie ma lub też są takie graty, że lepiej je w wodę rzucić, a nie wozić niepotrzebnego balastu... Możemy przypuścić... zaznaczam wyraźnie.

Senator zaczerwienił się i zabrał głos:

— Nonsens... teraz ja powiem nonsens, mister Grill... Yes. Pan przypuszcza, że nasza admiralicja skradła pieniądze wyasygnowane na instalację tych wspaniałych aparatów... Yes...

— O, przepraszam, panie senatorze... Tego nie powiedziałem — zastrzegł się pesymista i rękoma wykonał płaski ruch negacji.

— Tego pan nie powiedział głośno... Yes... Ale tak pan sądzi... Yes. Mogę pana zapewnić, że jest pan w błędzie. Uczestniczyłem z ramienia senatu w ostatnich manewrach naszej wspaniałej floty Pacyfiku... Yes... Oglądałem naocznie działalność zabójczą tych fal elektromagnetycznych... Przy mnie zatrzymano z ich pomocą w odległości jedenastu kilometrów pędzące łodzie motorowe. Yes... Przy mnie strącano hydroplany z takiej wysokości, że tylko lornetą można je było dojrzeć... Yes... Ja widziałem przy robocie aparaty Wooda i mogę pana zapewnić, że wszystkie są dobre... Yes.

Bankier znów puścił zawrotnego młynca gestów i mówił bardzo szybko:

— Ha, jeśli tak, to moja pierwsza hipoteza upada... Słowami pana senatora ucieszyłem się podwójnie... Yes, Sir... podwójnie... Raz jako patriota, a po wtóre jako obywatel podatnik płacący ciężkie daniny... Jako obywatel, który chce mieć przekonanie, że jego krwawica będzie użyta rzeczywiście dla celów państwowych... Że nie utonie w kieszeniach oszustów, dostawców i łapowników, jak się to nieraz zdarzało... niestety...

Gospodarz przerwał drażliwy temat:

— A druga hipoteza?

— Druga jest ta, że Japończycy wynaleźli jakieś antidotum na nasze promienie Woodowskie. Być może, że potrafili wybudować motory obywające się zupełnie bez magnetów, że iskrę zapalającą gazy w rozpylaczu wydaje inne jakieś źródło niż dotychczas. Być może, że odkryli jakieś inne fale, które paraliżują działalność fal Wooda, albo też wynaleźli ochraniacze chroniące ich motory przed działaniem naszych fal Wooda. Nie znam się na tym zupełnie, ale rzeczą naszych wynalazców, naszych uczonych było to umieć przewidzieć... Dowodzi to ich niedołęstwa, że pozwolili się wrogom wyprzedzić. Ale już karygodna jest ospałość i nieudolność naszego wywiadu w Japonii, że nie potrafił dotychczas odsłonić rąbka tej najważniejszej tajemnicy wojskowej... Tak panowie. Nie trzeba było odrzucać ultimatum, skoro się nie miało nawet odpowiedniego uzbrojenia, aby sprostać wymaganiom dzisiejszej techniki wojennej...

Senator O'Connor oburzył się szczerze:

— Powinien pan wiedzieć, mister Grill, że Japończycy rozpoczęli kroki wojenne, nie czekając naszej odpowiedzi... Yes. Postawili nas wobec faktu dokonanego... Yes, mister Grill.

Ale bankier nie wyczerpał jeszcze swego kołczana strzał zatrutych:

— Czy tak, czy owak, flota napowietrzna Japonii jest dla nas niesłychanie groźna. Może bezkarnie pewnego wieczora przepłynąć ponad naszymi twierdzami w Kalifornii w stanach Oregon i Washington i rankiem złożyć nam tu wizytę niepożądaną. Tak, tutaj, w New Yorku... Tylko, che, che, che, zamiast biletów wizytowych rzuci bomby olbrzymie.

Już senator O'Connor zabierał się do gorącej repliki, kiedy kamerdyner zameldował przybycie dyrektora policji.

Gospodarz podszedł naprzeciw gościa, z którym łączyła go dawna znajomość, odnowiona od tajemniczego zniknięcia Władka. Przybyły przywitał się z obecnymi i zasiadł we fotelu. Najpierw zwrócił się do gospodarza, mówiąc:

— Niestety, mister Ray, nie mogę panu jeszcze nic powiedzieć o siostrzeńcu poza tym, że znajduje się on prawdopodobnie bardzo daleko stąd.

— Ma pan jaką wiadomość? — zapytał żywo strapiony wuj Władka.

Dyrektor policji chrząknął i zaczął powoli:

— Jak już panu mówiłem, zdaje się, kwestię odszukania pańskiego siostrzeńca powtórzyłem pewnej doskonałej agentce oraz kilku innym zdolnym ludziom. Ta detektywka naprowadziła nas na pierwszy ślad, odkrywając gniazdo tej szajki w zachodniej stronie Brooklynu. Niestety, gniazdko było puste, gdyż spłoszeni przestępcy uciekli. Ale przy rewizji w tej willi znaleźliśmy w pokoju portiera porzucony i z gotówki ogołocony portfel tego chłopca...

— Ale w jaki sposób ta agentka potrafiła odszukać to gniazdo? — dopytywał się ciekawy zawsze bankier Grill.

— Szła po śladzie wypuszczonej przez nas umyślnie służącej tej miss Teacher. Ta Chinka mieszkała najpierw jakiś czas w chińskiej dzielnicy, a potem poszła wprosi do ich kryjówki, z jakimś drugim współnikiem szajki...

— Przepraszani bardzo. Kto to jest miss Teacher? — zapytał niezorientowany senator.

Dyrektor Blossom milczał delikatnie, ale gospodarz wyręczył go w odpowiedzi:

— To była przygodna przyjaciółka mego Władka. Poznał ją podobno na okręcie, jadąc z Europy i zawiązał z nią bliższą znajomość. Nie przypuszczał oczywiście, kim jest ta dama i dał się wciągnąć w zasadzkę... To, co wiem, wiem od mister Blossoma.

— Thank you — podziękował O'Connor za informację i pomyślał równocześnie, że lepiej mieć tak wierną i kochaną żonę jak Maud, niż szukać

miłostek z przygodnymi, a niepewnymi przyjaciółkami.

Dyrektor policji ciągnął dalej swe opowiadanie:

— Otóż ta sama agentka nie straciła z oka owej Chinki i parę dni później doniosła mi, że śledzona kobieta odjechała wraz ze swym bratem do Cleveland. Odjechali zwykłym pociągiem. Agentka słyszała, jak kupowali bilety przy kasie, i widziała, jak wsiedli.

— No, mogli wysiąść wcześniej — zauważył zawsze sceptyczny bankier.

— Oczywiście, że mogli i dlatego wysłała razem z nimi swego pomocnika, a sama wróciła do mnie czym prędzej. Na Cleveland mieliśmy oko od dawna. Jak wiadomo, tylko jezioro Erie stanowi tam granicę pomiędzy Stanami a Kanadą. Mając zatem różne inne jeszcze dane, wysłałem duży policyjny samolot pod komendą dzielnego inspektora, któremu dodałem tę agentkę i dwudziestu czterech policjantów...

— Very interesting — zapalił się bankier.

— Przybyli do Cleveland wcześniej od pociągu. Para agentów poszła śledzić to chińskie rodzeństwo... Tak brzmiał ostatni telegram mego inspektora. Od tego czasu minęło pełne trzy dni bez wiadomości, aż...

— Aż... — powtórzyli słuchacze, jak echo.

— Aż dzisiaj dostałem smutną wiadomość. W tym miejscu, gdzie Snake wpada pod kątem prostym eto Columbii, znaleziono na brzegu drzazgi rozbitego samolotu.

— Jak to?... Aż tam?... Aż w stanie Washington?!

— Yes, sir... aż tam. Już w wieczornych, a raczej nocnych, dziennikach jest wzmianka o tej niebywalej katastrofie lotniczej... Znawczy oceniają, że samolot runął z wysokości jakich trzech tysięcy metrów, toteż wszystko razem przedstawia jedną krwawą masę... I tu się właśnie zaczyna zagadka... Po pierwsze: Pod gruzami rozpoznano ciała czternastu policjantów, czterech ludzi załogi samolotu policyjnego i dziewięciu nieznanym mężczyznom... Aha, byłbym zapomniał. W jednym zmasakrowanym trupie rozpoznano kobietę...

— Pewnie ta agentka — domyślał się senator.

— No, sir... Po skórze poznano, że to Indianka.

— Indianka? — zadziwił się ktoś z obecnych.

— Tak. Dwóch mężczyzn to także Indianie... Natomiast ciała inspektora ani pary mych dzielnych agentów nie znaleziono mimo sumiennych poszukiwań w promieniu kilku kilometrów. To pierwsza zagadka, a druga jeszcze ciekawsza... Mianowicie, strzaskany aparat nie jest wcale naszym policyjnym samolotem, lecz aeroplanem pochodzenia japońskiego...

— Japońskiego? — wykrzyknęli prawie wszyscy równocześnie.

— Tak, panowie... Taki dostałem raport telefoniczny i tak pisze już nawet *Evening Times* w nadzwyczajnym wydaniu.

Długie milczenie zaległo wspaniały gabinet Tomasza Reja. Wreszcie senator O'Connor westchnął bardzo ciężko i rzekł zgnębionym głosem:

— Trapię się niezmiernie o Maud... Taki jestem dziwnie niespokojny. Obawiam się, czy uciekli na czas z terenu operacji.

— Z pewnością już płyną na bezpiecznych wodach, panie senatorze. Przecież co dnia otrzymuje pan radiodepesze.

— Ostatnią dostałem wczoraj... Jacht markiza de Garroniego pędzi całą siłą pary na północ. Dzisiaj mieli się dostać na wody Kanady... Dzisiaj wieczorem... Tymczasem nic... Nic dzisiaj nie przyszło od mojej Maud... A tak ją prosiłem, by kilka razy dziennie depeszowała... Tak ją prosiłem...

— Zobacz pan, panie senatorze, że lada chwila przyjdzie wesóły telegram z Vancouver... Wszystko będzie dobrze...

— Oby, mister Ray! Oby!... Dziękuję panu za słowa pociechy, ale nie mogę się pozbyć obawy, gdy pomyślę o ostatnich słowach wczorajszej do peszy.

— Cóż takiego, sir? Nic mi pan nie mówił.

— Pisze żona, że słyszeli strzały armatnie... Mogą ich tam storpedować, zatopić, ani się nikt nigdy nie dowie... Yes... Czegóż pozwoliłem jej na tę wycieczkę... Robię sobie wciąż wymówki z tego powodu. Ale Maud tak przepada za podróżami... To jej jedyna pasja...

Mały bankier zaczął gwałtownie strzepywać popiół z cygara, żeby ukryć ironiczny uśmiezek, jaki mu się zabłąkał na wąskie, zaciśnięte usta. Przygryzł swój złośliwy język, który wyrывał się wprost, by szepnąć, że podróże nie są jedyną pasją pięknej senatorowej, ale że są tylko dekoracją innej pasji.

W tej chwili odezwał się milczący dotychczas mister Hale, który w swoim czasie przegrał zakład do gospodarza. Odezwał się bardzo poważnie:

— Gdyby pan senator zechciał, to mógłby pan zobaczyć naocznie, co się dzieje w tej chwili na jachcie markiza de Garoniego... Trzeba tylko mieć wiarę i wolę... Ja... znam pewnego człowieka, który potrafi przenosić zmysły swego medium na każdą odległość.

Mały bankier zarechotał gwałtownym śmiechem:

— Cha, cha, che, che, che; mister Hale znowu wynalazł jakiś fenomen spirytystyczny... Co?!... Można przenosić zmysły, jak się pan raczył wyrazić. To znaczy, że na żądanie mogę zobaczyć, co gotuje kucharz mikada w Japonii, mogę usłyszeć jak klnie, kiedy mu się co przypaliło i powąchać te przysmaki ze szcurów... Che, che, che, che...

Zaczepiony wzruszył ramionami dość wzgardliwie i odparł:

— Pan by nic nie zobaczył ani niczego nie powąchał. Do tego trzeba mieć przede wszystkim głęboką wiarę, że się tak stanie. Do tego trzeba mieć nadto żelazną wolę, aby się tak stało.

— No, wolę to mam niezłą... Inaczej moje interesy nie stałyby tak, jak

stoją... Mogę pana zapewnić, że mam wolę... ale wiary w takie głupstwa to już ani za dolara... ani za centa.

— Dlatego też panu tego nie proponowałem, lecz panu senatorowi.

— A czy można też odgadnąć myśli?... Bo to, widzi pan, nieraz by mi się przydało w mym businessie... Che, che, che... Gdyby można było myśli konkurentów na giełdzie odgadnąć, to ja bym zaczął mieć także i wiarę... — drwił w dalszym ciągu mister Grill, ale Hale nie stracił ani na chwilę swej poważnej miny i tonu. Odparł jak gdyby po głębokim namyśle:

— Czy myśli można odgadnąć, tego nie wiem, ale przypuszczam, że tak. Są ludzie, którzy to potrafią... Może się pan nawet przekonać, mister Grill...

— Ile to będzie kosztować?

— Takiego sceptyka jak pan bardzo drogo w każdym razie. Tacy płacą potrójnie...

— Ponieważ im trudniej wmówić te nedorzecznosci... — odciął się jeszcze mały grubasek.

Lecz senator pochylił się do ucha mister Hale'a i zaczęli rozmawiać przyciszonym głosem. Mister Bloosom wyluszczał swoje teorie i przypuszczenia co do losu lotnej brygady policyjnej. Towarzystwo podzieliło się na grupki.

Nagle zadźwięczał dzwonek telefonu. Ostry metaliczny dźwięk rozdarł nastrój gabinetu i targnął nerwami obecnych. Gospodarz pośpieszył do aparatu. Rozmowy umilkły.

— Hallo!... Tu Ray... Aha... Tak, jest pan dyrektor... Dobrze, zaraz go poproszę... — Potem odwrócił się do siedzących i rzekł:

— Mister Bloosom, proszą pana w pilnej sprawie!...

Dyrektor policji podszedł do telefonu i wziął słuchawkę do ręki. Odpowiadał na głos z dali, w odstępach:

— Tak... ja jestem... Co nowego?... Nie!... Niemożliwe!... Kiedy się to stało?... Hum... Dziękuję panu... Zaraz wracam.

Mister Bloosom powoli zawiesił słuchawkę i zwrócił się do obecnych. Wszystkie oczy wpiły się w niego niemym zapytaniem. Wszyscy przeczuwali nowe nieszczęścia. Jakoż dyrektor policji odezwał się głosem bardzo smutnym:

— My gentlemen, wiadomości złe... San Francisco zbombardowane i zdobyte. Japończycy wysadzili wojska w Kalifornii i prą na wschód...

Głaz ogromnego przygnębieniu przytłoczył serca wszystkich ciężarem nieznośnym.

## II

Otworzył im Hindus służący.

Stanęli w skromnym przedpokoju. Senator O'Connor rozglądał się ciekawie dokoła, podczas gdy jego towarzysz wiódł cichą rozmowę z Hindusem. Na chwilę zostali sami, gdyż sługa wyszedł do sąsiedniego pokoju. Wówczas mister Hale powiedział szeptem:

— Może pan być całkiem spokojny. Nikogo o tej spóźnionej porze tu nie spotkamy. Auto czeka na rogu dość daleko stąd. Nikt się nie dowie, sir, że byliśmy tutaj tej nocy...

— Ostatecznie jest mi już wszystko jedno. Niech się nawet ze mnie śmieją. Myśl, że będę mógł istotnie zobaczyć moją najdroższą Maud, każe mi zapomnieć o ewentualnych drwinach takich ludzi jak Grill.

W tej chwili sługa powrócił i milczącym gestem wskazał im otwarte drzwi pokoju.

Stanęli w wielkiej, nader skromnie umeblowanej izbie. Wzdłuż wszystkich ścian biegły gęste półki zavalone książkami, foliarami, papierami. Nie brakło nawet papirusów. W jednym kącie znajdowało się widocznie małe laboratorium chemiczne. Z mroków tego kąta błyskały szyjki retort, kolb, rurek szklanych i metalowych.

W drugim rogu widać było jak gdyby mały sarkofag z mumią. Obok stała cała kolekcja czaszek i piszczeli. W szklanej gablotce wisiał szkielet jakiegoś wielkoluda.

Niesamowitość wyglądu tej dziwnej pracowni powiększała jeszcze atmosfera stęchlizny, kurzu nigdy zapewne nieścieranego i nieotwieranych okien.

Senator z niechętnym wyrazem twarzy nachylił się do ucha towarzysza i szepnął:

— Nie lubię takich dekoracji obliczonych na efekt głupców. Spodziewałem się czegoś lepszego.

Mister Hale chciał właśnie coś odpowiedzieć, kiedy rozchyliła się ciężka portiera i w drzwiach drugiego pokoju stanął wysoki, chudy starzec. Zapraszającym gestem ręki skinął na przybyłych, by szli za nim.

Drugi pokój stanowił zupełne przeciwieństwo pierwszego. Podłogę zakrywały dosłownie wzorzyste kobierce perskie. Ściany zdobiły piękne makaty wschodnie. Dalsze drzwi i jedyne okno zasłaniały gęste portierey zawieszono na brązowych karniszach.

Lecz przedmiotem, który w pierwszej linii przykuł uwagę senatora, był globus olbrzymich rozmiarów umieszczony tuż nad podłogą w pośrodku pokoju. Dokoła tej kuli, której średnica musiała mieć jakie półtora metra, porozstawiany był elegancki, skórzany garnitur foteli klubowych.

Mister Hale odezwał się śmiało:

— Drogi mistrzu. Przyprawdzam ci tu znakomitego klienta. Jest to senator O'Connor...



— Wiem — przerwał krótko starzec.

Senator zauważył, że gospodarz dziwnie miękko powiedział to słowo po angielsku.

Mister Hale przedstawiał w dalszym ciągu:

— Pan senator jest członkiem wielu towarzystw naukowych i prezesem...

— Dla mnie on jest tylko człowiekiem... Czego chcesz ode mnie? — zwrócił się do dostojnego gościa, którego silnie zaskoczyło to mało grzeczne powitanie. Ale wiedział, że ludzie o twarzy tak ascetycznie uduchowionej, jak ten starzec, są prawie zawsze dziwakami. Więc odparł:

— Jestem niespokojny o los żony. Mister Hale zapewnił mnie, że pan mógłby mi dać garść informacji.

— Ja ci nic dać nie mogę, synu. Tylko ty sam możesz tego dokazać, jeżeli wierzysz i jeżeli chcesz... Kiedy wszedłeś do tamtej izby, raziała cię efektywność dekoracji... może więc wiara twoja za słaba jest jeszcze.

Senator O'Connor zdumiał się niesłychanie. Tajemniczy gospodarz umiał zgadywać myśli. Nie miał jeszcze czasu ochłonąć ze zdziwienia, kiedy starzec polecił mu usiąść na jednym z foteli, a sam zajął miejsce naprzeciw. Mister Hale ulokował się w drugim pokoju i z zainteresowaniem obserwował scenę, której już nieraz był świadkiem... Niejednego bowiem klienta przyprowadził temu mędrcomi.

Starzec zabrał głos.

— Chcesz więc zobaczyć małżonkę swoją... Czy tak?

— Tak.

— Chcesz usłyszeć jej głos. Jej słowa, które w tej chwili wymawia?

— Tak — odpowiedział senator i równocześnie przyszło mu do głowy, że głosu ukochanej swej Maud nie usłyszy, gdyż o tej porze śpi z pewnością.

Dochodziła pierwsza godzina po północy. A starzec znów odgadł jego myśl, bo rzekł:

— Sądzisz, że małżonka śpi?... Zobaczę zaraz.

Podparł rękoma głowę i wpatrzył się w globus. Baczenie się przyglądający senator zauważył, że czoło starca pokryło się zmarszczkami gęstymi, a żyły na skroniach nabrzmiały. Jego oczy miały wyraz tak niesamowity, że O'Connor wzdrygnął się mimowolnie.

Potem, ku ogromnemu zdumieniu gościa, kula globusa drgnęła lekko i powoli zaczęła się obracać. Spojrzał nieufnie na podłogę, ale żaden mechanizm nie poruszał tej wielkiej masy. W sposób niewytłumaczony, niezrozumiały okręciła się wolniuteńko o kąt 180° i stanęła w ten sposób, że natężone oczy starca patrzyły w górną część Oceanu Spokojnego.

Potem nastąpiła chwila ciszy. Tak przeszło długich pięć minut, co stwierdził senator na swym zegarku. Wreszcie ascetyczny gospodarz ocknął się z tego odrętwienia i rzekł:

— Twoja małżonku żyje i nie śpi... Jedzie okrętem po falach Pacyfiku... Czy ci to wystarcza, czy sam chcesz ujrzeć?

— Chcę ujrzeć... chcę usłyszeć jej słodki głos choć chwilę.

— Lepiej, iżbyś nie ujrzał... nie usłyszał jej głosu w tym momencie. Lepiej dla ciebie po trzykroć... Namyśl się przeto.

Senator zaczął się niecierpliwić. Przemowa tego człowieka zakrawała na niecne drwiny szarlatana. Powiedział głosem bardzo silnym i stanowczym:

— Po to tu przyszedłem, by naocznie zobaczyć, by na własne uszy usłyszeć.

Starzec ruszył ramionami i odparł, podnosząc się z miejsca:

— Stanie się, jako żądałeś, lecz obyś mnie za to nie przeklinał potem. Stanie się jednak tylko wtedy, jeżeli okażesz prawdziwą wiarę i wolę. Ponieważ nie nawykłeś do skupiania uwagi na jednym punkcie, nałożę ci maskę, która ci ułatwi to zadanie... Nic nie zamąci wówczas twej uwagi, nic jej nie rozproszy, nawet nasza obecność.

Podszedł do ściany i uniósł jedną z makat. Z kryjówki zamaskowanej w murze wyjął jakiś przedmiot. Było to coś na kształt skafandra nurków, ale dużo lżejsze i nieco inaczej zbudowane. Na oczy nie było widać zewnątrz dwóch szybek, lecz jedną lunetkę. Widocznie odpowiednio urządzone soczewki i zwierciadła skupiały siłę obu oczu w jednej lunecie. Na ogół przedmiot ten przypominał maski do fechtunku na florety czy szpady, z wyjątkiem tej tuby w pośrodku sterczącej. Starzec nałożył senatorowi ten dziwaczny hełm na głowę, mówiąc równocześnie te słowa:

— Moją wolą dopomogę ci do osiągnięcia tego, co zamierzasz. Skoro będziesz syty wrażeń... skoro będziesz chciał przerwać tę chwilę skupienia, podnieś jedną dłoń do góry a natychmiast globus obróć w inną stronę i widzenie zniknie. Zasiądź teraz na moim miejscu i wpatrz się z natężeniem w to miejsce... Miej wiarę i chciej!!!

Z początku senator O'Connor nie widział ani nie słyszał nic. Przez szkło tej dziwnej lunety patrzył na maleńki skrawek górnej półkuli globusa, na zielonawe tło, jakim na mapach wyobrażają morze. Tak przeszła minuta, dwie, trzy, a może znacznie więcej...

Potem powiedział sobie w duchu: *Chcę cię zobaczyć, Maud! Chcę i wierzę, że cię zobaczę!*... Całą swą uwagę, całą energię skupił w sile wzroku w czujnej baczności uszu. I nagle... nagle posłyszał jakiś niewyraźny szum. W dwóch słuchawkach szczelnie do muszel usznych przylegających, szumiało coś uparcie... coraz silniej... coraz wyraźniej... Oczy dostrzegły jakąś wielką masę poruszającą się leniwie, lecz stale.

— To morze... — przeleciała jedna myśl. Tak, to było morze istotnie. Ogromne, ciemne bałwany przewalały się z boku na bok, oblane mlecznym światłem miesiąca. Potem zamajaczył jakiś czarny punkt, który rósł z niesłychaną

szybkością i wnet można było rozróżnić kontury smukłego, zgrabnego parowca. Tylko lampki sygnałowe świeciły się jeszcze na masztach. Tylko dyżurny oficer rozmawiał o czymś ze sternikiem przy kole.

Oczy patrzącego przykuła jedna biała ściana parowca. Czuł, że musi tam spoglądać, że tam ujrzy coś więcej... i ujrzął...

Ściana zaczęła wiotczeć, mięknąć, rozstępować się przed mocą olbrzymią jego wzroku i woli... Ujrzał wewnątrz wspaniałej, wielkiej sypialni. Olbrzymie, niskie łoże stało w rogu przestronnej kabiny. Puszyste dywany nakrywały parkietową posadzkę. A w drugim końcu pokoju, przed ogromnym lustrem stała młoda, lekko ubrana kobieta. Ręce założyła na karku i lekko, wdzięcznie przeciągała się ruchem kotki leniwej, rozpieszczonej... Senator O'Connor w zwierciadle ujrzął jej twarz i serce mu żywo zabiło... To była Maud, jego ukochana, piękna małżonka. Obraz zyskiwał z każdą sekundą na wyrazistości. Zdawało się patrzącemu, że wdycha pełne nozdrza tych drażniących perfum, jakimi Maud zwykła była skrapiać swe marmurowe ciało. Zdawało mu się, że czuje doskonale woń jej włosów, jej skóry...

Potem kobieta rozplotła ręce i zaczęła uważnie oglądać w lustrze swe ramiona. Senator ujrzął na nich jakieś czerwone odciski, jakieś plamy. W tej chwili zachrobotało coś dziwnie w słuchawkach... Usłyszał głos... To nie był słodki głos Maud, lecz głęboki, melodyjny baryton mężczyzny:

— Podejź tu, Maud!... Mario bardzo prosi... Mario każe!...

Co to znaczy?!... O'Connor nie rozumiał nic. Jaki Mario?... Zaraz, zaraz, komu to było na imię Mario? Ach, prawda!... Markiz Mario de Garroni, właściciel jachtu *Aurora*, który to markiz między innymi gośćmi zaprosił także żonę senatora O'Connora. Zaprosił na wycieczkę do Japonii... Jakiś lęk okropny ścisnął kleszczami serce patrzącego męża. Znowu zachrobotało w słuchawkach. To był jej głosik najśłodszy w świecie:

— Wstydź się, Mario!... Narobiłeś mi takich sińców, że nie będę mogła jutro wziąć sukni wieczorowej.

— Czy źle całuję?

Kobieta przegięła się rozkosznie jakby na wspomnienie słodkiej, niedawnej pieszczoty. Odpowiedziała:

— Nie, Mario... Ty świetnie całujesz, ale za mocno... Za mocno... Są ślady.

— Pokaż!

Ogłuszony senator dojrzał znowu niskie, szerokie łoże w rogu pokoju. Tam leżał w jedwabnej piżamie młody mężczyzna rozwalony wygodnie na stosie poduszek. Z wyciągniętymi ramionami szła w jego stronę... Maud... Szła lekkim, tanecznym krokiem, bezwstydną i cudownie piękną. Usiadła na łóżku tuż obok leżącego. Pokazywała mu znaki zbyt mocnych pocałunków. Mężczyzna muskał je ustami i gładził dłonią pieszczotliwie.

Senator uczuł straszny skurcz serca. Chciał zerwać przeklętą maskę, chciał podnieść dłoń i dać sygnał umówiony, że ma dosyć tych tortur wyrafinowanych... Chciał... a nie mógł... Nie miał na to siły. Nagły atak serca osłabił go tak silnie, że nie mógł nawet zawrzeć swych powiek zboliałych i musiał patrzeć... Na wszystko patrzeć musiał...

Nagle znów coś zastukało w słuchawkach. Nie był to żaden głos, lecz huk jakiś miarowy, co pewien czas się powtarzający. Znękane, biedne oczy senatora spostrzegły, że markiz de Garroni uniósł głowę, że przerwał namiętne pieszczoty... Zawołał głośno i gniewnie:

— Co tam u diabła po nocy?!... Kto śmie pukać do mej sypialni?

Jakiś przytłumiony głos doszedł jakby spoza drzwi kabiny:

— Panie markizie!! Panie markizie!... Zatrzymano nas. Jesteśmy otoczeni...

To Japończycy... Zaraz tu będą.

Senator Patrick O'Connor runął jak kłoda na ziemię tuż u stóp wielkiego globusa...

### III

Ciężkie nad Stanami zawisły chmury.

Publiczną było już tajemnicą, że dzięki nieznanemu wynalazkowi samoloty japońskie przelatywały swobodnie i bezkarnie ponad twierdzami amerykańskimi. Że drwiły sobie z fal Wooda, które dotychczas uchodziły za śmiertcionośne dla każdego motoru. I były rzeczywiście nadal zabójcze, lecz tylko dla latawców amerykańskich

Ile razy eskadra aeroplanów powiewających gwiazdzistymi flagami chciała zaatakować którąś z powietrznych flotylli Japonii, tyle razy skończyło się smutną katastrofą. Nie przyszedłszy nawet do strzału, samoloty Stanów musiały lądować czym prędzej, gdyż motory odmawiały posłuszeństwa i milczały uparcie jak zaklęte... Gdyż Japończycy mieli na pokładach swych latających krążowników aparaty Wooda.

I jak na kpiny urządzali Żółci popisowe loty ponad bezsilnymi zupełnie pozycjami nieprzyjacielskimi. Wtedy dopiero przypomniano sobie, stare i dawno wyszłe z użycia *anti-aircraft guns*. Wyciągano na gwałt z arsenałów zapomniane dawno działa szybkostrzelne, które niegdyś stanowiły jedyną obronę przed atakami z góry. Wielkie fabryki broni otrzymały od wojskowości zlecenia na ogromne ilości tych armat i fabrykowały je z szybkością iście amerykańską.

Tymczasem na froncie wojennym niewielkie stosunkowo zaszły zmiany. Pobita niegdyś flota Pacyfiku, wciąż jeszcze stała u brzegów wysp Sandwich i dzielnie stawiała opór atakującym Japończykom. Wojska lądowe Zjednoczonych

Stanów wyparte gwałtownym natarciem Japończyków znad rzeki Sacramento zajęły obronne pozycje w przesmykach potężnej Sierra Nevada i Sierra Bernardino... Zagroziły w tym górzystym terenie drogę dalszym postępom najeźdźcy. Zagroziły skutecznie, gdyż mimo wściekłych szturmów nie zdołali Żółci posunąć się nigdzie na tym froncie. Z całych Stanów napływały nieustannie posiłki i zbierały się do kontrataku, który miał wyprzeć Żółtych aż w morze... Tak więc Japończycy mieli w swych rękach cały pas wybrzeża Kalifornii. W poszczerbionym dobrze San Francisco znajdowała się ich główna komenda. Na równinie koło Hollywood i w pobliżu Los Angeles czekały na dalsze rozkazy potężne floty powietrzne Japonii.

Ale najbardziej niepokoiły opinię publiczną losy floty atlantyckiej. Wiedzano, że Kanał Panamski minęła już dawno, wiedzano, że wpłynęła na wody Oceanu Spokojnego... Ale dalszy słuch o niej zaginął zupełnie. Przepadła gdzieś wśród bezmiarów Pacyfiku.

A główna komenda milczała...

Napadła prasa na dowództwo wojskowe, żądając wiadomości. Przecież chodziło tu o uspokojenie tylu tysięcy rodzin, których synowie służyli na tych okrętach. Przecież chodziło tu o chlubę Stanów, gdyż flota Atlantyku, choć liczebnie nie przewyższała swej zachodniej siostrzycy z Pacyfiku, ale zato była ostatnim krzykiem w dziedzinie techniki, uzbrojenia czy chyżości.

A główna komenda milczała...

Więc pesymiści kiwali głowami posępnie:

— Przepadliśmy. Flota Atlantyku nie istnieje z pewnością. Żółci wytopili co do jednego. Nec testis cladis nie uszedł. Po co z tego robić tajemnicę?... Po co mamie nadzieję serca rodzin nieszczęsnych żołnierzy?... I tak się prawdy dowiedzą... Nie dziś, to jutro — wołali i sarkali jedni.

A główna komenda milczała...

Więc optymiści radośnie zacierali dłonie:

— Zobaczycie jeszcze, co oni pokażą. Zrobią nam zasłużoną niespodziankę. Zajdą tyły tym, co wylądowali w Kalifornii. Żaden z Żółtych nie ujdzie. Potem ruszą na pomoc dzielnym braciom pod Sandwiche... — cieszyli się skromniejsi, zaś inni, których duma narodowa poniosła na skrzydłach fantazji, prorokowali radośnie: — Flota Atlantyku już będzie gdzieś koło Filipin. Szybko te żółte małpy zdobyły smaczny kąsek, ale jeszcze szybciej go wyplują, bo bardzo niestrawny... Ho, ho, ho... Tylko czekać kiedy nasz Ralph Rodney złoży im w Tokio wizytę i pokój paszczami armat wymusi... Tylko czekać!...

Ralph Rodney był admirałem, głównodowodzącym floty Atlantyku.

Lecz na razie wieści nie przyszły żadne a naczelna komenda milczała uparcie.

Aż!!!

Jednego poranka lipcowego New York zerwał się ze snu przykro obudzony. Gdzieś w przestworzach huczały działa. Grzmiały jakieś eksplozje.

Więc gęste, liczne okna drapaczy, więc dachy, balkony, terasy zapełniły się zaspanymi obywatelami. Ci, którzy już znajdowali się na ulicach, placach, chodnikach, zadzierali jak jeden mąż głowy do góry... Za chwilę widzieli już wszyscy i wielki okrzyk wydarł się z piersi milionów.

Na pogodnym, gładkim niebie lazurowym widniały słowa straszne:

## **YOUR DEATH!**

Wielkie białe głoski drgały lekko w powietrzu prawie osiem minut, zanim zaczęły się zacierać, mętnieć, zlewać, aż utworzyły obłok prostokątny.

Zaspani obywatele przetarli oczy ze zdumieniu i spojerali na siebie nawzajem bez jednego słowa. Wtem z góry doleciał ich turkot aeroplanu. Dopiero teraz zauważyli, że tam u stropu niebieskiego płynie mały samolot. Nie dziw nawet, że teraz dopiero go spostrzegli, gdyż cały spód latawca był pomalowany na kolor ciemnobłękitny. Prawie że nie odbijał od tła.

Aeroplan zataczał jakieś zawikłane esy floresy, zostawiając za sobą cienką, białą nitkę. Nić stawała się sznurkiem, tasiemką, aż zajaśniała wstęgą szeroką, tworząc wyraźne litery i słowa.

Samolot pisał na niebie.

— Look!... Look!... patrzcie!... czytajcie!... — nawoływali się mieszczanie.

A tam w górze widniał w czterech wierszach ogłoszony wyrok śmierci:

**MIESZKAŃCY, OPUŚCIE MIASTO!**

**NIE CHCEMY WAS MORDOWAĆ!**

**O SIÓDMEJ SPADNIE DESZCZ BOMB!**

**NEW YORK ZGINIE!**

Mały samolocik pognał czym prędzej nad Brooklyn i Newark powtórzyć to groźne ostrzeżenie Japończyków.

Jak oniemiałe stały tłumy pieszych, stały auta, autobusy, tramwaje.

A na niebie zaczęło się dziać coś niezwykłego. Dobiegał stamtąd głuchy warkot jak gdyby setek potężnych motorów... Od lazurowego stropu odlepiły się dziesiątki błękitnych płatków, jak gdyby śnieg niebieski... Lecz płatki zwiększały

się coraz bardziej, rosły w oczach... Już można było rozróżnić kontury dużych wojennych aeroplanów. Już przez lornetę można było rozpoznać trzepocące na wietrze flagi Japonii.

Wówczas ryk wściekłości wydarł się z piersi milionów.

— To skandal!!... Gdzie nasze samoloty?!... Gdzie nasze wojska?!... Za co płacimy podatki?!... Co robi dowództwo?!... — krzyżowały się rozliczne okrzyki.

Dziesiątki tysięcy telefonów przypuściło szturm do komendy miasta, do policji, do magistratu... Nie odpowiedział nikt.

Tymczasem nieprzyjacielska flota powietrzna manewrowała spokojnie i bez wszelakiej przeszkody... Rozdzieliła się na trzy grupy... Jedna, największa, pozostała ponad City New Yorku, druga pożeglowała w stronę Newarku, a trzecia popłynęła w kierunku na Long Island i zawisła złowrogo ponad Brooklynem.

W olbrzymiej metropolii zaczęła się panika.

Najtchórzliwsi ładowali na auta najcenniejsze przedmioty swego dobytku i zlorzecząc całemu światu, a w szczególności nieudolności własnych wojsk, gnali poza miasto.

Inni szukali schronienia w głębokich piwnicach drapaczy lub na stacjach kolejek podziemnych, wywołując tłok niesłychany.

Lecz większość pozostała na miejscu. Pozostała, bo uważała za nędzny żart pogroźkę, że New Yorkowi grozi zagłada. Byli i tacy, co jeszcze nic nie wiedzieli o niespodziewanej wizycie japońskich powietrznych krążowników.

Ogólne napięcie rosło z każdą sekundą.

Właśnie olbrzymi zegar obserwatorium astronomicznego zachłysnął się potężnie, by zacząć wybijać siódmą, kiedy ze zwisających aeroplanów oderwał się deszcz punkcików. Punkciki pędziły ku ziemi z szybkością zatrwającą i spadły.

Zabłyśło naraz w powietrzu.

Ziemia zadrżała jak od huku tysiąca gromów.

Potem lunęła lawina cegieł, kamieni, odłamków betonu.

W mgnieniu oka szerokie ulice, pokryły się barykadami gruzów i rumowiska. Utknęły potoki uciekających samochodów i autobusów. Ich pasażerowie chronili się czym prędzej do bram domów najbliższych. A wielu pozostało na miejscu... Ci już nie mieli wstać nigdy.

To była pierwsza salwa powitalna.

Teraz samoloty japońskie gwałtownie zaczęły obniżać swe dotychczasowe stanowiska. Kiedy kurz i pył rozpląnął się

w powietrzu, poznali napastnicy, że z dawnej wysokości celować nie można.

Większość pocisków chybiła. Większość

pocisków wpadła do parków, na ulice, place a nawet w morze. Za ledwie

kilkanaście trafiło w płaskie dachy kamienic-olbrzymów, rozłupało je na głębokość kilku pięter i wzniciło pożary.

Bystrych oczu Japończyków nie uszło to, co się w dole działo. Ujrzeni kłębiące się rozpaczliwie mrowisko ludzkie... Ujrzeni białe samochody ratunkowe, które z trudem torowały sobie drogę, śpiesząc po rannych.

Japończycy pamiętali, że oczy innych państw widzą ich czyny. Że historia wytknęłaby im barbarzyństwo wobec bezbronnych. Więc raz jeszcze ostrzegli... Raz jeszcze mały aeroplan począł kreślić białe litery na nieba błękitnie:

**UCIEKAJCIE!**

**DAJEMY WAM OSTATNIE PÓŁ GODZINY!**

Spostrzeżono sygnał na dole i zawrzało... Poprzez zatory aut unieruchomionych, poprzez gruzów barykady mknęły tłumy oszalałe ze strachu... Tratowano się nawzajem, deptano, przewracano, gnieciono....Byle uciec... byle uciec... byle wydostać się poza miasto.

Rzeki ludzkie rosły, potężniały i szumiały gwarem przekleństw, złorzeczeń. Odgrażano się Japończykom, rozszarpano kilka zabłąkanych „żółtych gęb”... Psioczono na niedołęstwo komendy wojskowej, na armii bezsilność zupełną.

Ale narzekano niesłusznie...

New York twierdzą nie był i kto mógł się spodziewać, że nieprzyjacieli aż tutaj dotrze kiedykolwiek?... Kto mógł przypuścić, że aparaty Wooda zawiodą tak sromotnie?... Nikt, zaiste nikt tego przewidzieć nie był w stanie, a przecież komenda wojsk okolicznych nie spała... Nie mogła nic zdziałać aeroplanami, które Japończycy strącali aparatami Wooda, podobnie jak rosły chłop, uchwyciwszy gałąź gruszy w mocne swe łapy, strząsa dojrzałe owoce... Tak samolotami nic zrobić nie można było, więc komenda inną sprowadziła obronę.

Właśnie kiedy jeszcze pięciu minut brakowało do całej półgodziny darowanej wspaniałomyślnie przez napastników... właśnie gdy resztki mieszkańców w panice opuszczały centrum metropolii, od strony Filadelfii i Trentonu zbliżyła się odsiecz.

Jakby na skrzydłach lekkiego południowego wiatru niesione, żeglowały olbrzymie balony sterowe. Huczały potworne motory, zażarcie młócąc śrubami powietrze w upale słońca drgające.

Spostrzegli je niedawni wygnańcy, uciekinierzy i okrzyk radosny dumy wystrzelił aż pod niebiosy. Ale dostrzegli je też Japończycy i gorące gotowali przyjęcie. Więc najpierw poszły w ruch aparaty Wooda. Olbrzymie motory sterowców ścichły nagle, jak gdyby je woda zalała. Tylko nabytym rozpędem i siłą wiatru płynęły teraz gigantyczne balony ku czekającemu nieprzyjacielowi.



Widzowie śledzili z wielką obawą ruchy obu flot. Z jednej strony dwadzieścia i dwa niezgrabne kolosy, zdane na łaskę wiatru, a z drugiej przeszło sześćdziesiąt opancerzonych samolotów, obrotnych i szybkich, nie licząc piętnastu zwinnych i ściągłych jak jaskółki małych aeroplanów.

Nierówne szanse... bardzo nierówne, a wynik walki do przewidzenia łatwy.

Płynące rzędem balony rozpoczęły ogień. Ryknęły szybkostrzelne działa umieszczone w gondolach tych wielkich statków powietrznych. Skutek pierwszej salwy przeszedł wszelkie oczekiwania. Trzydzieści opancerzonych samolotów uchyliło z szeregów japońskich. Dziewięć runęło na łeb i szyję w sam środek Brooklynu, a cztery lądowały pośpiesznie lotem ślizgowym na Long Island.

Żółci odpowiedzieli huraganowym ogniem lekkich armat i karabinów maszynowych. Trzy sterowce stanęły w gejzerach płomieni. Sześć innych opadało ku ziemi powoli, lecz zdecydowanie... Teraz zaczęła się bezładna kanonada.

Na ulicach miasta pojawiły się na gwałt sprowadzone samochody pancerne. Z każdego sterczała ku górze zadarta lufa działa szybkostrzelnego. Przez zatokę Hudsonską nadpłynęły cztery torpedowce i otworzyły gwałtowny ogień na flotyllę samolotów... Otworzyły ogień z dobrym skutkiem, bo znów cztery wielkie ptaki spadły na Newark... Na szczycie przeszło stupiętrowego drapacza Air Express Company wykwitły dymki. To garstka bohaterkich obrońców wywindowała trzy *anti-aircraft guns* i ta bateria umieszczona na płaskim dachu kolosa-kamienicy rozpoczęła ostrzeliwać tyły nieprzyjaciela.

Ponad New Yorkiem rozpętała się bitwa straszliwa...

Japończycy zrozumieli swój błąd. Zrozumieli, że są za nisko. I kiedy jeszcze kilka niebieskich latawców runęło na fale zatoki jak kule, napastnicy zmienili taktykę. Zawarczały jak potworne wiatraki śmigły helikopterów. Poderwały w górę samoloty japońskie. Wyżej... jeszcze wyżej...

Przerzedzony zastęp sterowców pojął natychmiast manewr nieprzyjaciela... Wrogowie chcieli zaatakować z góry. Więc poleciały wory balastu na ziemię. Posypał się piasek na rozentuzjasmowane tłumy gapiów. Odciążone sterowce zaczęły się wolno dźwigać w górę... Wolno... za wolno... Tamci byli pierwsi.

Z góry, z boków zaatakowali balony. Cel mieli teraz łatwy. Zamiast okrągłej tarczy, jaką tworzył przód sterowca, widzieli obecnie potworne kadłuby i nie chybili ani razu. Podziurawione kulami balony opadały powoli ku ziemi, odgryzając się jeszcze salwami wystrzałów zawziętym napastnikom. Nagle Japończycy zaprzestali ognia. Inny koniec obmyślili obrońcom... Małeńki, zwiny samolot Żółtych z niesłychaną brawurą przelatował tuż ponad jedwabistą powłoką gigantycznych worów gazem napełnionych i częstował je obficie zapalającymi racami. Zahuczało w górze złowrogie morze płomieni... Los flotylli powietrznej Zjednoczonych Stanów był przesądzony. Zaledwie trzy sterowce uszły zagłady w płomieniach i opadły na ziemię.

Bilans walki był honorowy, lecz smutny dla obrońców. Stracili dziesięć sterowców przedstawiających wartość dziesiątek milionów dolarów i pozbyli się obrony przed atakującym nieprzyjacielem. Japończycy stracili połowę swych samolotów, ale ta reszta wystarczyła, by New York zamienić w perzynę. I rozpoczęli natychmiast dzieło zniszczenia. Nauczeni smutnym doświadczeniem nie opuszczali się już tak nisko, nie chcąc się narażać na ogień samochodów i torpedowców.

Na miasto spadła ulewa bomb. Przerażone oczy uciekinierów ujrzały nad szachownicami gmachów liczne pióropusze dymu, wśród których błyskały zjadliwe języki płomieni.

Zakołysały się tłumy gwałtownie.

Żal, ból, wściekłość przyprawiły o obłęd to mrowie ludzi patrzących na zagładę swego dobytku. Rzeki ludzkie runęły na dzielnicę japońską, dysząc żądzą odwetu. Lecz tu spotkały mur policemanów i wojska. Odbiły się od tej zapory i podpłynęły aż pod budynek komendy wojskowej. Tu kordony były znacznie słabsze. Widocznie nie spodziewano się ataku z tej strony. W mgnieniu oka zgnieciono warty i tłumy wtargnęły do gmachu. W korytarzach ukazały się wymierzone w napastników lufy mitraliez. Posypały się łzawiące granaty. Oślepieni ludzie chcieli się cofnąć, lecz nie mogli. Z tyłu pchała ich rzeka setek tysięcy ciał. Więc ginęli marnie pod ogniem bratnich karabinów, torując drogę innym.

Tłuszcza wyjąca dziko zdobyła w ten sposób dwa piętra, ścieląc się gęstym trupem. Na trzecim piętrze zagroziły jej drogę wzniesione na prędcie barykady. Rozległy się okrzyki:

— Wyrznąć w pień żółtych psów!... Wywieście białe flagi! Niech zaprzestaną ognia!... Poddać się Japończykom!

Wtem wybił się ponad wrzawę ogólną spiżowy głos jednego z przybyłych:

— Zaprzestaśmy walk bratobójczych!... Słuchajcie co powiem I... Słuchajcie, albo tą pięścią rozwalę łeb każdemu!... — potrząsnął wysoko potężną pięścią olbrzymiej łapy.

Tłum się zakołysał... Poznał mówcę przygodnego. Był to Bob Jim, chluba Stanów, czempion światowy boks, ulubieniec tłumów. Jeden uciszał drugiego, chcąc usłyszeć, co powie ten człowiek o najlepszych pięściach na świecie... A Bob Jim ryczał z całej siły swych szerokich płuc:

— Wyślemy natychmiast depezę iskrową do Żółtych, że jeżeli jeszcze jedna bomba... jeżeli jedna bomba, powtarzam, spadnie na miasto, to zbombardujemy do ostatniego zaułka dzielnicę ich braci... Że wytniemy w pień Japończyków w całych Stanach... To mówi Bob...

— Niech żyje Bob!!!... Hej, wy psy tchórzliwe z komendy!... Wysłać zaraz depezę albo wysadzimy gmach w powietrze!...

Postawa tłumu stała się znowu bardzo groźna dla czekających za barykadami oficerów komendy. I musieli ustąpić.

Pięć minut później zatrzepotały białe flagi na gmachach. Wszyscy ci, którzy słyszeli przemowę Jima, zeszli do mrowia ludzkiego i przez tuby czy megafony ryczeli treść genialnego pomysłu bogom równego Boba Jima.

Japończycy zaprzestali ognia. Iskrowe depesze biegly nieustannie z budynku komendy do żeglującego w przestworzach admiralskiego statku powietrznego. Biegły tam i z powrotem... Tam i z powrotem...

Wzajemnie zarzucono sobie łamanie praw międzynarodowych. Dół twierdził, że wobec zaatakowania otwartego miasta z powietrza, wobec wyraźnego podeptania traktatów międzynarodowych, ściągnięcie kordonów policji i pozostawienie dzielnicy japońskiej na pastwę gniewu mieszkańców będzie tylko środkiem represji. Po długich targach i pertraktacjach stanęło na tym, że mieszkańcy mogą powrócić do swych domów i zawiera się zawieszenie broni aż do południa dnia następnego. Japończycy chcieli się porozumieć ze swoją główną komendą.

Kwadrans później olbrzymie afisze i miliony ulotek obwieściły mieszkańcom treść warunków rozejmu. Zakołysały się tłumy. Auto Boba Jima podniesiono do góry i dzisiejszego tryumfatora wraz z jego samochodem zataszczono na barkach do miasta. Popłynęły w powrotną drogę rzeki ludzkie w stronę City.

Tu wrzało już od jakiegoś czasu. Tysiące strażaków gasiło wybuchłe pożary. Tysiące wozów i aut ciężarowych wywoziło gruz. Dziesiątki tysięcy pracowników rozwalalo barykady ruin i wyrównywało ulice dla ruchu samochodowego.

New York ranny, lecz żył...

## ROZDZIAŁ XI

### Katastrofa

#### I

Z każdym dniem, z każdą godziną zbliżała się *Aurora* do brzegów Japonii. Hakari Otusawa otrzymał polecenie odprowadzić przytrzymany jacht markiza de Garroniego do... Tokio.

Inspektor Pomiferous, miss Brown, Richardson, Władek, załoga aeroplanu lotnej brygady pościgowej oraz policemani w liczbie dziesięciu byli traktowani jak jeńcy. Umieszczono ich pod dobrą strażą w dolnych kabinach parowca.

Właścicielowi jachtu i jego gościom pozostawiono względną swobodę ruchów na statku. Tylko do cel więźniów nie wolno im było się zbliżyć.

Więc pani Maud czuła się bardzo dobrze... Zmiana położenia i perspektywa internowania w Japonii zupełnie nie zdołały zamącić jej wesołości wrodzonej. Flirtowała na zabój, jak za dawnych czasów. Jedna tylko myśl, jedna okoliczność przysparzała zmartwienia pięknej senatorowej... Oto interesujący właściciel jachtu dziwnie dla niej zobojętniał od pewnej chwili. Od chwili kiedy na statku *Aurora* znalazła się niespodzianie groźna rywalka pani Maud. Była nią jakaś miss Teacher, także ponoć internowana przez *Żółtych*.

Nowa pasażerka *Aurory* zostało dołączona do grupy gości markiza i od razu zrobiła ogromne wrażenie na kochliwym a ognistym gospodarzu.

Coraz częściej zatapiały się płomienne źrenice markiza w szafirowych, marzących oczach *słodkiej Mary*, jak nazwano miss Teacher. Coraz częściej siadywała ta paru razem po kątach salonów i kabin, coraz dłuższe wiodła ze sobą pogawędki. Pani Maud zmartwiła się tym szczerze, ale zbyt była doświadczona, by w takiej chwili narzucać się markizowi. Uciekła się do innej metody. Zaczęła umyślnie jak najbardziej ostentacyjnie kokietować komendanta okrętu, Otusawę. W ten sposób zamierzała osiągnąć cel podwójny... Z jednej strony wzbudzić zazdrość w markizie de Garronim, a z drugiej spróbować flirtu z *Żółtym*... Bądź co bądź Japonia nie przesłała być krajem egzotycznym nawet w roku 1947 i piękna

Amerykanka mogła się spodziewać w tej nowej znajomości niezwykłych wrażeń i dreszczów nigdy niezaznanych.

Początkowo wydawało jej się, że trud był wart zachodu. Szorstkie odruchy Japończyka i jego dziwne pieszczoty zadowolili w pierwszych chwilach smak zepsutej i kapryśnej kobiety. Żaden mężczyzna nie ośmielił się dotychczas wobec niej na tego rodzaju postępowanie i ta czasem przykra nawet oryginalność stanowiła właśnie prawdziwy urok dla pani Maud... Ale brutalność Japończyka zaczęła przechodzić wszelkie granice możliwości. Hakari upajał się najwidoczniej swą rolą tyra. Doświadczał, eksperymentował z upodobaniem, do jakiego stopnia potrafi poniżyć tę córę wrogiej rasy, tę damę z high life'u, żonę jednego z najbardziej wpływowych senatorów Zjednoczonych Stanów.

Pani Maud szybko pożałowała zawiązania intymnej znajomości z tym Japończykiem. Jego szorstka gburowatość dojadła jej do żywego. Chciała zerwać z nim wszelkie stosunki, ale w praktyce okazało się to niewykonalne. Otusawa umiał wykorzystać swe stanowisko komendanta tej garstki jeńców i internowanych. Kiedy pewnego wieczoru zamknęła się w swej sypialni, czterej marynarze wyważyli drzwi w nocy i zanim mogła krzyknąć, zanieśli ją do kabiny swego dowódcy. Po tym niesłychanym gwałcie odwaga pani Maud stopniała zupełnie i senatorowa stała się prawdziwą niewolnicą zachcianek Otusawy.

Co gorsza sympatie całego towarzystwa na statku były przeciwko niej. Niczyjej uwagi nie uszedł jej stosunek do Japończyka i wzięło jej to bardzo za złe. Wszyscy goście markiza Maria de Garroniego byli obywatelami Stanów. Z właściwą pobłażliwością ludzi tych czasów patrzyli przez palce na romans gospodarza z piękną senatorową. Ale nie potrafili ścierpieć tego, żeby w chwili morderczej wojny mogła Amerykanka, żona znakomitego męża stanu, córa prawdziwego jankesa, rzucić się w ramiona takiej *żółtej małpy* jak Otusawa.

Dzięki miss Teacher znał Japończyk doskonale nastrój wśród gości markiza de Garroniego i to go właśnie rozzuchwalało do ostatecznych granic w brutalnym postępowaniu wobec Maud.

Tak więc nastąpiły bardzo przykre czasy dla młodej Amerykanki... Czasy tak przykre, że żałowała gorzko tegorocznej wycieczki morskiej. Że coraz czulej zaczęła wspominać dobrego, wyrozumiałego męża. O, ileż by dała za to, aby się znaleźć nagle w New Yorku?!... Ileż by dała za to, żeby się cała ta podróż okazała tylko snem przykrym?!... Ale niestety!...

\* \* \*

Pewnego popołudnia Hakari otrzymał radiotelegrafem pomyślne wiadomości. Wieści przysły tak radosne, że pozwolił nawet więźniom na dnie

okreću zamkniętym wyjść na pokład pod strażą. Chciał im osobiście krwi napsuć przeczytaniem nowin, które właśnie odebrał.

Niebawem zaludnił się dolny pokład *Aurory*. Tędy policemani, którzy przez tyle dni nie oglądali nieba, rozłożyli się wygodnie na ławeczkach i stosach lin. Mister Pomiferous rozmawiał z Richardsonem a Władek podszedł do Miss Brown, której od chwili uwięzienia ani razu nie widział.

Uścisnęli sobie dłonie serdecznie, jak para starych znajomych.

— Jakże się pani czuje? — zaczął Władek — Słyszałem, że pani była zamknięta sama.

— Słyszał pan?... Od kogo?... Przecież z tymi naszymi dozorcami nie można się było dogadać.

— Tak, ale jedzie tym statkiem także Yae, ta chińska służąca miss Teacher. Japończycy pozwolili jej odwiedzić nas kilkakrotnie. Ona ma z nimi jakieś konszachty i może łązić, gdzie chce... Żal mi pani, miss Brown, że pani tak sama siedziała. To musi być okropnie nudne... Mnie zamknięto z mister Richardsonem i po całych dniach uczył mnie boksowania. Powiadam pani, że zrobiłem kolosalne postępy.

— To bardzo dobrze, mister White... Może się to panu kiedyś przydać. W najbardziej konstytucyjnych i praworządnych państwach zdarzają się często takie sytuacje, że najbardziej się przyda siła własnych pięści.

— Ma pani rację. Dlatego też jestem zadowolony, że mnie zamknięto właśnie z mister Richardsonem.

— A byłby pan zadowolony, gdyby ci Japończycy zamiast mister Richardsonsza mnie razem z panem zamknęli? — zapytała żartobliwie agentka i bacznie spoglądała towarzyszowi w oczy.

Władek przypomniał sobie natychmiast jej podobne pytania, kiedy stali na pokładzie samolotu opuszczającego Kotlinę Milczenia. Siłą się więc na ton jak najbardziej wesoły i swobodny odpowiedział z ukłonem pełnym galanterii.

— Wtedy byłbym uszczęśliwiony, a tak byłem tylko zadowolony.

Dalszą rozmowę przerwało zbliżenie się innej grupy osób. Była to garstka elegancko ubranych gentlemanów i strojnych ladies. Miss Brown poznała wśród nich natychmiast miss Teacher i wskazała ją towarzyszowi:

— Widzi pan?

Władek odwrócił niechętnie głowę, ale w tejże chwili spostrzegł żonę senatora O'Connora. Nie wierzył oczom. Skąd ta się tu wzięła — myślał zdziwiony niezmiernie. Pani Maud zauważyła go także i żwawo podeszła w tę stronę. Lecz strażnik nie pozwolił na przywitanie się znajomych. Tylko na odległość mogli wymienić słów kilka.

W tym momencie ukazał się na górnym pokładzie Hakari Otusawa. Zmierzył zebranych pogardliwym wzrokiem i uciszywszy rozmowę ruchem ręki, przemówił:

— Kazałem się wam tutaj zgromadzić, bo chcę wam odczytać ostatnie wiadomości z placu boju... Państwo... — tu zwrócił się do gości markiza de Garroniego — Państwo już znacie dalsze koleje wojny, ale ci więźniowie nie wiedzą nic, więc cofnę się nieco w czasie... A zatem... Po zdobyciu przez nas całych Filipin i rozbiciu zupełnym floty Pacyfiku nasze dzielne wojska wylądowały w Kalifornii, poszły w brawurowym ataku naprzód i zajęły prawie cały pas wybrzeża Stanów... Nasz wróg nie posiada w tej chwili ani jednego portu na Oceanie Spokojnym w swych rękach... Co?... Nie wierzycie?... Che, che, che... — drwił, widząc zaskoczone spojrzenia swych więźniów. — Możecie mi nie wierzyć... — ciągnął dalej — nic to nie szkodzi. W Japonii dam wam do przeczytania zagraniczne dzienniki, to się przekonacie. Dalsza akcja rozwijała się w następujący sposób: nasze floty powietrzne pozegłowały ponad wschodnie Stany i zbombardowały kompletnie szereg miast, jak New York, Chicago, Filadelfia, Washington i inne... Chcąc uchronić naszych braci przed barbarzyństwem jankesów, którzy zbrojnie napadali bezbronne dzielnice japońskie, zaprzestaliśmy ostrzeliwania miast a natomiast zrównaliśmy z ziemią wszystkie większe fortece Stanów...

— To fałsz!... A co aparaty Wooda? — wyrwał się odważnie Richardson.

Japończyk był tak dumny ze zwycięstwa, że nie obraził się nawet na zuchwałosc jeńca. Z największą flegmą wycedził ironicznie:

— Aparaty Wooda okazały się doskonale w użyciu przeciw waszym aeroplanom. Nasze samoloty są świetnie zabezpieczone przed tymi falami i dzięki temu głównie osiągnęliśmy tak rychło zupełne zwycięstwo... Tak, jankesy zarozumiałe!... Położyliśmy was na obie łopatki tym knock-outem... Trzeci akt tej krótkiej a zwycięskiej wojny przedstawia się w ten sposób, że po dłuższej walce zajęliśmy broniące się dotychczas Honolulu i Sandwiche, a niedobitki floty Pacyfiku, które się tam schroniły wytopiliśmy prawie doszczętnie. Mógłbym skłamać i powiedzieć, że doszczętnie, ale na co mam mówić więcej, niż jest? To co jest, wystarcza nam w zupełności. A więc dowiedzcie się, że ledwie dwadzieścia i kilka szybszych okrętów uszło z pogromu i dostało się pod skrzydła błędzącej po Pacyfiku floty atlantyckiej. Nie wiem tego, czy ta flota jest już także rozbita, ale bardzo to prawdopodobne. Nasza admiralicja pamięta o niej nader troskliwie.

...Końcowa wiadomość powinna was ucieszyć... Zawarto rozejm i toczą się już przedwstępne rokowania... Niestety, nasza dyplomacja, jak zwykle, nie umie wyciągnąć należytych owoców ze zwycięstw bohaterskich armii i flot... Tak samo było w roku 1905 po wygranej nad Rosją... Warunki, jakie przedstawili nasi delegaci rządowi Stanów, są nader przystępne... Są dziwnie miękkie. Przeczytam wam je w zarysie:

...Punkt 1. Wyspy Filipiny, a w szczególności... itd... tu są powymieniane z osobna, co nas nie interesuje... Otóż wszystkie wyspy Filipiny, dalej Sandwiche i

okoliczny archipelag małych wysp przechodzi na własność Japonii.

...Punkt 2. Stany Zjednoczone natychmiast cofną ustawę z 6 maja bieżącego roku i zobowiązują się nigdy nie uchylać praw, których ostrze skierowane jest przeciwko obywatelom Japonii tam zamieszkałym, jako też przeciwko Japończykom, którzy już nabyli poddaństwo i obywatelstwo Stanów. W szczególności znosi się wszelkie ograniczenia przeciwko dalszej emigracji do Stanów... etc. etc.

...Punkt 3. W ciągu trzech miesięcy nastąpi oszacowanie przez komisję rzeczoznawców kosztów wojennych Japonii i Stany zobowiązują się w ciągu roku to odszkodowanie w złocie oraz dewizach w całości wypłacić.

...Punkty 4. Wszyscy Japończycy, bez względu na stosunek swego obywatelstwa, którzy ponieśli jakiegokolwiek szkody lub straty skutkiem ekscesów podburzonej przez prasę tłuszczy, otrzymają od Stanów pełne odszkodowanie...

...Punkt 5. Stany zapłacą kontrybucję wojenną w wysokości dwudziestu miliardów dolarów... (Sami przyznacie, że kwota ogromnie przystępna...)

...Punkt 6. Aż do zupełnego wypełnienia wszystkich warunków przez rząd Stanów pozostaną nasze załogi w dotychczas zajętych częściach Stanów Oregon, Washington i Kalifornia. Oczywiście, że wszelkie koszty okupacji ponoszą Stany.

...Tak, moi szanowni słuchacze, wyglądają w streszczeniu warunki, które postawili nasi delegaci w Washingtonie. Tak wygląda niezrozumiała wyrozumiałość, że nie określe tego inaczej, naszej dyplomacji... Ja bym jankesom inne warunki zaśpiewał... No... ale widzę, że jesteście trochę zaskoczeni... Wobec tego pozostawiam was jeszcze jedną godzinę na pokładzie, abyście przyszli do siebie. Che, che, che...

Śmiejąc się wesoło, zszedł Otusawa z górnego pokładu ścigany nienawistnymi spojrzeniami jeńców a także gości markiza de Garroniego. Zarozumiały, opryskliwy komendant *Aurory* dał się dobrze wszystkim we znaki. Cieszył się u wszystkich jednakową nienawiścią.

Kiedy znikł w kapitańskiej kajucie, zebrani na pokładzie odetchnęli z ulgą ogromną. Wiadomość o haniebnym warunkach, jakie podyktowano rządowi Stanów, przygnębiła wszystkich słuchaczy. Tylko przechylony przez poręcz okrętu markiz Mario de Garroni flirtował wesoło z obok stojącą miss Mary Teacher... Ich to niewiele zresztą obchodziło, jego jako Włocha, ją jako Niemkę. Ale reszta pasażerów straciła wszelką ochotę do dalszej rozmowy i tępo zapatrzyła się w fale oceanu.

W pewnej chwili zbliżył się do Władka Richardson i szepnął po cichu:

— Powiedział pan już miss Brown?

— Owszem. Tylko wyraziła pogląd, że jeżeli mamy coś zrobić, to zaraz, bo jutro podobno staniemy w Japonii.

— Tak... jutro rano. Sprawa przedstawia się korzystnie. Mamy liczącą



przewagę. Licz pan: dziesięciu policjantów, mister Pomiferous, pan, ja, miss Brown...

— No, kobieta...

— Ho, ho, mister White. Ona wystarczy za dwóch mężczyzn. Zobacz ją pan przy robocie. A więc miałem już czternastu. Dochodzi do tego ośmiu ludzi z załogi naszego samolotu...

— Wiedzą już?

— Już. Tych marynarzy japońskich jest czternastu albo szesnastu, razem z Otusawą. Jesteśmy górą.

— Tylko broń... broń to najważniejsze...

— Spójrz, pan na tych sześciu wartowników. Przypatrzyłem się dobrze ich karabinom i kieszeniom. Skoro to zdobędziemy, to jesteśmy panami sytuacji.

— Kiedy zaczynamy?

— Teraz nie. Mogłoby się nie udać. Umówiliśmy się, że przy schodzeniu na dół. Tam, obok naszych kabin, napadniemy na nich i wyjdziemy na pokład już uzbrojeni w te sześć karabinów. Ale już odejdę dalej, aby strażnik nie zwąchał, że się zmawiamy... — Z tymi słowami mister Richardson odsunął się od Władka i zaczął spojrzeć obojętnie na morze.

Zbliżała się chwila zachodu słońca. Spiskowcy przyglądali się ostrożnie spodzie łba swym wartownikom. Oceniali przypuszczalną siłę ich mięśni, ich zręczność, zwinność a przede wszystkim chytryść i wprawę w walkach wręcz.

Nagle... stało się coś bardzo dziwnego. Dziób statku pochylił się silnie w dół, cały okręt drgnął gwałtownie jakby rażony jakimś niewidzialnym pociskiem. Wszyscy pospadali z ławek i krzeseł. Przechylony przez barierę markiz de Garroni spadł do wody i płynął wytrwale za statkiem. Natychmiast spuszczone szalupę i wyciągnięto go na jej pokład. Na mostku kapitańskim pojawił się zdumiony niezmiernie Hakari Otusawa i rozglądał się ciekawie po morzu. A na spokojnej dotychczas powierzchni oceanu zaczęło się coś burzyć, coś ruszać. Z każdą sekundą wzrastała wysokość zielonkawych bałwanów. Jacht kołysał się teraz silnie. Na szczęście fale nie uderzały z boku statku, lecz od tyłu. Szły w tym samym kierunku, co parowiec, ale szły szybciej. Doganiały okręt, uderzały swymi pniącymi się grzywami w rufę, dźwigały ją do góry, przelatywały pod spodem wzdłuż całej długości korpusu parowca, znów podnosiły dziób i uciekały skwapliwie w stronę brzegów Japonii.

Hakari Otusawa wrócił do budki sternika i zaklął:

— Cóż u diabła!... Ani jednej chmurki, barometr także spokojny a tu fale rosną jak przy tajfunie.

Oglądał troskliwie wszystkie aparaty, lecz nie mógł znaleźć żadnej przyczyny tego wzburzenia morza. W tej chwili nadbiegł jeden z majtków, donosząc, że gospodarz, który przed niedawną chwilą uległ niefortunnemu

wypadkowi, wzywa go do siebie w bardzo ważnej sprawie. Otusawa rzucił chmurnie:

— Jeżeli ma do mnie interes, to niech tutaj przyjdzie. Ja do niego łązić nie potrzebuję.

Minutę później powrócił majtek z wiadomością, że pan markiz chętnie by przyszedł, gdyby miał jakiś interes. Ale żadnego interesu do pana komendanta nie ma, tylko chciał mu pokazać swój mały aparat sejsmograficzny, który wskazuje, że gdzieś w pobliżu, prawdopodobnie w Japonii, ma miejsce olbrzymie trzęsienie ziemi. Wobec tego, że pan komendant przyjść nie chce, pan markiz...

Otusawa nie słuchał dalszych wywodów. Jak szalony pobiegł czym prędzej w stronę właściciela jachtu.

\* \* \*

Wieczór już zapadł, a więźniów jeszcze nie sprowadzono z pokładu. Zaciekawiała ich ta zmiana poprzedniego zarządzenia, a Władek niepokoił się wprost, czy nie stoi to w jakim związku z ich spiskiem. Czy chytry Otusawa nie przewidział, nie przejrzał ich zamiarów i czy nie gotuje im przykrej niespodzianki. Także straż dziwiła się, że dowódca dotychczas nie polecił więźniów na dół sprowadzić. Po krótkiej między sobą naradzie wysłali jednego żołnierza do komendanta z zapytaniem.

Trzy minuty później powrócił niefortunny delegat straży z miną bardzo kwaśną. Komendant Otusawa siedzi cały czas w kabinie radiotelegraficznej i wysłanego żołnierza wyrzucił za drzwi, nie dając mu żadnych dyspozycji. Żołnierz zauważył tylko, że Otusawa jest bardzo błądy i zmieniony a tak wściekły, że nie ma po co tam drugi raz łązić... Wobec tego więźniowie zostali na pokładzie nadal.

Goście markiza de Garroniego przeszli do salonów jachtu i rozmawiali na temat tego olbrzymiego trzęsienia ziemi. Porozkładali przed sobą mapy. Obliczali przypuszczalne rozmiary katastrofy. Nie uszło też ogólnej uwagi, że od chwili tego dziwnego fenomenu morskiego, kiedy to markiz wleciał do wody, że od tej chwili *Aurora* aż drży od szalonego biegu. Widocznie Otusawa chciał jak najprędzej stanąć w Japonii i naocznie przekonać się o wielkości nieszczęścia.

Władek zauważył, że mister Richardson prowadzi ożywioną rozmowę z miss Brown. Młody agent przedkładał coś swej pięknej koleżance. Mówił z niezwykłym zapalem, zaglądając przy tym niespokojnie w oczy kobiety.

— Aha!... Oświadcza jej się... — pomyślał Władek i zgadł trafnie, po czym zaczął bacznie obserwować wyraz twarzy agentki.

Ciekaw był bardzo, jaki będzie rezultat tych oświadczeń. Togo jednakże nie mógł się domyślić, gdyż twarzyczka miss Brown pozostała spokojna i

niezmieniona. Ale zdołał się na tyle przybliżyć, że mógł dosłyszeć jej odpowiedź. Mówiła właśnie:

— Mister Richardson... Dzisiaj nic panu jeszcze powiedzieć nie mogą. Za kilka dni zdecyduję się i...

— I wyrok będzie przychylny... Jestem pewien, miss Brown, że uszczęśliwi mnie pani odpowiedzią przychylną... — mówił gorąco Richardson.

— Pewność siebie jest wielką zaletą, ale czasem zawodzi, szanowny kolego — odparła Miss Brown, a widząc, że zbliża się właśnie mister Pomiferous, szybko zmieniła temat rozmowy.

Pan inspektor był bardzo zaniepokojony tym pozostawieniem na pokładzie. Na próżno tak Władek jak i para agentów starali się go uspokoić. Zaczny grubasek stwierdził, że go reumatyzm strzyka w lewej nodze, co było nieomylnym znakiem, że coś się komuś nie powiedzie. Białoszyński roześmiał się wesoło:

— Mn pan zupełną rację, mister Pomiferous. Pański proroczy barometr nie zawodzi pana. Istotnie, że komuś się dzisiaj nie powiedzie, ale tym kimś będzie tan cytrynowy Otusawa. Zobacz pan...

Chwilę później przyniesiono więźniom na pokład wieczorny posiłek. Majtkowie, którzy przynieśli menażki z jedzeniem, poszeptali coś tajemniczo z wartą więźniów. Jakimś sposobem zdołała wiadomość o trzęsieniu ziemi przedostać się do załogi i służby okrętowej. Skośne oczy japońskich majtków zaczęły coraz częściej spozierać w stronę brzegów ojczyzny, gdzie złe losy znowu straszliwe spustoszenie siał miały. Skośne oczy wyteżały się w dal z wyrazem głębokiego smutku i trwogi. Tam przecież mieszkaly ich żony i rodziny. Tam, wśród gęstwy drzew kwitnących stały ich filigranowe domki. Czy stoją jeszcze te domki? Czy żyją jeszcze małżonki i dzieci?...

Zasępiły się ciężko czoła marynarzy japońskich.

Nagle pomocnik sternika wybiegł na mostek kapitański i wykrzykując, wskazywał dłonią w stronę Japonii.

— Co tam?... — zapytali żołnierze z warty.

— Łunę widać... Patrzcie...

Jakoż niebawem nawet stojący na dolnym pokładzie zauważyli w zachodniej stronie nieba czerwone odblaski. Skutkiem wielkiej odległości ten krwawy pas zdawał się ledwo co wystawać z morza. Ilekroć ogromna fala dźwignęła na swym szerokim grzbiecie przód jachtu, tyle razy złowroga smuga ognista stawała się szersza, wyraźniejsza. Ktoś przywołał komendanta. Teraz dopiero przypomniał sobie Otusawa, że do tej pory nie wydał rozkazu odprowadzenia jeńców do ich więzienia. Wydał więc szybko odnośne polecenie i przez lunetę badał uważnie złowieszcze zjawisko.

\* \* \*

Parami schodzili więźniowie po wąskich stopniach wiodących do najniższej części okrętu. Zawsze czujni Japończycy z konwoju szli tym razem jak ogłuszeni. Zamyśleni i niespokojni o los swych najbliższych nie zauważyli zupełnie porozumiewawczych spojrzeń jeńców, nie dosłyszeli szeptów spiskowców. I kiedy orszak znalazł się w dolnym korytarzu, nastąpił nagle napad. Po cztery wielkie łapy rosnących policjantów pochwytyły za szyje małych majtków japońskich. Po kilka rąk naraz wyciągnęło się po upragnione sześć karabinów wartowników. Zakotłowało się krótko i cicho w spokojnym korytarzu i chwilę później straż była rozbrojona i powiązana.

Energiczny Richardson objął komendę. Niedawnych dozorców a obecnych więźniów umieszczono w jednej celi pod strażą jednego muskularnego policjanta. Miał on tylko uważać, by więzy któregoś z jeńców się nie rozluźniły. Potem odbyto krótką naradę, na której postanowiono nie wychodzić na razie na pokłady jachtu, lecz poczekać aż noc zapadnie. Było też bardzo prawdopodobne, że zejdzie tu na dół więcej majtków, których będzie można napaść z nienacka i wziąć do niewoli. Tylko sam Richardson ruszył ostrożnie na zwiady.

## II

Pani Maud miała właśnie zrzucić piżamę i wziąć kąpiel przed pójściem do łóżka, kiedy rozwarły się pchnięte silnie drzwi kabiny i stanęło w nich dwóch marynarzy japońskich.

— Komendant panią wzywa — rzekł jeden łamaną angielszczyzną.

Zagryzła wargi i oparła się ciężko o poręcz krzesła. Obaj marynarze jak na komendę postąpili kilka kroków naprzód. Chcąc uniknąć przymusowego doprowadzenia i nowej kompromitacji, chwyciła szybkim ruchem swą jedwabną pelerynkę, zarzuciła ją na barki i ze spuszczoną głową skierowała się ku drzwiom.

Szybko minęła cichy, dywanem wysłany korytarz i zbliżała się do kabiny Otusawy. Na szczęście nie spotkała po drodze nikogo z gości markiza. Co by to był za wstyd!... Jaka hańba!...

Kiedy zamknęły się za nią podwoje kajuty Otusawy, dwaj strażnicy wykonali *wstecz zwrot* i powrócili na pokład, by obserwować wzrastającą wciąż łunę!

Hakari siedział rozparty wygodnie w fotelu tuż obok biurka zasłanego rozłożonego mapami. Długi czas spoglądał w milczeniu na stojącą w oczekującej postawie kobietę. Wreszcie rzekł krótko:

— Podejdź bliżej!

Posłusznie spełniła rozkaz. Tylko szerokie biuro ich teraz przedzielało. I znowu dłuższa cisza zapanowała w pokoju. Panią Maud zniecierpliwiła ta niema scena, więc odezwała się stłumionym, bezdźwięcznym głosem:

— W jakim celu mule prosileś?

Twarz Japończyka skrzywiła się w ironicznym uśmiechu.

— Prosiłem?... Nie... Ja kazałem cię przyprowadzić. — Zaakcentował silnie te słowa. — Kazałem cię sprowadzić, by ci oznajmić wesołą nowinę... Jutro o świcie mieliśmy stanąć w Tokio, jutro mieliśmy się rozstać na zawsze... Ty byłąbyś poszła do obozu internowanych, a ja do dalszej mej pracy. Lecz losy inaczej zrzędziły. Muszę was odstawić gdzie indziej i niejedną jeszcze noc razem spędzimy... Wiem, że cię to zmartwi, i dlatego mówię. Che, che, che, che... Przykra niespodzianka... Co?... Che, che, che... Tyś się cieszyła, że to już ostatnia nasza noc... że jutro poszukasz sobie innego kochanka... Choćby dozorcę internowanych, choćby majtka jakiego... byleby było urozmaicenie...

Pani Maud przerwała mu oburzona:

— Wstydź się, Hakari! To podłość przemawiać tak do kobiety!...

— Milcz!!! — ryknął Otusawa, waląc z całej siły pięścią w biurko. — Milcz ty... Amerykanko przekłeta! Znam ja was dobrze i wiem, co mówię. Jesteście bez wyjątku zepsute, zgniłe jak cała wasza cywilizacja. Wszystkie jesteście dziwkami... od najwyższych klas aż do tłumu nędznego. Choćby ty!... Jesteś żoną senatora, wysoko nosisz głowę, dumna ze swego stanowiska społecznego... a co ty jesteś?... Byłaś przedtem kochanką tego głupiego Włocha...

— To nieprawda! — zaprzeczyła, rumieniąc się gwałtownie.

— Che, che, che... Oczywiście, że ty tak musisz mówić, ale markiz co innego powiedział... Zaskoczyło cię?... Ano widzisz, biali gentlemani są warci białych kobiet. Są równie dyskretni, jak one cnotliwe... Tak, ty Amerykanko! Byłaś kochanką tego włoskiego bałwana i przedtem setek innych mężczyzn z pewnością... Na co zresztą wskazuje twoja rutyna w miłości... Che, che, che... I myślałaś, że mnie także owiniesz dokoła palca i będę ci nadszkiwał jak pajac...

— Czy po to mnie wezwałeś, aby...

— Nie skończyłem jeszcze, rozumiesz?!... — huknął na nią znowu. — Myślałaś, że będę zabawką w twych pięknych, lecz złych rękach... Nie, cnotliwa żono głupiego senatora Stanów. Hakari to nie bawidamek amerykański. Hakari to mężczyzna silny. I dlatego nie ty ze mnie, lecz ja z ciebie sobie zrobiłem zabawkę... niewolnicę...

— Ale nie wolno ci się ze mną brutalnie obchodzić. Pamiętaj, Hakari, że mogę się poskarżyć twym władzom, skoro przybędziemy do Tokio.

Drwiący uśmiech Japończyka zamarł momentalnie na dźwięk ostatniego słowa. Cichym, zmienionym głosem rzekł jakby do siebie:

— Tokio... piękne miasto... Nie ma już Tokio.

Pani Maud z wrodzoną kobietom ciekawością łowiła te wyrazy.

— Jak to, nie ma Tokio?... Czyżby trzęsienie ziemi... — zaczęła mówić, lecz Otusawa przerwał jej szorstko:

— Tak, przeklęta Amerykanko... Losy sprzyjają pobitym jankesom. Tokio, Yokohama i wiele innych, pięknych miast japońskich nie istnieje w tej chwili. Górne dzielnice płoną, dolne zalało morze lub runęły w szczeliny olbrzymie. Ilu tam ludzi zginąć musiało... ilu dzielnych ludzi! Wszystkie okręty handlowe i pasażerskie stojące w portach wyrzuciły fale na brzeg i roztrzaskały. Nawet kilka wojennych statków strzegących brzegów Japonii zerwał nagły przyptyw z kotwic i rozbił o skały. Tylko część floty pozostała i zajęła się ratunkiem tych nielicznych, którzy ocalili na lądzie... Straszne, straszne!!

W miarę jak mówił głos mu się zmieniał, cichł, aż załamał się jękiem bolesnym.

Pani Maud milczała obojętnie. W innych okolicznościach byłaby zapewne westchnęła, współczując, byłaby może łez kilka uroniła nad smutną dolą tych nieszczęśliwych ludzi. Tak, kiedy indziej, ale nie dzisiaj i nie w tej chwili. Zbyt głęboka była jej niechęć do tego brutala. Zbyt silnie zdążyła go zniechęcić... To, co jemu boleść sprawiało serdeczną, musiało ja napawać radością mimowolną, tak jak jej upokorzenie wywoływały uśmiech i zadowolenie tego tyrana.

Przenikliwy Japończyk szybko zrozumiał jej nastrój. Zerwał się z krzesła i stanął tuż przed nią. Lewą ręką podniósł jej brodę ruchem szorstkim i spytał stłumionym z wściekłości głosem:

— Cieszy cię to nieszczęście Japonii? Co?... No gadaj!!

Zalękniona kobieta nie odpowiedziała ani słowa. Jedwabna peleryna spłynęła jej z ramion i otuliła małe stopy. Otusawa powtórzył groźnie:

— No, gadaj!... Cieszysz się?... Ha... Oczy twe zdradzają, ty!...

Wymierzył jej prawą ręką policzek tak silny, że zachwiała się, a mając nogi oplątane płaszczem runęła na dywan. Przebrała się miarka cierpliwości sponiewieranej kobiety. Powstrzymała strasznym wysiłkiem woli łzy cisnące się gwałtem do oczu i zawołała głośno:

— Tak... cieszę się z tej katastrofy! Jeżeli wszyscy Japończycy są takimi podłymi psami jak ty, to niech zdychają! Niech ich ogień spa... — Nie skończyła, bo rozwścieczony Otusawa runął na nią jak burza. Przygniótł ją na wznak i zaczął okładać pięściami po głowie i piersiach. Przez chwilę broniła się i zasłaniała ramionami, krzycząc równocześnie rozpaczliwie. Ale napastnik przygwoździł jej ręce kolanami, usiadł okrakiem na brzuchu powalonej i jedną dłonią zatkał jej usta. Przez chwilę przeszywał ją strasznym wzrokiem. Pod siłą tego oszalałego, wściekłego spojrzenia, zamknęły się strwożone powieki kobiety. A Japończyk zasyczał jej w ucho złowrogo:

— Ty źmijo podła!... ja ci zapłacę za te słowa... ja cię oszpecę tak, że żadne

oko nie spojrzysz na cię bez wstępu... Nie znajdziesz już kochanka...

Pani Maud rozwarła oczy szeroko. Malowała się w nich trwoga śmiertelna.

Otusawa ciągnął dalej w paroksyzmie zupełnego obłądu:

— Boisz się?... To dobrze... Słuchaj dalej!... Obmyśliłem ci już karę. Tyś się śmiała z nieszczęścia, więc.... uwiecznię ten uśmiech... Nożem ci rozpruję usta aż do uszu... Che, che, che, che, che. Będiesz zawsze uśmiechnięta... rozkosznie uśmiechnięta... Mąż cię nie pozna.

Przerażone oczy pani Maud spostrzegły, że Japończyk wolną ręką sięga w zanadrze, szukając sztyletu czy noża. Rozpaczliwym wysiłkiem mięśni szarpnęła się w bok i zdołała głowę odwrócić. Zdołała dopaść zębami tej żółtej łapy, która jej oddech tłumiała... zdołała ugryźć ze wszystkich sił.

— Na po!!-moc!!!

Krzyknęła tak silnie, że struny głosowe chciały pęknąć. Ale nikt się nie zjawił. Skrwawiona, ugryziona dłoń znów jej zakryła usta. Wytrzeszczonym zgrozy oczom ukazało się lśniące ostrze cienkiego sztyletu. Powoli... powoli... obniżało się, aż dotknęło zimną stalą prawego policzka kobiety. Ugięła się skóra i pękła. Ciepła krew zalała oko i nos ofiary. Pani Maud zemdląca...

W tej samej sekundzie rozwarły się drzwi z korytarza, pchnięte siłą olbrzymią. Do kabiny wpadł Władek i trzech policjantów. Zanim Hakari zdołał sięgnąć ręką do kieszeni po rewolwer, jeden z policjantów schwycił mu dłoń w przegubie a drugi zamierzył się nań pięścią.

Lecz Japończyk był szybszy, zwinniejszy. Z całej siły wbił sztylet w pierś jednego policjanta i zakrwawioną bronią przeorał w poprzek twarz drugiego. Lecz przy tej okazji upuścił straszliwe żelazo na ziemię. Nie tracąc czasu na dobywanie rewolweru, pochwycił Władka lewą dłonią za przegub jego prawicy i prawą rękę przeciągnął błyskawicznym ruchem między nogami chłopca i opasał jego prawe udo. Schylił się potem i z ogromną siłą przerzucił lekkiego stosunkowo przeciwnika przez siebie. Ale w tej chwili wpadł w „serdeczne” objęcie czwartego z przybyłych. Uczuł Hakari, że z tych uścisków nie wydobędzie się tak łatwo. Piorunowym spojrzeniem ogarnął sytuację. Przebity policjant leżał na wznak na dywanie, tuż obok zemdlonej Maud. Drugi, siedząc na ziemi, oparł się plecami o biurko, trzymał obiema dłońmi przeciętą twarz i jęczał strasznie. Przerzucony znakomitym chwytem ju-jitsu Władek, upadł na twarz. Potłukł się porządnie, ale lada moment mógł się pozbierać i przyjść z pomocą walczącemu towarzyszowi. Należało się bardzo spieszyć. Tym bardziej, że skoro więźniowie zdołali się wyrwać ze swych cel, to każdej chwili mógł nadbiec jeszcze któryś z nich.

Zmaganie się z tym olbrzymim policjantem trwało już dobre dwadzieścia sekund, kiedy Otusawie udało się oswobodzić prawą rękę. I kiedy przeciwnik dźwignął go wysoko w górę, by palnąć nim o ziemię, zdradzieckim ciosem pięści dosięgnął Japończyk skroni napastnika. Olbrzym zachwiał się na swych mocnych

nogach i rozluźnił uścisk stalowy. Tamten tylko na to czekał. Jak wąż wyslizgnął się z objęć ogłuszonego i dopadł otwartych drzwi.



## ROZDZIAŁ XII

### Bitwa na pędzącym jachcie

#### I

Dziwna sytuacja wytworzyła się na *Aurorze*. Prawie cały jacht wraz z mostkiem kapitańskim opanowali zbuntowani jeńcy, którzy też zdołali większość Japończyków wziąć do niedoli i powiązać. Otusawa z pięcioma majtkami zabarykadował się na tyle parowca. W jego rękach znajdowała się stacja nadawcza i odbiorcza telegrafu bez drutu, więc mógł swobodnie wzywać pomocy japońskich samolotów czy torpedowców patrolujących przy brzegach kraju ojczystego. I nie próżnował Hakari aż do świtu. Depeszę za depeszą wysyłał bez przerwy, ale nie odpowiadano mu zupełnie. Statki były czym innym zajęte. Ogrom straszliwej katastrofy przeszedł wszelkie oczekiwania strwożonych serc poddanych mikada. Wszystkie okręty japońskie znajdujące się w pobliżu, wszelkie parowce innych mocarstw spieszyły na pomoc nieszczęśliwym ofiarom trzęsienia ziemi.

Amerykanie, opanowawszy koło sterowe na mostku kapitańskim, zmienili kierunek statku. Zawrócili na południowy wschód, w stronę wysp Marianów. Olbrzymie łuny ponad ruinami Japonii wiszące mały stopniowo w miarę oddalania się jachtu, jak i skutkiem zbliżającego się wschodu słońca.

Z brzaskiem dnia ustała bezcelowa strzelanina obu obozów. Jedna i druga strona oszczędzała naboju, jedna i druga pilnowała się dobrze i nie dawała celu kulom nieprzyjacielskim.

Mister Pomiferous, mister Richardson, miss Brown i Włodek zeszli ostrożnie do kajut, gdzie siedzieli strwożeni goście markiza de Garroniego. Odbyto krótką naradę. Kucharz *Aurory* zameldował, że żywności dla wszystkich osób statku wystarczy zaledwie na cztery dni. Jeszcze gorzej wyglądał raport mechaników. Przy tak forsownej jeździe musiało się paliwo wyczerpać za dwie doby. Gdyby nawet udało się spotkać jakiś okręt i nabyć nowego paliwa, to kotły machin absolutnie nie wytrzymają trzeciej podróży przez Pacyfik bez kilkudniowego odpoczynku i małego remontu czy reperacji. Zdaniem naczelnego mechanika

naprawy dałyby się skutecznie w ciągu czterech do sześciu dni.

Jednym słowem perspektywy były bardzo niewesołe. Rozpoczęto tedy układy z przeciwnikiem. Pierwszą swą „notę” zredagował mister Pomiferous w tonie nader wojowniczym, celem przerażenia nieprzyjaciela.

Brzmiała ona, jak następuje:

*Wzywam was do natychmiastowej kapitulacji. Daję kwadrans do namysłu, po czym nastąpią represje. I tak: 1) Zniszczymy antenę i aparat telegrafu beziskrowego; 2) Nie dostaniecie żadnej żywności i głód was zmusi do poddania ; 3) Obrzucimy was ręcznymi granatami i przypuścimy ostateczny atak; 4) Tych, którzy nie zginą, odwieziemy do Stanów i oddamy do dyspozycji odnośnych władz, jako zwyczajnych piratów-bandytów. W razie dobrowolnej kapitulacji będziecie traktowani jak jeńcy wojenni. Namyślić się i odpowiedzieć.*

Uzbrojony w białą chorągiew policeman ruszył w stronę „pozycji nieprzyjacielskich”, powiewając groźnym ultimatum pana inspektora. Przeszło dziesięć minut oczekiwania, zanim wysłannik powrócił z odpowiedzią Otusawy. Japończyk odpisał równie wojowniczo jak mister Pomiferous.

Kiedy wszyscy ze starszyzny zebrali się w kajucie, mister Richardson z polecenia swego zwierzchnika odczytał głośnie odpowiedź Otusawy.

*Ani nam w głowie kapitulować. Jeżeli zniszczycie antenę, to my przetniemy łańcuchy steru i statek popłynie tam, gdzie sam zechce. Z wygłodzeniem nie jest tak źle. Mamy żywności na tydzień, natomiast wy jej posiadacie zaledwie na dwa dni.*

*Cieszycie nas bardzo perspektywa przejazdzki do Stanów. Widocznie wyłowiliście z morza węgiel, bo wczoraj już były ostatki. Zresztą za trzy godziny szanse się zmieniają, gdyż udało mi się wezwać torpedowiec, który już rozpoczął pościg za „Aurorą”. W międzyczasie możecie spróbować tego ataku, którym nas chcecie nastraszyć. Czekamy z palcem na cynglu. Wiele pozdrowień od*

*Otusawy.*

W miarę odczytywania brawurowej odpowiedzi Japończyka w dziwny sposób rzedła mina mister Pomiferousa. Zwłaszcza ten torpedowiec zaniepokoił go poważnie. Niepewnym tedy wzrokiem spojrzał dokoła i rzekł:

— Cóż panowie na to?... Ten drab kpi z nas najwyraźniej.

Energiczna jak zawsze miss Brown zabrała głos:

— Przede wszystkim trzeba przyjąć te przechwałki z największą ostrożnością. W ten torpedowiec nie wierzę zupełnie. Jeszcze mniej jest prawdopodobne, by Otusawa mógł mieć żywności na tydzień. Cała spiżarnia

znajduje się w naszych rękach. Jedyną poważną groźbę stanowi zamiar przecięcia łańcuchów steru. To by nas zgubiło nieuchronnie. Moim zdaniem Otusawa chce wytargować warunki jak najkorzystniejsze i aby mieć z czego opuszczać, zaczął tak samo górnolotnie, jak... my.

Markiz de Garroni i jego goście podzielali w zupełności zdanie dzielnej agentki. Mister Richardson rzekł:

— Trzeba rozpocząć ustne układy. Ja się podejmę tej misji a przy tej sposobności postaram się wybadać, jak on się tam ufortyfikował. Przyniosę wam ostateczne warunki tego Japończyka.

W rzeczywistości położenie Otusawy nie było wcale godne pozazdroszczenia. Żywności nie mieli absolutnie żadnej i po nieprzespanej nocy żołądki zaczęły się dopominać o swoje prawa. Z amunicją było bardzo kiepsko. Żaden torpedowiec *Aurory* nie ścigał, gdyż żaden statek w ogóle nie raczył na rozpaczliwe depesze Japończyka odpowiedzieć.

Toteż na pokładzie pojawił się nowy parlamentarz w osobie agenta Richardsona i kiedy zdecydowanym krokiem pośpieszył na tył statku, Hakari przyjął go ze źle ukrywaną radością.

Półtorej godziny trwały targi zajadłe; Richardson powrócił wreszcie donosząc, że ostateczne warunki przeciwników streszczają się w następujących punktach:

- 1. Japończycy otrzymają wielką motorówkę, do której wsiądą wraz z majtkami wziętymi przez Amerykanów do niewoli.*
- 2. Miss Mary Teacher będzie dołączona do tej odjeżdżającej partii.*
- 3. Amerykanie wydadzą rację żywności i słodkiej wody na dwa dni dla wszystkich opuszczających statek.*

W gabinecie właściciela statku rozpoczęła się długa, zawzięta dyskusja na temat przyjęcia lub odrzucenia tych wygórowanych żądań. Sam markiz, któremu chodziło w pierwszym rzędzie o całość jachtu, a także jego goście, którzy obawiali się strzelaniny i jej skutków, byli za przyjęciem tych warunków i jak najszybszym pozbyciem się ze statku niebezpiecznych sąsiadów. Lecz mister Pomiferous i para agentów byli innego zdania. Nie godziło się to z ich policyjnym sumieniem, by w takich warunkach wypuszczać z rąk niebezpiecznych szpiegów. Nie chodziło im zupełnie o tych kilkunastu majtków japońskich, boć to byli tylko zwyczajni żołnierze. Ale miss Teacher a przede wszystkim sam Otusawa stanowił kłasek, którego lekkomyślnością było się dobrowolnie wyrzekać.

I kiedy markiz de Garroni zaczął nalegać na inspektora, aby tych Żółtych wypuścił na umówionych warunkach i kiedy przystał na darowanie im swej motorówki, mister Pomiferous przyobiecał sprawę pomyślnie załatwić i prosił

tylko, aby przez cały czas nikt z gości *Aurory* nie wychodził na pokład.

— Japończycy może udają tylko zgodę, a przygotowują nam zasadzkę — mówił do markiza, mrugając znacząco w stronę Richardsona.

Gdy zaś znaleźli się na pokładzie wśród grona oczekujących policemanów, mister Pomiferous powiedział wprost do pary agentów:

— Ani mi się śni wypuszczać tych drabów, zgodzimy się pozornie i kiedy zaczną się zabierać do odjazdu, napadniemy na nich i zwiążemy jak należy.

Władek skrzywił się z niesmakiem i rzekł:

— Jednym słowem, dopuścimy się zdrady i złamiemy układy.

Pan inspektor zrobił minę wyniosłą i obrażoną. Napuszył się groźnie i powiedział najśladszym tonem:

— Sir, jesteś jeszcze bardzo młodym człowiekiem. Gentleman dotrzymuje słowa danego drugiemu porządnemu człowiekowi, ale wobec bandytów czy szpiegów to go nie obowiązuje. Raczy pan tedy zechcieć pozostawić mnie ocenę moralności mego postępowania.

Władek wzruszył ramionami i mruknął cicho pod nosem:

— Ano, skoro mnie tak słodko prosisz, to rób, co chcesz, ty „jabłka-rodzący”.

W międzyczasie Otusawa przemyślał nad wyjściem z sytuacji. Jego ambicja była boleśnie zadraśnięta udanym buntem tych jeńców. Wstyd go palił na myśl, że on, niedawny komendant tego statku, musi się teraz prosić o wypuszczenie z przykrego położenia. Chytra natura Japończyka nie godziła się na takie rozwiązanie sytuacji. Postanowił napaść zdradziecko na policjantów, skoro tylko zaczną rozcinać więzy tamtych zamkniętych majtków. Szybko wydał rozkazy swoim pięciu marynarzom.

I tak zrządziły losy, że obie strony przygotowywały sobie nawzajem niespodzianki, co musiało doprowadzić do krwawej walki. Tak się też stało rzeczywiście.

Stosownie do warunków rozejmu przyprowadzili Amerykanie związanych jeńców i umieścili ich w motorówce, umyślnie nie przecinając im więzów. Wówczas Otusawa wyszedł ze swej kryjówki wraz z pięcioma uzbrojonymi marynarzami i na pokładzie spotkał się z sześcioma policjantami, którzy mieli mu wręczyć żywność. Hakari rozglądnął się i zawołał głośno w stronę inspektora, który przezornie umieścił się za plecami swych podwładnych:

— Gdzie jest Miss Mary Teacher?... Dlaczego jej nie przyprowadzono?

— Już idzie — odparł zapytany złowrogo słodkim głosem.

— Powinna już tu być w myśl warunków rozejmu!

Starał się zagadać przeciwników. W tym czasie pouczony majtek zbliżał się zgrabnie do związanych w łodzi kolegów, by im przeciąć postronki i w krótkich słowach poinformować, co mają robić. Skośne oczy Otusawy dostrzegły, że

wysłany marynarz już dociera do łodzi motorowej. Więc krzyczał głośno:

— Sprowadzić mi natychmiast miss Teacher. Racje żywności się również nie zgadzają. To zdrada!... Baczność chłopcy!

Mister Pomiferous zauważył, że Richardson ukazał się w oknie kabiny na tyłach Japończyków. Nieprzyjaciel był więc już otoczony. Tedy mężny inspektor huknął na całe gardło:

— Brać ich!

Skoczyli olbrzymi, ciężcy policemani na przeciwników, lecz kule japońskie ich uprzędziły. Zwałiło się czterech wielkich chłopów na ziemię u samych stóp strzelających majtków. Ale w tej samej chwili wypadł z tyłu Richardson, rzucił się na Żółtych i rozpętała się walka bezładna. Nie doszło do drugiej salwy. Walczący pochwycili się w pól, wrywali sobie karabiny! Łapy-szpony szukały nerwowo gardzieli przeciwników.

Otusawa, jedyny z Japończyków, posiadał rewolwer, ale widocznie pech go prześladował w tym dniu. Zaledwie dwa celne strzały zdołał oddać w ciżbę napastników, kiedy broń się zacięła i zawiodła. Nie pora było ją teraz naprawiać. Wycofująca się z lufy wystrzelona gilza nie zdążyła wyskoczyć i zderzyła się z nabojem, wypchanym przez sprężynę z magazynka. To wymagało przynajmniej dwudziestu sekund na reperację. Hakari podbił rękę nadbiegającego Richardsona, huknął lufą rewolweru jakiegoś napastnika w przelocie i wskoczył w najbliższe otwarte okno kabiny.

Pozbawieni wodza i opadnięci przez przeważną liczbę wrogów mali Japończycy skapitulowali. W tym samym czasie miss Brown przy pomocy Władka rozbroiła marynarza zajętego przecinaniem więzów kolegom w motorówce. Amerykanie zwyciężyli na całej linii. Tylko herszt bandy, przeklęty Otusawa, zdołał się gdzieś zaszyć w głębi obszernego jachtu.

Część oddziału pod komendą Richardsona udała się na ekspedycję przeciwko zbiegowi, reszta zajęła się ratowaniem rannych kolegów oraz jęczącego głośno inspektora. Kula Otusawy utkwiała w potężnym udzie mister Pomiferousa. Niestety nie obyło się bez ofiar w ludziach. Dwóch policemanów zginęło od salwy przeciwników, a jeden z małych japońskich marynarzy udusił się pod uściskiem wielkiej łapy policjanta amerykańskiego. Ten trup wyglądał najstraszniej.

Piękny, luksusowy jacht zamienił się w maleńki szpital. W osobnej kabinie leżała nieszczęśliwa pani Maud. W drugiej jęczał donośnie mister Pomiferous. We wspólnej kajucie, gdzie od wczoraj leżało dwóch policjantów poranionych ciężko przez Otusawę, złożono teraz dalszych czterech Amerykanów oraz trzech Japończyków.

Kwadrans później nadbiegł Richardson. Miss Brown zapytała niecierpliwie:

— No i co? Dostaliście go, czy się poddał dobrowolnie?

— Dostaliśmy go, ale... nieżywego. Zamknął się w jakiejś łazience i zaczął

strzelać, skoro podważyliśmy drzwi. Potem ścichł nagle. Kiedyśmy się nareszcie wdarli do środka, leżał już na ziemi.

— Strzelił do siebie?

— Nie... Poszedł za tradycją narodową. Popęłnił wzorowe harakiri.

Dosłownie rozpruł się cały. Brrr... Różne trupy widziałem, ale tak zmasakrowanego nigdy... Nie radzę pani iść na niego popatrzeć. Może się przyśnić.

Miss Brown wzruszyła ramionami lekceważąco. Zwróciła się do obok stojącego Władka:

— Mister White, niech pan pójdzie ze mną. Zobaczymy tego nieboszczyka. To doskonale hartuje nerwy. Ja, która tyle czasu spędziłam w prosektoriach, nie przejmuję się zupełnie takim widokiem.

## II

Pomimo zapuszczonych firanek wiele światła wdierało się przez dwa szerokie okna pokoju hotelowego. Szyby były zamknięte, aby powstrzymać wtargnięcie dokuczliwego upału, jaki na dworze panował. Wysoko umieszczony wentylator warczał zajadle i młócił małymi śmigami rozgrzane powietrze pokoju.

Władek siedział tuż obok łóżka i czytał leżącej pani Maud przyniesione niedawno dzienniki. Zmęczyły go już porządnie tasiemcowe artykuły gazet o nawiązaniu rokowań pokojowych pomiędzy Stanami a Japonią. Omalże nie zachryplł dzięki długim opisom korespondentów wojennych, a pani Maud wciąż słuchała cierpliwie i domagała się dalszych nowin. Kiedy przymknęła na chwilę oczy, przerwał nużącą lekturę i odezwał się półgłosem:

— Może chce pani teraz trochę odpocząć?

— Panu raczej należy się odpoczynek — odparła, uśmiechając się blado.

Potem uniosła nieco głowę i dodała głosem bardzo stanowczym:

— Niech mi pan pokaże tę depeszę od wuja.

Władek zmieszał się widocznie. Nie miał odwagi spełnić jej życzenia. Tom Ray ucieszony niespodzianym telegramom z Szanghaju odpowiedział siostrzeńcowi depeszą iście amerykańskich rozmiarów. Między licznymi nowinami donosił mu także, że senator Patrick O'Connor zmarł nagle na atak serca. Jakże więc mógł pokazywać tę depeszę nieszczęśliwej kobiecie?... Wprawdzie rana pani Maud okazała się stosunkowo lekka, ale przyplątał się jakiś złośliwy rozstrój nerwowy, który zachmurzał kilkakrotnie czoło starego miejscowego lekarza. Zalecono chorej spokój, bezwzględny spokój i unikanie wstrząsów.

Młoda wdowa nalegała silnie:

— Dlaczego nie chce mi pan wyświadczyć tej przysługi? Pan coś ukrywa przede mną... Dlaczego?... Dlaczego?... Ja wiem, że stało się coś złego, ja to

odczuwam... Proszę mi powiedzieć... Ja bardzo proszę.

Ostatnie słowa powiedziała głosem pieszczotliwym, przymilnym. Przychyliła główkę ruchem grymaśnej, kapryśnej kotki. Uśmiechnęła się zalotnie, obiecująco. Nagle przypomniała sobie swą ranę na policzku i łzy zaperliły jej się w oczach.

— Prawda, że mój uśmiech już nikogo nie skusi... Tak przecież powiedział ten łotr... Oszpecę cię, mówił. Jestem teraz brzydka, wstrętna... No powiedz... powiedz pan, że tak!... Dawniej, gdybym tak skomlała prosiła, nie potrafiłby mi pan odmówić tej drobnostki, ale dziś, kiedy...

Władek przerwał jej z żywością niezwykłą:

— Ależ, Maud!... jak możesz!... Niech pani daruje, że ją nazywam tak poufale, lecz tak to jakoś szczerzej brzmi. Moja słodka Maud!... Nie mów tak przykrych rzeczy. Ten pies japoński wcale cię nie oszpecił. Na szczęście przybiegliśmy dość szybko. Doktor mówił, że tylko drobna kreska zostanie. Pod lekką warstewką pudru nie będzie ani śladu tego małego skaleczenia... Jesteś zawsze śliczną, czarującą kobietą.

Jakby dla potwierdzenia tych słów zaczął skwapliwie całować wyciągnięte na cienkiej kołderce rączyny kobiety. Potem mówił dalej:

— Depeszy wuja nie mam przy sobie. Zostawiłem ją na *Aurorze*. Jeżeli ci tak na tym zależy, to ją przyniosę jutro. Moje małe choraszki!.. Wyzdrowieje mi ładnie, pójdzie ze mną zwiedzić piękny Szanghaj, a potem wrócimy do Stanów. Tylko się nie martwić niepotrzebnie!

Słowa dobrego chłopca koiliły jak balsam serce i nerwy chorej. Poweselała widocznie, lecz jeszcze się dopytywała:

— Naprawdę doktor mówił, że znać tego nie będzie? — Tu dotknęła lekko paluszkami bandaża na twarzy.

Władek palnął się pięścią w piersi i wyrwał się mimowolnie po polsku:

— Jak Boga kochani, że mówił! — Potem połapał się i roześmiany wesoło zaczął tłumaczyć to zaklęcie na język angielski.

Gorące zapewnienia chłopca okraśniały twarzyczkę pani Maud uśmiechami szczerzej radości. Któżby kobieta zresztą nie ucieszyłaby się w takiej chwili?... Więc nie udało się temu łajdakowi dopiąć swego celu... Nie udało mu się oszpecić pięknej twarzyczki młodej kobiety.

Rozmowa przeszła na weselsze tematy. W tej chwili zapukał ktoś do pokoju.

Weszła miss Brown. Szybkim badawczym spojrzeniem obrzuciła Władka i panią Maud. Potem usiadła po drugiej stronie łóżka i rzekła:

— Widzę, że pani znacznie lepiej dziś wygląda. Najważniejsza rzecz to optymizm i dobry humor.

Chora wskazała ręką na Władka i odpowiedziała z uśmiechem:

— To jemu tylko zawdzięczam. Poczciwiec stara się mnie rozerwać i

rozchmurzyć, jak tylko najlepiej potrafi.

Agentka znów obrzuciła ich oboje przenikliwym wzrokiem. Potem zmieniła przedmiot rozmowy:

— Czy wiecie już o tym, że pokój został definitywnie zawarty?

— Nie... Nie, nie słyszałem — odparł Władek.

— Właśnie wyszły nadzwyczajne dodatki. Między nami mówiąc, to ta katastrofa żywiołowa w Japonii uratowała Stany przed podpisaniem haniebnego traktatu.

— Jak brzmią warunki pokojowe?

— Stany zrzekły się Filipin i przyrzekły złagodzić ustawę skierowaną przeciw imigrantom japońskim.

— A Sandwiche?

— Pozostają przy nas. Również nie musimy płacić żadnej kontrybucji ani nawet kosztów wojennych. Wojska japońskie opuszczają już Kalifornię i powracają do swego zburzonego kraju.

Władek westchnął i powiedział ze szczerym współczuciem:

— Biedna Japonia. Pięć milionów zabitych w jednej katastrofie to nieludzko dużo. To strasznie wiele... I kosztem nieszczęścia jednych poprawił się los drugich.

— Tak, mister White. Tak zawsze bywa. Mnie nie żal tego kraju zupełnie. To dzicz, której rzekome gentlemaństwo u nas silnie przereklamowano. Było to zresztą dziełem ich sprytnej propagandy. Tendencyjne filmy i egzotyczne powieści otoczyły czarującym nimbem ich rycerskość i inne zaloty narodowe. A kim są w rzeczywistości? Jakim zwierzęciem jest taki żółty drab, to ta pani najlepiej może powiedzieć, bo na własnej skórze doświadczyła ich „rycerskości”. Ja jestem Amerykanką i patriotką. Nie waham się powiedzieć, że Stany muszą się cieszyć z tej katastrofy. Gdyby nie pomoc losu, który w sam czas zesłał na wrogów to trzęsienie ziemi, bylibyśmy zgnieceni pomimo ostatniego zwycięstwa naszej floty atlantyckiej.

Władek spojrział na nią dość niechętnie i mruknął półgłosem:

— Musielibyście zapłacić te trochę dolarów, oto wszystko.

— Nie chodzi o dolary, mister White, ale o honor państwa.

— ...ocalony kosztem śmierci tych pięciu milionów biedaków — przerwał jej Białoszyński, a widząc, że gotuje się do gruntownej repliki, machnął ręką i rzekł pośpiesznie:

— To darmo, miss Brown... Nie przekona mnie pani i nie zrozumiemy się nigdy... pod tym względem — złagodził ostatnimi trzema słowami szorstkość swego powiedzenia.

Aby przerwać chwilę przykrego nastroju, pani Maud zwróciła się do agentki z pytaniem innej treści:

— Co porabiają inni ranni?



— Leżą w mieście wszyscy. Konsulat Stanów wypłacił nam wszystkim potrzebne pieniądze. Zresztą pojutrze odjeżdżamy stąd wszyscy razem *Aurorą*. Byłam wczoraj na jachcie i rozmawiałam z markizem. Przygotowania do podróży są na ukończeniu. Odwiedziłam także tę miss Teacher.

Agentka z naciskiem wymówiła to nazwisko i po raz trzeci zagładnęła badawczo w oczy Władkowe. Ale Białoszyński dawno już wygnał z serca uroki rzucone niegdyś przez *słodką Mary*. Z zupełną obojętnością rzucił:

— No i co?

— Nic, siedzi sobie tam pod kluczem. Nie można jej było tu na brzeg wysadzać. Zawsze to państwo neutralne, a nawet po cichu sprzyjające Japonii, ona zaś jest niby politycznym przestępcą. Dlatego też pozostała na statku. Majtków japońskich, tak zdrowych jak i rannych, skierowaliśmy do ich konsulatu i... — nie skończyła, bo ktoś ostro do drzwi zapukał.

— Proszę rzucił ktoś z obecnych.

Po pokoju raczej wpadł, niż wszedł, Richardson. Przywitawszy się ze wszystkimi, zaczął od razu:

— Słyszeliście ostatnią nowinę?

— Owszem. Pokój zawarty — odparła agentka.

— Ależ nie o politykę mi chodzi. Lepszą mam sensację. Miss Teacher dała drapaka...

— Niemożliwe! Jak to? Uciekła ze statku?

— Uciekła ze statkiem — agent zmienił przypadek rzeczownika.

— Nie rozumiem.

— Bardzo po prostu. Zawróciła w głowie temu markizowi tak, że podniósł kotwicę *Aurory* i zwiął. Do Pomiferousa napisał list pożegnalny tej treści, że nie zamierza na swym jachcie urządzać szpitala ani też jeździć w asyście policjantów. Napisał też inspektorowi, że musiała zająć jakaś pomyłka, gdyż wykluczone jest, aby tak anielsko dobra i piękna kobieta jak miss Teacher mogła być zwykłą zbrodniarką. On w to nie wierzy absolutnie i aby się samemu przekonać, kim ona jest właściwie, zabiera ją ze sobą i wracają przez Indie Wschodnie do Europy... Co pani na to, miss Brown? Ładny kawał nam urządził ten Włoch, a taki się głupi wydawał na pozór.

— Właśnie dlatego potrafiła go tak łatwo omotać — odparła agentka, a Władek skrzywił się lekko i pomyślał: — To ma się niby także do mnie odnosić... A to cięta osa z tej niewiasty.

Richardson zakłopotał się nagle i rzekł:

— Z próżnymi rękoma powrócimy teraz do naszego starego New Yorku.

— No, tak znów źle nie jest. Mieliśmy za zadanie odszukać mister White'a i z tego zadania wywiązaliśmy się dobrze. Z naszej przyczyny Otusawa własną ręką się ukarał, a ta Teacher prędzej czy później wpadnie w ręce sprawiedliwości.

— Może te przejścia nawrócą ją na drogę cnoty — powiedział Władek, aby na przekór zrobić agentce. I udało mu się, bo miss Brown odparła ze źle ukrywaną złością:

— To jest bardzo problematyczne. Takie zbrodniarki nie podnoszą się prawie nigdy z upadku.

— Kto wie — rzucił jeszcze Białoszyński i patrzył zaczepnie w oczy poirytowanej trochę detektywki.

## ROZDZIAŁ XIII

### Niezwykłe oświadczyńy

#### I

Podróż przez olbrzymi Pacyfik przeszła zupełnie szczęśliwie. Tylko jeden raz była silna burza, tak że nawet potężny, siedemdziesiątysięcznotonowy *Prezydent Wilson* podskakiwał na wzburzonych falach, jak podłotek przy mazurze. Tylko jeden raz noc była tak piękna, upojna i parna, że Władek, odprowadziwszy panią Maud do jej kabiny, pozostał tak aż do dnia białego. Tylko jeden raz przyszła smutna chwila, kiedy chłopiec obwieścił pięknej, młodej kobiecie, że już od dawna jest wdową.

A potem wylądowali w San Francisco.

Trzymilionowe miasto miało jeszcze niezagojone rany po bombardowaniu japońskim. Jeszcze liczne oddziały Żółtych obozowały w pobliżu, czekając na przybywające nieregularnie statki transportowe.

Jeszcze w czasie swej morskiej podróży rozmawiał Władek dwukrotnie telefonem iskrowym z New Yorkiem. Wuj cieszył się bardzo z jego powrotu i zapowiadał, że obfitą pocztę, jaka w międzyczasie przyszła do siostrzeńca, wysyła ekspresem do hotelu *Majestic* w San Francisco. Ale po przybyciu do tej stolicy Kalifornii Władek dowiedział się, że żadna przesyłka jeszcze z New Yorku nie przyszła. Aby się z nią więc nie rozminąć w drodze, postanowił poczekać tu dni kilka i odpocząć nieco po podróży. W międzyczasie podpisał w urzędzie akt spółki z miss Brown i mister Richardsonem. Przedsiębiorczy detektyw zaopatrzył się w pełnomocnictwa obu współników i wyjechał natychmiast na północ do Seattle, aby z gminą miasta zawrzeć kontrakt kupna-sprzedaży złotodajnej Kotliny Milczenia.

Dwa dni zeszyły Władkowi na wspaniałych wycieczkach w towarzystwie rozkosznie roześmianej pani Maud, której było doskonałe do twarzy w lekkiej, bardzo lekkiej żalobie. Młoda wdowa nie uprawiała już teraz flirtu dla flirtu, jako takiego, lecz zamierzała temu stosunkowi do kochliwego chłopca narzucić jakąś bardziej trwałą, bardziej legalną formę. I wnet oplotła Władka niewidzialna i

mocna sieć czaru pięknej kobiety, która umiała konsekwentnie zdążać do wytkniętego celu. Która potrafiła rozsiać dokoła siebie atmosferę upojną i zmysły przywiązującą.

Trzeciego dnia pobytu w San Francisco nadeszła paczka zawierająca pocztę. Była tam cała sterta kartek i listów od rodziców, od Marysi, od przyjaciół czy kolegów z Polski i jeden telegram.

Białoszyński, będąc typem na ogół konserwatywnym, zaczął lekturę od depezy.

Nadała ją miss Teacher w Kalkucie.

*Vlad kochany. Niestety uwierzyłeś bajkom agentów i osądziłeś mnie nazbyt surowo stop Moim złym duchem był Hakari, ale ciebie jednego kochałam i Kocham stop Pocziwy markiz odwiezie mnie do Anglii stop Zobaczymy się jeszcze, na razie pisuj do mnie pod adresem...*

— Nie ma głupich! — krzyknął Władek energicznie i monologował z zawziętością iście mazurską: — Niechże cię *pocziwy markiz* zawiezie nawet do Honolulu! Nie jestem zazdrosny zupełnie. A co do bajek, to nie musiał mi nikt nic gadać. Na własne oczy widziałem wszystko tam w Kotlinie Milczenia... Do kosza z tym telegramem.

Załatwiwszy się w ten sposób z depezą, ułożył w chronologicznym porządku, wedle stempla pocztowego korespondencję Marysiną i zaczął uważnie czytać.

Już pierwsze pocztówki z pozdrowieniami wzruszyły go bardzo. Te proste słowa złotowłosej dziewczyny, którą pozostawił tak daleko, w starej Europie, topiły mu teraz serce jak wosk. Rozczulały go serdecznie i paliły wyrzutem, że mógł tak prędko o swych przysięgach zapomnieć.

Z kolei szedł list z wiadomością o śmierci leśniczego. Wielki smutek i żałość bezmierna wiały z tego pisania opuszczonej, biednej sieroty. Nie wiedzieć skąd i jak, spocły się nagle oczy Władkowe. Rozmazał sobie kułakiem na twarzy łyzy słone, niemęskie.

Lecz ostatni list był krótki i straszny. Marysia pisała tak:

*Władku!!!*

*Narzucać ci się nie chcę. Więcej nie napiszę nigdy, jeżeli i tym razem też nie dasz żadnej odpowiedzi. Ty nie wiesz, co to los sieroty rzuconej pomiędzy ludzi złych. Jeżeli przestanę być niewinną dziewczyną, wina będzie li tylko twoja. Wyłącznie twoja! Bronię się, jak mogę, przed tym najgorszym, lecz nie na długo już starczą me siły.*

*Żegna cię twoja niegdyś Marysia.*

*Stawiska koło Chabówki, dnia 22 lipca 1947*

Białoszyński zerwał się na równie nogi i ścisnął głowę rękoma. Jęknął:  
— Boże mój! Dziś mamy ósmy sierpnia. Jadę do Polski! Natychmiast wracam. Wuj się zgodzi na wszystko. Chyba papa... hm... Ale głupstwo! Postawię go wobec faktów dokonanych. Dużo mi zrobi...

Porwał za słuchawkę telefoniczną. Odezwała się portiernia hotelu *Majestic*. Władek krzyknął w mikrofon niecierpliwie:

— Hallo!!! Proszę połączyć z biurem Cooka! Tak, Thomas Cook...

Chwilę później zacierał już ręce zadowolony ze siebie. Udało mu się jeszcze zamówić jedno łóżko w sleepingu nocnego samolotu. O dwudziestej trzeciej odlatywał pospieszny aeroplan ze San Francisco. Teraz była dopiero szesnasta. Całe siedem godzin czasu.

Zabrał się do odczytywania listów od rodziców i przyjaciół z Polski. Potem przypomniał sobie, że o godzinie dwudziestej miał iść z panią Maud na obiad, a potem do jakiegoś kabaretu. Wypadało się iść pożegnać osobiście i przeprosić za niespodziewany zawód, ale na taki dowód odwagi Władek nie byłby się zdobył. Odczuwał instynktownie, że czarująca kusicielka zdołałaby może skruszyć jego niezłomne zamiary odjazdu. Że może potrafiłaby ten wyjazd odwlec na czas jakiś, a do tego dopuścić nie mógł. Więc zabrał się do zredagowania pisemnej odpowiedzi.

Niemaló ćwiartek papieru napsuł, zanim sklecił ten trudny list:

*Maud!! Dostałem właśnie pilny telegram od narzeczonej z Polski. Niestety, nie stało nawet czasu na to, bym ci mógł ucałować twe piękne, dobre raczki, które mi tyle słodczy dały. Upojne, cudne chwile, jakie spędziliśmy razem, będą najczarowniejszym wspomnieniem mego życia. Myśl o mnie zawsze tak dobrze, jak ja o tobie pamiętać będę. Brakło mi sił pożegnać cię osobiście. Zanadto się do ciebie przywiązałem. Więc przebac mi, że nie przyszedłem i nie gniewaj się na*  
*Władka.*

Władek zaadresował elegancką kopertę i zaczął się przechadzać nerwowym krokiem po rozległym pokoju hotelowym. Czuł, że popełnia gruby nietakt, uchylając się od osobistego pożegnania z tą kobietą, ale nie było innego wyjścia. Pocieszał się w myśli, że ocukrzył jej garścią komplementów to nagłe rozstanie... Po chwili rozgrzeszył się już zupełnie i zapaliwszy papierosa, liczył głośno, jak to miał we zwyczaju:

— Mary Teacher załatwiona... Teraz Maud, to dwa... No więcej nic na

sumieniu nie mam przecież...

W tej chwili zadzwieczał dzwonek telefonii. Portier donosił, że przyszła jakaś miss Brown i chce się widzieć z mister White'em.

— Poprosić — rzekł Władek i zaczął się nerwowo zaciągać dymem z papierosa. Przeczynał, że czeka go jeszcze jedna przeprawa. Mruczał niepewnym głosem:

— Cóż ona chce? Wobec niej nie mam przecież żadnych zobowiązań. Nic nas nie łączyło zupełnie. To, że ją tam raz pocałowałem? Ech, głupstwo! Wnet się jej pozbędę. Ale prawdę mówiąc, strasznie te kobiety lecą na mnie. Ha! Co robić! — zauważył przyjemnie zrezygnowany.

Młoda agentka i lekarka zarazem wyglądała dziś wprost prześlicznie. Inna rzecz, że dopomogła naturze solidnie. Świadczyły o tym zarówno silnie podkreślone usta jak i uczernione z lekka brwi i rzęsy oraz różowe rumieńce na policzkach. Ubrana była w powiewną i przeźroczystą suknię wieczorową, która doskonale uwydatniała jej ponętne kształty.

Miss Brown wykonała serdeczne *shake hands*, zdjęła maleńki, zgrabny kapelusz, usiadła naprzeciw Władka i zaczęła wesoło:

— Kochany wspólniku! Interesy stoją dobrze. Otrzymałam właśnie kartkę od Richardsona. Jak przewidywałam, kupił za bezcen te tereny. Był także na miejscu i wiezie całą walizę próbek złota. Za trzy godziny przyjeżdża do San Francisco. Cóż cieszy się pan?

— Owszem, ale czy on to wszystko wypisał na otwartej kartce? To nieostrożność. Może nam kto pokrzyżować interesy lub go w drodze napaść.

— Niech się pan nie obawia. My mamy umówiony szyfr. Nikt nie będzie mądry z treści tej kartki.

— Chyba że tak. To dobrze, że przyjeżdża, może będzie mi mógł wypłacić jakąś małą zaliczkę na poczet przyszłych zysków. Wyjeżdżam dzisiaj...

— O... Dzisiaj?

— Tak, miss Brown. Jutro będę w New Yorku.

— O której odjeżdża samolot?

— Dwudziesta trzecia minut pięć.

— No to mamy jeszcze dużo czasu... Doskonale się składa... Mister White, czy może mi pan poświęcić jakąś godzinkę?

— Z największą przyjemnością — odparł Władek ucieszony, że tylko o jedną godzinę chodzi.

Miss Brown ciągnęła dalej:

— Jedną godzinkę, na poważną rozmowę. Bardzo poważną nawet.

Władek przestraszył się trochę. Taki wstęp nie wróżył nic dobrego. Jednakowo zawsze się kończą takie poważne rozmowy z pięknymi kobietami — sformułował genezę swego lęku.

Miss Brown zapaliła papierosa i przez chwilę zaciągała się w milczeniu, jakby dla tym większego skupienia myśli. Potem energicznym ruchem założyła nogę na nogę i zaczęła mówić powoli, z naciskiem:

— Znamy się już dosyć dawno i mieliśmy czas poznać nawzajem swoje usposobienia, charaktery, swoje wady i zalety. Pan jest z gruntu bardzo dobrym chłopcem...

Gdzie ona zmierza? — zdumiewał się Białoszyński, uśmiechając się równocześnie przyjemnie w podzięcie za tego z *gruntu dobrego chłopca*.

— Jest pan trochę zbyt uczuciowy, trochę zanadto kochliwy, trochę motyl zmieniający szybko swe upodobania, ale jest w tych małych wadach także i urok pewien. Poza tym jest pan pierwszorzędnym materiałem na męża...

Fiu! To znacznie gorzej, niż sądziłem — syknął chłopiec w duchu.

Miss Brown podniosła się z krzesła i rzekła bardzo poważnie:

— Mister White! Minęły czasy, kiedy kobieta czekała aż jej się wybrany sercem mężczyzna oświadczył. Między wami jest bardzo wiele typów nieśmiałych, a do takich i pana zaliczam. Pochopni do flirtu, skorzy do łatwych miłostek, prędzej czy później musicie pokochać kogoś, ale wtedy nie wiecie od czego zacząć poważną rozmowę. Nie macie odwagi rzucić słów rozstrzygających. Nasze matki i babki usychały i więdły często z powodu nieśmiałości swych adoratorów. Ale dziś zmieniły się czasy. Dziś mamy rok 1947 i niedorzeczne przesady prababek poszły do archiwum zapomnienia. My... kobiety dzisiejsze, nie wstydzimy się wyznać naszego uczucia, nie wahamy się same rzucić tego słowa decydującego i dlatego ja zapytuję czy zechce pan zostać mym mężem?... Ja proszę o to!... Ja proszę o... pańską rękę — skończyła, starając się wytrwać ze wszystkich sił przy tym poważnym, uroczystym tonie.

Władek zgłupiał doszczętnie. Nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać; w ogóle nic nie wiedział. Tylko mimowolnie usta mu się otwarły dość szeroko i ten niemy gest świadczył wymownie o kompletnym osłupieniu chłopca.

Energiczna miss Brown nie skończyła jeszcze.

— Miałam przedtem mająteczek bardzo skromny. Dziś jako akcjonariuszka bogatej kopalni złota, jestem dobrą partią... Sądzę, że brzydka też nie jestem. — Tu przegięła się lekko i tanecznym, tangowym krokiem szła w stronę zdumionego towarzysza.

Władek oprzytomniał dopiero, kiedy uczuł drażniący zapach jej perfum, kiedy opłotły mu szyję jej krągłe, twarde i silne ramiona i kiedy pięknie ondulowane włosy twarz mu musnęły. Tuż przed oczyma zobaczył jej rozchylone, trochę wilgotne usteczka.

Gorące prądy przebiegły żyły chłopca. Pokusa była silna... ale gdzieś z kąta wyrzała nagle słodka a smutna twarzyczka Marysi-sierotki i patrzyły jej wielkie, dziecinne oczy tak trwożnie... tak żałośnie... A włosy miss Brown pachniały tak

upojnie, a gładka jej skóra nęciła tak silnie.

Białoszyński łagodnym ruchem uwolnił się z oplotu ramion Amerykanki; wstał i zaczął się szybko przechadzać po pokoju. Powoli wracała mu równowaga ducha. Należało coś rzec koniecznie... lecz co? Jak tu jej ocukrzyć tego odkosza? — biedził się chłopiec szczerze zmartwiony. Wreszcie ruszył konceptem:

— Zaskoczyły mnie pani słowa. Nie spodziewałem się, że... — urwał, nie wiedząc, czy ma jej prawdę powiedzieć.

Miss Brown zrozumiała to snadź opacznie, bo ujęła go pod ramię, podprowadziła do kanapki i posadziła przy sobie.

Potem odezwała się głosem znacznie łagodniejszym:

— Nie spodziewał się pan, że to tak łatwo wszystko pójdzie, że dopomogę panu i pierwsza przełamie lody nieśmiałości. Tak... Ja także myślałam, że starym obyczajem pan pierwszy zacznie, lecz nie mogłam się doczekać. Pamięta pan nasz pierwszy pocałunek, tam w czarownej Kotlinie Milczenia?... Myślałam, że już wtedy wypowie pan te słowa, które teraz padły. Ileż to razy ścisnął mi pan rękę tak wymownie... Ile razy patrzył mi pan w oczy tak prosząco?! Pańskie postępowanie upewniło mnie, że moje uczucie nie jest bezwzajemne... Nie mogę szczerze powiedzieć, że już pana kocham... Nie wiem jeszcze, jak ta miłość właściwie wygląda... Nie kochałam nigdy do tej pory... zawsze zabrakło mi jakoś czasu. Ale jestem na drodze do zakochania się.

To zahamujże na tej pochyłej dradze! — myślał Włodek, którego już czarna rozpacz ogarniać zaczęła. Wreszcie zdecydował się na rozpaczliwy wysiłek woli i odwagi. Jednym cięciem przeciął węzeł gordyjski:

— Ja już nie jestem wolny, miss Brown... Mam narzeczoną i jadę właśnie na ślub do Polski.

Głuche milczenie zaległo pokój rozległy. Młoda agentka zwiesiła głowę i ręce na kolanach bezwładnie oparła. Białoszyński czuł się coraz gorzej. Ból i smutek kobiety podbijał go łatwiej niżli czar pięknego ciała. Obsypał gorącymi pocałunkami dłońe odpalonej konkurentki i mówił bezładnie:

— Miss Brown, proszę mi zechcieć wybaczyć. Teraz widzę, że zbłądziłem. Nie powinienem był pani wtedy całować. I późniejsze moje zachowanie także nie było właściwe... Tak, źle postąpiłem. Ale trzeba mnie zrozumieć.

...Pamiętam dobrze tę scenę w Kotlinie Milczenia. To była cudna noc wiosenna. Romantyzm wiał z każdego zakątka tej doliny i nasze spotkanie też było niezwykle. A moje serce było wówczas smutne skutkiem nieczej zdrady tej Teacher. Moje serce szukało bratniej duszy, pociechy, zapomnienia. I w takich warunkach znaleźliśmy się oboje przy sobie. Ten pocałunek nie wyszedł od nas. To przyroda i wiosna złączyła nasze usta a rozdzielił jej nagle brutalny strzał inspektora. Ten strzał to symbol... I am superstitious... Większość Słowian jest zresztą zabobonna... To był znak, że losy nie chcą naszego zbliżenia... — łągał



Władek jak z nut. Sam się zdumiał, skąd mu się naraz tyle słów nabrało. Długo... ogromnie długo plótł tak bez logicznego związku i sensu. Zapominał, co rzekł przed chwilą i sam zbijał co dopiero wypowiedziane tezy. Kręcił się w kółko, powracał do tych samych zdań, czekając aż mu przerwie...

Ale miss Brown milczała cierpliwie i słuchała z wielkim skupieniem.

Więc Białoszyński zaczął z innej beczki. Powiedział jej, że kochał zawsze wyłącznie swą narzeczoną, a do innych kobiet zbliżał się tylko dla nawiązania jakiegoś romansu, miłości czy flirtu. I sądził początkowo, że znajomość z piękną detektywką taki sam koniec weźmie. Ale ten jedyny pocałunek w Kotlinie Milczenia otworzył mu oczy. Poznał, że miss Brown jest czystym kwiatem, którego nie wolno kalać takiemu Don Juanowi, jakim on jest bez wątpienia... (Tu Władek wyprostował się zarozumiale.) Wobec tego nie próbował jej pocałować ani razu więcej. Że tam czasem mocniej jej dłoń uścisnął lub w oczka czulej zajązrał, czulej niż należało, to wina w tym tylko jej wspaniałej urody, która potrafiła zachwiać czasami jego niezłomnymi zasadami...

Ostry dźwięk telefonu przerwał wartki strumień łgarstw Władkowych.

Z ogromną ulgą poskoczył w stronę zbawczego aparatu i krzyknął:

— Hallo!... Kto mówi?... A to pan, mister Richardson!... Skąd pan mówi?...

Aha, z pociągu... Dlatego tak mi wciąż coś warczy w słuchawce... No... Tak...

Tak... No to ślicznie... Ale à propos, czy nie mógłby mi pan dzisiaj wyasygnować jakiejś zaliczki? Powiedzmy dziesięć tysięcy dolarów... Aha, jutro... To w takim razie przekaże mi pan telegraficznie do New Yorku... Good day!... Hallo!! Hallo!... Miss Brown chce z panem mówić — dodał Władek, widząc znaki, jakie mu towarzyszą ręką dawała.

Młoda agentka mówiła do mikrofonu szybko i nieco nerwowo:

— Czekamy oboje na pana... Kartkę dostałam... Tak, wiem, że za trzy godziny pan tu przyjedzie... Czekam pana dobra nowina... Jaka?... No niech pan zgadnie... Co sprawiłoby panu największą przyjemność... A więc tak... zgadł pan... Zostanę pańską żoną. Dziś zjemy razem obiad i zaręczymy się oficjalnie. Mister White przyrzekł mi, że także będzie obecny... Tak, przyrzekł, że będzie... Potem odjeżdża do New Yorku... No dobrze już, dobrze. Nie dziękuj tak gorąco... Pa... Do zobaczenia my sweetheart!

Kiedy odłożyła słuchawkę i powróciła na swoje dotychczasowe miejsce, Władek zauważył dość kwaśno:

— Cieszę się, że się pani tak szybko pocieszyła.

— Ha... trudno!! Jestem kobietą nowoczesną. Czas to pieniądz.

Potem wyciągnęła się wygodnie na wznak na kanapce i przyzwała Władka do siebie:

— Proszę tu usiąść przy mnie. Widzimy się zapewne po raz ostatni, bo może pan już do Stanów nie powróci... Więc porozmawiajmy sobie tak szczerze.

Władek spełnił rozkaz dość niepewnie, a miss Brown ciągnęła dalej:

— Utkwiły mi w pamięci słowa pana. Powiedział pan, mister White, że skoro się pan przekonał, kim jestem, zaniechał pan myśli zawiązania ze mną flirtu czy romansu. Byłam czystym kwiatem, jak się pan ładnie wyraził. A gdybym była taką kobietą jak miss Teacher lub taką mężatką jak pani Maud. Czy i wówczas tak samo by się pan wobec mnie zachował?

Władek zrobił minę zawodowego uwodziciela i odparł zarozumiale:

— O, nie, miss Brown! Wówczas byłbym panią zdobywał za każdą cenę.

Głos kobiety stał się nagle dziwnie miękki, cichy, pieszczotliwy:

— Teraz jestem już prawie cudzą żoną. Nie musisz się więc obawiać, że mi serce złamiesz. Możesz mnie całować, zdobywać, jak tamte kobiety... Ja... chcę tego... bardzo... bardzo... — wyszeptała i nakryła oczy rzęsami.

## ROZDZIAŁ XIV

### Palec boży

#### I

— Jedźże pan szybciej, u licha!

Władek podganiał szofera kiepskiej taksówki. Ale jego prośby i narzekania pozostały głosem wołającego na puszczy. Stary klekot z wielką biedą dociągał do siedemdziesięciu kilometrów na godzinę i to było jego rekordem, bo przeciętnie robił mniej znacznie. Zwłaszcza kiedy przejeżdżali przez którąś z wiosek usianych gęsto wzdłuż drogi Kraków–Zakopane. Zwłaszcza jeśli mijali wozy kmiotków, którzy, korzystając z dnia świątecznego, dbali skwapliwie, aby monopol spirytusowy należyte zyski skarbowi przynosił, czyli jechali trochę wstawieni.

Z wielkim sapaniem wydrapał się stary samochód na mogiłańską górę i zaczął wyczyniać zawile esy floresy na dalszych zakrętach malowniczej drogi. Słońce zachodziło już prawie.

Cienie drzew i słupów telegraficznych rozrosły się niepomierne. Co chwila spotykało auto Władkowe liczne samochody powracające z wycieczek do Krakowa... Właśnie dlatego, że było to święto Wniebowzięcia Najświętszej Panny, nie mógł Władek znaleźć lepszego wehikułu. Cały sześćsettyśięcny gród podwawelski wyruszył na wycieczki w górzyste, piękne okolice, korzystając z cudownej pogody i święta.

Młody Białoszyński przebiegł w myśli ostatnie wypadki:

Przypomniał sobie pożegnanie z wujem w New Yorku. Pan Tomasz godził się chętnie na małżeństwo siostrzeńca z Marysią.

— To ci dobrze zrobi urwisie, ustatkujesz się, ty bawidamku. Tylko wracaj zaraz, bo roboty jest bardzo wiele! Otwierają się nowe pola interesów. I przywieźże mi tutaj tę twoją Marysię, niech ją uściskam serdecznie! — rzekł pan Tomasz chłopcu na odjezdnym i obdarzył go sympatyczną książeczką czekową.

Podróż przeszła szczęśliwie. Troska o los Marysi była teraz Władkowi silnym i skutecznym puklerzem przed nowymi pokusami, których nie brakło. 15

sierpnia o godzinie szesnastej wysiadł Władek w Krakowie ze samolotu Paryż–Praga–Kraków–Lwów–Moskwa. Natychmiast wziął tę nieszczęsną taksówkę, by jechać do Marysi.

W gorączce podróży zagubił listy dziewczyny, a nie pamiętał niestety nowego jej adresu. Wobec tego skierował auto w stronę Przytulisk i skręcił do leśniczówki, gdzie dawniej mieszkała Marysia. Tum przecież powinni wiedzieć, gdzie się udała. I nie omylił się Władek.

W leśniczówce nie zastał wprawdzie nikogo, ale tuż w pobliżu stała osada Marcina Siekierki, którego córka Zosia była najszczerszą przyjaciółką Marysi. Tylko ona wiedziała o miłości tych dwojga młodych. Jej tylko zwierzała się Marysia...

Do tego też domku skierował Władek swe kroki.

Pannę Zosię zastał zapłakaną i piszącą jakiś list pokaźnych rozmiarów. Szybko zdołał się dowiedzieć, że przyczyną jej łez była troska u los przyjaciółki, od której dziś rano smutny list otrzymała.

— Niech pan sam przeczyta — rzekła panienka, wręczając Władkowi pisanie Marysine.

Pospiesznie przebiegł równe linijki pisma:

*Zosiu Kochana Moja!*

*Losy się przeciwko mnie sprzysięgły, odkąd Władek stąd odjechał. Najpierw przyszła śmierć ojca ukochanego, potem kłopoty pieniężne i przykrości na mej pierwszej posiadzie. Pisałam ci już o dziwnym zachowaniu się mego chlebowodcy. Początkowo nie rozumiałam znaczenia tych jego uścisków dłoni, tych spojrzeń obrzydliwych, nieustannych. Początkowo sądziłam, że ten jego pocałunek w czoło, jakim mnie od jakiegoś czasu na dobranoc obdarzał, jest tylko objawem współczucia dla mojej doli sieroczej. Byłam mu wdzięczna za dobroć.*

*Ale jednego razu pochwycił mnie silnie i wycalował po twarzy. Wyrwałam się i uciekłam do swego pokoju. Przestałam się z nim żegnać wieczorami. I od tej chwili zaczęły się szykany i prześladowania. Chciałam już uciec gdziekolwiek i szukać innej posady.*

*Aż przyszło nieszczęście!*

*Panu Feilerowi zginęła brylantowa spinka od krawata. Cały dom przewrócił do góry nogami, robiąc wszędzie rewizję szczegółową. Wieczorem przyszedł do mego pokoju i kazał mi otworzyć kuferek. Wszystkie rzeczy poprzewracał, ale nic nie znalazł. Myślałam, to skończy się wreszcie ta upokarzająca chwila. Nagle Feiler podszedł w róg pokoju. Coś błysnęło na tle maleńkiego dywanika nad moim łóżkiem. Tam tkwiła spinka brylantowa.*

*Zocha Moja!! Ty mnie znasz dobrze i wiesz najlepiej, czy ja byłabym zdolna do takiego haniebnego czynu. Co by mi nawet z tego przyszło? A jeżeli nie*

wierzysz, to klnę się na pamięć mych najdroższych rodziców, że jestem niewinna!... To on sam mi musiał tę spinę podrzucić. On lub ten nieznośny jego dzieciak, Adaś.

*Mój chlebobawca zaczął się potem śmiać strasznie, przeraźliwie, złowrogo. Nie potrafiłabym ci powtórzyć tego wszystkiego, co mi wówczas powiedział. Na koniec zasyczał mi do ucha, że jeżeli zostanę jego kochanką, to mnie nie wyda policji i nie pójdę do więzienia. To wszystko działo się wczoraj, to jest trzynastego. (Zawsze to liczba feralna.) Całą noc płakałam a teraz piszę do ciebie, Zosiu; poradź mi, co mam uczynić!*

*Feiler wyjechał jeszcze w ten sam wieczór do Krakowa. Wraca piętnastego pod wieczór. Mam się do tego czasu namyślić. Powiedział, że się nie obawia, bym chciała uciekać. I ma rację. Dokąd ucieknę i po co? Policja mnie wszędzie złapie. Więc mam mu być posłuszna?... Boże!... Boże, co ja mam uczynić?... O, czemuż tu nie ma Władka?... Ale po co go wspominam, kiedy on o mnie zapomniał? Jutro są moje imieniny. Jutro jest ten dzień przeklęty, kiedy będę musiała wybrać: więzienie lub to najgorsze...*

Władek nie miał już cierpliwości czytać dłużej. Każda sekunda była zbyt cenna. Panna Zosia była typem słowiańskim, więc mogła sobie popłakiwać nad losem przyjaciółki, mogła układać listy sążniste. Ale Białoszyński czuł się Amerykaninem. Należało działać... spieszyć.

Musiał wrócić przez Kraków i ruszyć szosą mogiłańską w góry... w stronę Chabówki. A jak na złość obrzydliwy wehikuł włókł się jak za karawanem... Dla Władka, który jeździł samolotami robiącymi 500 kilometrów na godzinę i autami, które przynajmniej połowę tej chyżości osiągały... dla Władka, który spieszył na ratunek swej dziewczyny ukochanej... było to wleczenie się taksówki męką okropną. A los widocznie go zaczął prześladować, bo tuż za Myślenicami pękła dętka w tylnym kole samochodu. Flegmatyczny szofer z całym pietyzmem i namaszczeniem zabrał się do wulkanizowania pękniętej kieszki, gdyż rezerwy nie miał ze sobą.

Noc zapadła...

Od strony gór nadbiegały wciąż nowe auta wycieczkowców wracających z Rabki i Zakopanego. Co chwila ukazywały się w dali jasne smugi wielkich lamp. Wąski a długi trójkąt światła zbliżał się i rósł, po czym rozpędzony samochód przelatował obok stojącego wozu i otaczał go gęstym, białym welonem kurzu.

Władek chodził niecierpliwie koło unieruchomionej taksówki i starał się psuć krew szoferowi. Nie mógł zrozumieć, jak można jeździć bez żadnej rezerwy. Nie był w stanie pojąć, jak można marnować pół godziny drogiego czasu na łatanie dętek w drodze. W Ameryce zmieniano pneumatyk w ciągu niecałej minuty. Time is money. Ale w Polsce zawsze jeszcze miano dużo, bardzo dużo wolnego czasu.

Nareszcie!...

Nareszcie siadł Władek z powrotem obok szofera. Nareszcie starter zgrzytnął raz jeden, drugi, dziesiąty i motor zapalił. Ruszyli z miejsca. Na szczęście przynajmniej lampy dopisały w tym klekocie i można było „gnać” z szybkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Drzewa przydrożne oddawały echo motoru, kiedy auto je mijało. Władkowi zdawało się, że drzewa naigrawają się z niego, że szepczą: *Nie zdążysz... Nie zdążysz... Nie zdążysz...* Przypomniawszy sobie, jak przed niespełną pięćmi miesiącami jechał pociągiem z Krakowa do Gdyni. Wówczas lokomotywa pośpiesznego pociągu trąkotała mu wyraźnie: *Po dolary... Po dolary... Po dolary...* Teraz wiózł dolary, ale czy nie straci w zamian czegoś bardziej cennego? Cierpiał na tę myśl i beształ szofera, który na zakrętach zwalniał przezornie.

— U nas się całkiem nie zwalnia na serpentynach, tylko się nadrzuca wozem — prawil Władek szoferowi, patrząc ze wzgardą na jego kiepską jazdę.

Młody Białoszyński już tak zdołał nasiąknąć Ameryką, że nie mówił inaczej, jak: *u nas to lub owo... a u was wciąż jeszcze po staremu.*

Kiedy mieli do Chabówki jeszcze ze cztery kilometry, usłyszeli za sobą sygnał trąbki automobilowej. Jakieś auto chciało ich wyprzedzić. Władek wyjął z kieszeni banknot pięciodolarowy i dał go powąchać szoferowi.

— To dla pana na piwo, jeżeli się pan nie pozwoli prześcignąć.

Zielony, sympatyczny bilet bankowy oddziałł czarująco na ambicję kierowcy wozu. Walił teraz całym gazem, nie zważając na zakręty czy auta z przeciwka nadjeżdżające. Nawet z góry pędził z największą chyżością, na jaką się mógł klekot zdobyć. Toteż na chwilę zdołał się odsadzić od współzawodnika. Ale tylko na chwilę. Goniący samochód był nowszej konstrukcji i motor miał znacznie silniejszy. Niebawem dopędził taksówkę i począł dawać przeraźliwe sygnały trąbką, tak jak gdyby chciał klekota samą wrzawą przerazić.

Jeszcze jakiś czas bronił się uciekinier rozpaczliwie. Jeszcze jakąś minutę skutecznie zajeżdżał drogę ścigającemu, ale wreszcie nie zdierżył. Teraz oba auta gnały równolegle, obok siebie. Potem decymetr za decymetrem zaczął tamten wysuwać się naprzód. Sześć potężnych cylindrów pracowało cicho, lecz nader wydajnie.

— Hańba! Dał się pan prześcignąć!... — ukąsił Władek swego szofera, kiedy zwycięskie auto odsadziło ich na jakie sto metrów i szybko zwiększało tę odległość.

Droga biegła teraz na dół. W świetle miesiąca i w blasku lamp uciekającego samochodu ukazał się nasyp kolejowy, biegnący poprzecznie do gościńca. Zaczerniała w oddali czarna jama pod mostem żelaznym.

Władek znał tu każdy zakręt, każdą dziurę z wycieczek kolarskich do Zakopanego. Pamiętał, że tuż za nasypem i równolegle do niego biegnie tor

kolejowy Chabówka–Zakopane. Tor zasłonięty był zupełnie wspomnianym nasypem, po którym idą pociągi do Suchej. Kierowca taksówki jeszcze nie stracił nadziei. Miał wprawdzie gorszy wóz znacznie, ale pod wpływem sperandy na suty napiwek jechał bardziej ryzykownie. Gdzie jak gdzie, ale właśnie z góry mógł straty nadrobić. Znowu pognął całym gazem, a równocześnie puścił w ruch wszystkie sygnały, aby zmusić uciekającego do zrobienia wolnego miejsca. W różne trąbki, syreny, gwizdki był stary klekot szczerze wyposażony. A szofer drugiego auta pamiętał znów, że poza nasypem i torem zakopiańskim krzyżują się drogi: na lewo do Chabówki, na prawo na Obidową. Wobec tego trąbił także zawczasu, co wlezie. Wytworzył się z tego piekielny harmider, który zagłuszał wszystko. Wszystko, nawet gwizd lokomotywy odległy, lecz przenikliwy.

Nagle kierowca taksówki zahamował gwałtownie.

— Co znów u diabła? — zapytał Władek, podniecony nocnym szalonym wyścigiem.

Okazało się, że źle zawulkanizowana kieszka puściła i powietrze uszło.

Władek nie mógł tego zauważyć, ale dzierżący kierownicę odczuł to natychmiast

Wóz zwolnił i stanął o jakie trzydzieści metrów przed nasypem. Zwycięskie auto znikło już przed chwileczką zasłonięte przez pociąg jadący właśnie z góry, od strony Zakopanego. Zdawało się Władowi, że przed kilku sekundami słyszał jakiś silny trzask. Ale to musiało być zapewne złudzenie... Nie miał teraz czasu na rozmyślanie. Wiedział, że z Chabówki do Stawisk jest zaledwie dwa kilometry. Powinien tam zejść pieszo szybciej, zanim flegmatyczny szofer zdoła gumę naprawić. Więc rzucił tylko odpowiedni rozkaz i ruszył naprzód. Byle wyjść poza te dwa tory kolejowe, byle skręcić na lewo, to już się jest na stacji w Chabówce...

## II

Marysia zerwała się z klęczek. Twarz miała jeszcze zalaną łzami, ale oczy niezłomny zamiar wyrażały. Modlitwa przyniosła jej ulgę przeogromną i dodała jej sił. Modlitwa natchnęła ją, co czynić należy, co wybrać powinna.

Marysia zdecydowała się już. Niech ją pan Feiler wyda policji, niechaj rzuci na nią to krzywdzące podejrzenie. Niechże ją nawet wtrąci do więzienia. Raczej wszystko niż to upodlenie, którego od niej zażądał. Wszystko raczej niżli ten upadek największy i hańba.

Taka się czuła w tej chwili odważna. Wyobrażała sobie, jak wyniośle odrzucił nieczne propozycje chlebobdawcy. Układała w pamięci słowa, które mu powie do oczu.

A w tej chwili rozległ się żalony dźwięk trąbki automobilowej. Serce dziewczyny załomotało ciężko i szybko. Tam od strony sztachetowej bramy

obejścia dolatywał równy, turkot samochodu.

— Wraca... — wyszeptały blade wargi Marysi.

Jakoż dobiegła jej uszu wrzawa, jaką wywoływał zawsze przyjazd Feilera. Dziwiła się tylko, że jeszcze nie słyszy tubalnego głosu chlebodawcy. Ale po chwili rozległ się w sieni tupot energicznych męskich kroków... Pomimo całej determinacji cofnęła się dziewczynka aż w róg pokoju. Oparła się mocno o ścianę, bo nogi jej drżały.

Zapukał ktoś silnie do drzwi. Nie odpowiedziała nic. Ktoś nadusił klamkę i szarpnął nerwowo. Postać jakaś w raglanie i czapce sportowej stanęła na progu.

— Maryś!!! — krzyknął przybyły i szeroko ramiona rozłożył.

Dziewczyna przetarła zapłakane oczy piąstkami i pomyślała: *Ja śnię chyba!* Ale nie był to sen, bo już pochwyciły ją krzepkie ramiona Władkowe a deszcze gorących pocałunków obsypały jej szczupłą twarzyczkę.

W otwartych drzwiach stała poczciwa Marcinowa i oczy końcem fartucha ocierała.

A kiedy ustał płacz szczęścia dziewczyny, kiedy uspokoiło się tętno serca wzruszonego nad miarę, mała zmarszczka ukazała się na czole Marysi:

— Mój chlebodawca wróci lada chwila — bąknęła nieśmiało i z trwogą mimowolną.

Marcinowa zachłysnęła się łzami a Władek rzekł bardzo poważnie:

— On już nie wróci, Marysiu. — A widząc jej zdumione spojrzenia, otoczył ją troskliwie ramieniem i tak zaczął opowiadać:

— Wiem wszystko. Czytałem twój list u Zosi i pędziłem na złamanie karku. Przed samą Chabówką ścigałem się z drugim autem. Naraz pękła mi guma. Kląłem głośno i bluźniłem, nie wiedząc, że ten drobny wypadek samochodowy ratuje mi życie. Gdyby nie to pęknięcie opony, byłbym razem z taksówką dostał się pod koła pociągu zakopiańskiego, tak jak tamto auto. Puściłem się w drogę pieszo. Zaraz za skrzyżowaniem zauważyłem zwiększające się wciąż zbiegowisko ludzi. Wydobywali właśnie rannego człowieka. To był szofer. On też powiedział, że zmasakrowany trup leżący w pobliżu, to jest pan Feiler, twój niedawny chlebodawca. Ranny tłumaczył się, że skutkiem zawziętych wyścigów z drugim samochodem nie słyszał ani nie widział sygnałów pociągu i spowodował nieszczęśliwy wypadek. Teraz zrozumiałem, że był w tym palec boży. Boskie zrządzenie sprawiło, że zły człowiek zginął, a ja wyszedłem cało. Powróciłem więc do mego auta i tu przyjechałem po ciebie... Nie musisz się już, Marysiu, obawiać tego człowieka.

Nastała chwila milczenia. Potem broda Marysina zaczęła się trząść jak do płaczu i wnet łzy słone z oczu wielkich, głębokich popłynęły.

— Biedny Adaś!... Będzie teraz sierotą, tak jak ja — zaszlochała.

Lecz Marcinowa, ochłonawszy z podziwu dla dobrego serca dziewczyny rzekła:



— Nie, panienko. Adaś sierotką nie będzie. Ma matkę. Trza do niej pisać. Władek Białoszyński jął się przechadzać po pokoju dużymi krokami. Zbudził się w nim Amerykanin dla którego time is money. Powiedział tedy:  
— Proszę mi dać adres matki tego chłopca. Zatelefonuję do niej z Krakowa. A ty, Maryś, ubieraj się żywo i pakuj. Rano przedstawię cię moim rodzicom. Po ślubie pojedziesz ze mną do Paryża. Muszę cię ubrać porządnie, zanim staniesz w New Yorku. Wuj Tom czeka na nas... 10 września odbędzie się w San Francisco ślub pary moich wspólników. Niejakiej miss Brown z mister Richardsonem. Jesteśmy oboje proszeni na to wesele. 12 września odbędzie się rozpoczęcie prac w naszej kopalni złota w Kotlinie Milczenia. Pokażę ci, którądy uciekałem stamtąd uwięziony przez Japończyków... Boże drogi, ty jeszcze stoisz?!... Czas to pieniądz! Uważasz, dziewczyno?

Marysia patrzyła na narzeczonego oczyma rozszerzonymi ze zdumienia, radości i dumy... A stara Marcinowa otwarła usta szeroko niby wrota...

KONIEC

